teksty DRUGIE

SŁAWIŃSKI

z treści:

W. Bolecki, E. Balcerzan, E. Kuźma, W. Głowala, S. Szymutko, J. Madeyski
O Januszu Sławińskim

Jan Błoński
Jedna, dwie czy jedna w drugiej?

Stanisław Barańczak
Z frontu walki o „gdybizm"

Zdzisław Łapiński
O Rortym

Richard Rorty
Trocki i dzikie storczyki

Janusz Sławiński
Jakiej historii IBL-u nam potrzeba?

4

(28) 1994

Redaguje Kolegium:
Włodzimierz Bolecki, Tomasz Burek,
Jerzy Jarzębski, Zdzisław Łapiński,
Anna Nasiłowska (zastępca redaktora naczelnego),
Ryszard Nycz (redaktor naczelny)

Sekretariat redakcji:
Jacek Kopciński,
Joanna Łuczyńska (sekretarz redakcji)

Stale współpracują:
Edward Balcerzan, Stanisław Barańczak,
Jan Błoński, Michał Głowiński,
Czesław Hernas, Janusz Sławiński

Adres redakcji:
00-330 Warszawa, Nowy Świat 72,
Pałac Staszica, pokój 128,
tel. 26 52 31, w. 101

teksty DRUGIE 4 1994

Dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Sławiński: ironia i maieutyka

Nie da się już dłużej tego ukrywać: weszliśmy w czas jubileuszy naszych Mistrzów, Mentorów, Ojców Założycieli — i to zarówno „Tekstów" jak, na dobrą sprawę, nowoczesnego polskiego literaturoznawstwa. Jeszcze parę lat temu — z bezwiedną premedytacją — nie dopuszczaliśmy do świadomości myśli, że tytuł czcigodnego jubilata „grozić" może komuś tak młodzieńczemu duchem, jak Jan Błoński, którego kolejne rzeczy tyleż przynajmniej podsycały oczekiwanie następnych, co zachęcały do oceny w kategoriach ostatecznych dokonań. Tymczasem fala jubileuszowych rocznic gwałtownie przybrała i widać coraz wyraźniej, że dziecinne wybiegi przechytrzania czasu przesłaniają jedynie nieudolnie nasze trudności ogarnięcia znaczenia naukowej pracy ludzi, którym zawdzięczamy coś, co wydawało się neutralne i „samo–przez–się–zrozumiałe", najbardziej naturalną miarę rzeczy, jaką zwykliśmy stosować we własnej pracy i w ocenie innych.

Nie kryję, że na tym właśnie polega, w moim przypadku, trudność uprzytomnienia sobie znaczenia — z tej jubileuszowej okazji — całości rozlicznych „robót" Janusza Sławińskiego. Na tym polega może też dlatego, że dobrze pamiętam dziwnie pomieszane — krzepiąco-demoniczne — wrażenie, jakie przed laty zrobił na mnie (mało rozgarniętym prowincjuszu szczęśliwie wówczas przyjętym do iblowskiej pracowni) Sławiński, gdy spostrzegłem, że to on stoi za wszystkim, co było dla mnie najważniejsze i najbardziej atrakcyjne w życiu naukowym, że to jego intelektualnej inwencji, redakcyjnej namiętności, organizacyjnej

energii zawdzięczały w decydującej mierze swój kształt i poziom: polska refleksja teoretyczna, ówczesne „Teksty" oraz konferencje teoretycznoliterackie przyciągające najciekawsze indywidualności środowiska. Stąd też zapewne działalność Sławińskiego, jakkolwiek wszechstronna i różnorodna, ogniskowała się dla mnie konsekwentnie, równolegle i od początku przede wszystkim na trzech podstawowych, a s t r a t e g i c z n y c h dla naszej dziedziny polach: refleksji metateoretycznej, działalności redakcyjno-propedeutycznej oraz organizacji życia naukowego.

Pisarstwo teoretyczne od razu przyniosło Sławińskiemu zasłużoną sławę, a jego koncepcja teoretyczna zyskała u nas status nieomal uniwersalnego standardu — wedle którego orientuje się inne koncepcje, przy pomocy którego szacuje się cudze kompetencje, zgodnie z którym kształtuje się proces uniwersyteckiego nauczania. Poszczególne ujęcia problemowe zaś stały się nawet standardami w sensie muzyczno-rozrywkowym, tzn. popularnymi tematami teoretycznych wariacji, obiektami licznych adaptacji, rozwinięć i przekształceń w polonistycznej refleksji. Mówiąc o działalności redakcyjno-propedeutycznej mam na myśli redagowanie czasopism („Tekstów", potem „Almanachu Humanistycznego" i „Kultury Niezależnej"), redagowanie serii wydawniczych („Z dziejów form artystycznych", „Vademecum Polonisty") oraz redakcyjno-współautorski wkład w powstanie „Zarysu teorii literatury" i „Słownika terminów literackich". Te trzy wątki aktywności Sławińskiego łączą, mówiąc najogólniej, skuteczne zabiegi o wypracowanie, wdrożenie i w końcu twórcze użytkowanie sprawnego, nowoczesnego, a nade wszystko powszechnie przyjętego, w s p ó l n e g o j ę z y k a literaturoznawczego środowiska. Wreszcie działalność programowo-organizacyjna, której najbardziej widocznym przejawem były konferencje teoretycznoliterackie (i inne, jak ta o „Literaturze źle obecnej") — prowadziła, z nadzwyczajnym skutkiem, do zaproponowania pewnej formuły życia naukowego, swego rodzaju „socjotechnicznych" ram, na tyle efektywnych i atrakcyjnych, że środowisko uznało je od razu za modelową postać własnej samoorganizacji.

Nie mam zamiaru rozwodzić się niepotrzebnie o sprawach doskonale znanych. Zmierzam do wskazania na fakt, iż działalność Sławińskiego (wespół z innymi, oczywiście) — widziana w ponadindywidualnym wymiarze — zapewniła środowisku coś, czego nie da się przecenić, stan n o r m a l n e g o funkcjonowania w czasach dalekich od normalności; swego rodzaju niszę ekologiczną (wedle jego ulubionego określenia)

chronionej nieprzerwanymi zabiegami przestrzeni swobodnego myślenia i sporu. I trzeba dopiero chwili krytycznego zastanowienia, by zauważyć, iż to wspólne, a więc trochę „niczyje" dobro naznaczone zostało wyjątkowo silnie piętnem indywidualności swego wynalazcy.

Pisma Sławińskiego, choć nie brak w nich tradycyjnych gatunkowo wypowiedzi, rozpoznawalne są wszak dzięki jego wyraźnemu upodobaniu do formy, której nie potrafię znaleźć w Polsce prekursora, formy owych „prób teoretycznoliterackich", wyłaniających się z obszaru prymarnego procesu decyzyjnego i systemowej inwencji, gdzie związek podmiotu z teorią nie uległ jeszcze zerwaniu, a przedmiot poznania nabiera dopiero swych obiektywnych znamion w toku dokonywanych właśnie przez piszącego — na własną odpowiedzialność — rozróżnień, ewidencji i systematyzacji zagmatwanej dziedziny badania. Co ciekawe, podobne upodobania przeważają najwyraźniej i w pozostałych sferach aktywności Sławińskiego. Redakcyjna koncepcja literaturoznawczego czasopisma (takiego jak „Teksty") nie powielała istniejących wzorów, a odrębność swą zawdzięczała właśnie idei „pisma warsztatowego"; będącego forum intelektualnej inwencji, a nie wyczerpujących monografii przedmiotu. Formuła organizowanych konferencji odbiegała zaś zdecydowanie od zwyczajów gdzie indziej przyjętych i to zwłaszcza pod tym względem, który nadawał im charakter myślowego treningu, surowego sprawdzianu czy sportowej próby sił.

Wszystko wskazuje na to, że spośród ról, jakie oferuje życie naukowe danej dziedziny, Sławińskiemu przypadała w udziale „nieodmiennie" — w każdym z rodzajów działalności — rola nadawcy i dysponenta reguł mówienia oraz profesjonalnych zachowań polonistycznej społeczności. Można by powiedzieć, że upodobał sobie szczególnie wypełnianie zadań podmiotu czynności twórczych polskiej teorii literatury... a więc tej właśnie komunikacyjnej roli (czy to przypadek?), której odrębność i znaczenie sam, jak wiadomo, opisał najlepiej. A roli tej, choć nazwa jest świeża, patronują z oddali nader szacowne wzory. Zdaje się, że daje się ona rozłożyć przynajmniej na dwie związane z sobą swoiste operacje: i r o n i c z n ą oraz m a i e u t y c z n ą.

Pierwsza ma charakter przygotowawczy; służy starannemu oczyszczeniu pola — z przesądów i komunałów, doktrynerskich zacietrzewień, naiwności i uproszczeń. Skuteczność destrukcyjnej siły jej oddziaływania ujawniała się bezpośrednio w legendarnych dziś już tylko polemikach i krytycznych wystąpieniach Sławińskiego. W jego tekstach zaś nader

rzadko dochodziła do głosu, najczęściej przejawiając się w ironicznym cudzysłowie, jakim opatrywane bywają cudze i własne poglądy, koncepty czy wszystkoogarniające systematyzacje. Druga natomiast nie prowadzi wcale, jak można by mniemać, do stworzenia definitywnej teorii, wdrożenia własnej koncepcji czy pieczołowitej konserwacji sprawdzonej formuły. W grę wchodzi raczej rola troskliwego akuszera płodów cudzych zdolności, niźli zaprzątniętego sobą beztroskiego producenta. Strategia ta, o której rozmyślności przekonują na każdym kroku zdecydowane działania Sławińskiego, służyć ma bowiem przede wszystkim uprzytomnieniu poznawczej sytuacji, określeniu sposobów prawomocnego postępowania, odsłonięciu pola badawczych możliwości — zapewniających i n n y m możliwość skutecznej i samodzielnej aktywności. Prowadzi przeto najwyraźniej najpierw do celów etyczno-pedagogicznych, a potem dopiero poznawczych. Bardzo to trudna i nadzwyczaj rzadka umiejętność.

Numer ten, który przypisujemy Januszowi Sławińskiemu na sześćdziesiąte urodziny, złożyliśmy z tekstów, które już rozmaitością swych usytuowań wobec Jubilata świadczą o Jego wszędobylskiej obecności w życiu intelektualnym polonistycznego środowiska; a więc z tekstów o Sławińskim, dla Sławińskiego, bliskich (pod jakimś względem) Sławińskiemu oraz, co cieszy nas najbardziej, samego Sławińskiego.

Ryszard Nycz

Portrety

Włodzimierz Bolecki

PPP
(Pierwszy Polski Poststrukturalista)

1. Od kilkudziesięciu lat twórczość naukowa Janusza Sławińskiego znajduje się w centrum najważniejszych dokonań polskiego literaturoznawstwa. Sławiński rozpoznawany jest przede wszystkim jako teoretyk literatury, którego rozprawy, a później książki (w tym także publikacje podręcznikowe i encyklopedyczne) należą do podstawowych osiągnięć polskiej refleksji teoretycznoliterackiej. Ale dokonania Sławińskiego na innych polach aktywności literaturoznawczej są równie trwałe i imponujące. Dość przypomnieć działalność redakcyjną Sławińskiego, której efektem są trzy imponujące osiągnięcia wydawnicze: 1) seria „Z dziejów Form Artystycznych w Literaturze Polskiej" (do tej pory 75 tomów); 2) dwumiesięcznik „Teksty" (60 numerów) oraz 3) wydawana w latach 80. poza cenzurą „Kultura Niezależna" (70 numerów). Do tych ponad dwustu (!) voluminów trzeba jeszcze dodać publikacje pozaseryjne i współredagowany przez Sławińskiego, również poza cenzurą, „Almanach Humanistyczny. Bez wiedzy i zgody...". Nie mniej imponująca jest działalność Sławińskiego jako organizatora nauki, której efektem było m. in. wiele sesji i seminariów, a wśród nich przede wszystkim trwające przez ćwierć wieku coroczne konferencje teoretycznolite-

rackie. Osobne miejsce w dorobku Sławińskiego zajmują publikacje historyczno- i krytycznoliterackie (np. zamieszczane swego czasu w „Twórczości").
Ale Sławiński — jak sam o sobie mówi — „nie troszczy się zbytnio o rzeczy już przez siebie napisane". Publikuje więc niewiele i niechętnie, przechowując nawet przez kilkanaście lat w szufladzie prace, które — gdy je publicznie prezentował — budziły zachwyt słuchaczy. Można by nawet przypuszczać, że przez cały czas układa jakiś przemyślny *puzzel* ze swoich publikacji, którego obraz skrzętnie ukrywa przed czytelnikami, a którego elementy ujawnia w sobie tylko znanym czasie i z powodów zrozumiałych tylko dla siebie.
Systematyczną działalność krytycznoliteracką Sławiński zarzucił bardzo dawno i tylko czasem — a zawsze w sposób mistrzowski — przeprowadzał analizy i interpretacje pojedyńczych utworów oraz syntetyczne przekroje wybranych zagadnień z historii współczesnej poezji i krytyki. Niektóre z tych tekstów zostały opublikowane, większość — tzn. te, które były wynikiem działalności Sławińskiego–recenzenta — pozostają do dzisiaj w opasłych rocznikach rozmaitych pism. Gdyby je wszystkie zebrać w książce, byłyby niewątpliwie jednym z najświetniejszych tomów polskiej krytyki literackiej ostatnich dziesięcioleci. Nie mam wątpliwości, że, choć dawno nie przypominane, należą do jej największych i — w sensie warsztatowym — do dzisiaj nieprześcignionych osiągnięć.
Opisanie dotychczasowych dokonań Sławińskiego na wszystkich z wymienionych pól, a zwłaszcza w ich wzajemnym przenikaniu i uzupełnianiu się, to rzecz pasjonująca, ale — powiedzmy eufemistycznie — przekraczająca możliwości nawet podwójnego numeru „Tekstów Drugich".
W tym szkicu skupię się jedynie na pierwszym z wymienionych pól działalności Sławińskiego — na ogólnej charakterystyce jego koncepcji teoretycznoliterackich. Ograniczone założenia tego szkicu niech usprawiedliwi informacja, że już kilkanaście lat temu obroniono w USA poświęconą im dysertację doktorską: autorem był James O'Roney.

2. Od początku swej działalności Sławiński uważany był za najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela polskiego strukturalizmu. Swej metodologicznej bliskości ze strukturalizmem

Sławiński dawał wielokrotnie wyraz, jakkolwiek nigdy nie wypowiadał się jako „programowy strukturalista". Dla polonistycznej (i pozapolonistycznej) recepcji jego pism ten brak „twardej", programowej deklaracji metodologicznej nie miał nigdy większego znaczenia. W potocznej opinii polonistycznej Sławiński jak strukturalistą był, tak nim do dziś pozostał. Była to zresztą „rola", która wszystkim czytelnikom jego publikacji — by tak rzec — odpowiadała od zawsze. Rola „strukturalisty" przypisana Sławińskiemu była bowiem początkowo kwalifikacją naukowej ścisłości i metodologicznej nowoczesności jego teoretycznoliterackich koncepcji, a równocześnie... powodem do oskarżeń o formalizm, czyli o uprawianie literaturoznawstwa niemarksistowskiego. Obie te identyfikacje w środowisku polonistycznym przynosiły Sławińskiemu zawsze więcej uznania niż kłopotów. Z czasem ta „strukturalistyczna" etykieta zaczęła oznaczać po prostu klasyka naukowej refleksji literaturoznawczej — tej, która wyznacza trwałe standardy teoretyczne w różnych obszarach polonistyki uniwersyteckiej.

3. Zmianę w recepcji prac Sławińskiego–„strukturalisty" wywołuje niewątpliwie coraz większa popularność w Polsce tzw. poststrukturalizmu, z charakterystycznym dla tego nurtu zakwestionowaniem całego paradygmatu dotychczasowej wiedzy, statusu teorii literatury, a przede wszystkim literaturoznawstwa strukturalistycznego. Przypisano mu — jak wiadomo — szereg grzechów, z których każdy wystarczyłby za kamień grobowy dla wszelkiej teorii — nie tylko w naukach humanistycznych. W tej poststrukturalistycznej optyce literaturoznawstwo strukturalistyczne okazało się zbiorem dogmatów, wśród których na pierwszym miejscu jest wymieniana koncepcja nauki i wiara w jej obiektywizm, a następnie neutralność badacza, dążenie do wyjaśnień systemowych, strukturalizacja tekstu poprzez wskazanie opozycji binarnych, reguły interpretacji znaczeń, itd. Do tego dochodzą jeszcze dwa grzechy śmiertelne, a w optyce poststrukturalistycznej niewybaczalne, a mianowicie: naiwna wiara strukturalizmu w „niezmienność" badanych obiektów, czyli ahistoryczność (abstrakcyjność) oraz absolutyzacja teorii, która sama dla siebie miała się stać ważniejsza od jakichkolwiek zadań praktycznych. To zakwestionowanie, a faktycznie odrzucenie dorobku strukturalizmu, powinno więc postawić prace Sławińskiego w sytuacji paradok-

salnej. Wielokrotnie ogłoszony koniec strukturalizmu (wspominanego dziś nierzadko jako obiekt z muzeum humanistyki lub jako jej pomyłka) winien bowiem oznaczać koniec koncepcji literaturoznawczych na nim opartych. Toteż rozważania Sławińskiego umieszczane dotąd w awangardzie polskiego literaturoznawstwa, poststrukturalistyczny impet chętnie przemieniłby w jej dostojną ariergardę. To zatem, co do niedawna wydawało się w pracach Sławińskiego stawianiem i rozwiązywaniem nowych problemów teoretycznych, w optyce poststrukturalistycznej mogłoby być (lub może być) przedstawione jako drążenie starych i na zawsze już „zdekonstruowanych" dogmatów. A w każdym razie — jako przykład teoretyzowania w duchu minionej i dawno już zamkniętej epoki.
Jakkolwiek nikt spośród rodzimych adeptów poststrukturalizmu jeszcze tego głośno nie sformułował, nie znaczy to bynajmniej, że poststrukturalistyczny młyn nie jest już gotów do przemielenia także i prac Sławińskiego. To chwilowe przeoczenie jest raczej wynikiem zaniku otwartych dyskusji i sporów metateoretycznych, pod których znakiem stało jeszcze literaturoznawstwo polskie w latach 60. i 70. Nie zdziwię się jednak, gdy kolejna, i potężniejsza od poprzednich, rodzima fala poststrukturalistycznego impetu zacznie wypłukiwać nie tylko poetykę z poetyki, teorię z teorii literatury, ale i „dogmaty strukturalistycznego scjentyzmu" z rozpraw Janusza Sławińskiego.
Rzecz jednak w tym, że żaden z poststrukturalistycznych zarzutów kierowanych przeciwko strukturalizmowi w najmniejszym stopniu nie pasuje do rozpraw Sławińskiego...

4. Tezy poststrukturalizmu ukazują jednak „strukturalistyczną" refleksję Sławińskiego od zupełnie nowej strony. Sławiński nigdy co prawda nie był strukturalistą „ortodoksyjnym", ale to, co kiedyś w jego pracach mogło się komuś wydawać strukturalizmem „rozrzedzonym" lub „utajonym", dziś okazuje się... świadomym wyjściem poza strukturalistyczny paradygmat. Toteż tym wszystkim, którzy chcieliby widzieć w pracach Sławińskiego koncepcje nieuchronnie skazane na poststrukturalistyczną „zmianę warty" godzi się zwrócić uwagę, że mieszczą się one dokładnie w polu tych samych założeń, z których swój program uczynili ... właśnie poststrukturaliści.
Sławiński poststrukturalistą?! Czy nie jest to teza zbyt przewrotna —

nawet w obszarze stwierdzeń tak niewywrotnych jak te, do których przyzwyczaiła nas współczesna humanistyka?
By dostrzec prawdopodobieństwo tej tezy wystarczy wywikłać się z „błędu perspektywy", na który skazuje nas nieuchronnie liniowe datowanie (najpierw) strukturalizmu i (później) poststrukturalizmu w Polsce. To „później" oznacza faktycznie nie tyle pojawienie się poststrukturalizmu, co jego opóźnioną o lat kilkadziesiąt polską recepcję. Tymczasem początki zachodnioeuropejskich prac określanych dzisiaj mianem poststrukturalizmu sięgają połowy lat sześćdziesiątych i rozwijają się lawinowo w następnych dekadach. Czyli dokładnie w tym samym okresie, w którym powstają prace Sławińskiego. Tak więc już sama chronologia prowokuje do pytań o problemową zbieżność prac Sławińskiego i zachodnich publikacji poststrukturalistycznych. Rzecz jasna, chronologia — pozwalająca wpisać myśl Sławińskiego w horyzont zachodniego poststrukturalizmu — jest tu argumentem skromnym, ale niemożliwym do pominięcia.
Rzeczywiste zbieżności prac Sławińskiego i myśli poststrukturalistycznej kryją się oczywiście nie tyle w datach publikacji kolejnych rozpraw — jakkolwiek zbieżność jest tu oczywista — lecz w samym sposobie uprawiania nauki i ujmowania statusu nauki o literaturze oraz jej przedmiotu.

5. Nie ulega wątpliwości, że w tzw. literaturoznawstwie poststrukturalistycznym — niezależnie od jego wewnętrznego zróżnicowania, wielu niejasności i indywidualnych osobliwości — istnieje zgodność co do kilku idei stanowiących o rozpoznawalności tego nurtu i jego właśnie poststrukturalistycznej odrębności. Pierwszą jest przekonanie, że teoria literatury manifestuje się nie w sztywnym gorsecie homogenicznego metajęzyka, lecz w indywidualnym dyskursie, a zatem w praktyce pisania. To zaś oznacza, że dyskurs badacza nie jest przezroczysty, czyli że zawsze jest uwikłany historycznie i metodologicznie, a pod jego neutralnymi pojęciami buzuje płomień ukrytej aksjologii. A mówiąc inaczej: „usytuowanie" badacza jest aktywnym składnikiem wyników jego pracy. Po drugie: lingwistyczna koncepcja znaczenia jest nie wystarczająca do opisu obiektów werbalnie tak złożonych jak tekst literacki, a obiekt ten nie pozwala się sprowadzić do jednej lub „jedynie słusznej" wykładni znaczenio-

wej. Po trzecie, każdy tekst jest zanurzony w nieskończonej sieci powiązań kontekstowych, które czynią przekonanie o prostej reprezentacji rzeczywistości typową iluzją wiedzy naiwnej. A wreszcie, po czwarte, cechą tekstu jest jego integralna nieodczytywalność, która z jednej strony przemienia każdy wysiłek czytania w niedoczytanie (*misreading*), z drugiej natomiast zapewnia tekstowi swoistą niepochwytność przez języki, strategie czy metody stosowane przez badaczy literatury. Wynika też z tego, że poststrukturalizm odrzuca — by tak powiedzieć — monofoniczną i uprzywilejowaną (dominującą) pozycję badawczą, w jakiej mieli obsadzić siebie strukturaliści — zwłaszcza, gdy każdą dziedzinę kultury chcieli modelować na obraz i podobieństwo języka naturalnego. Co prawda, w Europie Wschodniej w pozycji uprzywilejowanej i dominującej „obsadzili siebie" marksiści, ale tę oczywistość można tu pominąć.

Nie ulega wątpliwości, że te cztery, choć mogłoby być ich więcej — najbardziej schematycznie zarysowane tu cechy refleksji poststrukturalistycznej — znajdują swe dokładne analogie w rozprawach teoretycznych Sławińskiego (a w pewnym stopniu także grupy badaczy, z którymi od wielu lat jest związany). Wyprzedzając dalsze rozważania powiem od razu: pola naukowych zainteresowań Sławińskiego i s p o s ó b uprawiania przez niego refleksji teoretycznoliterackiej mieszczą się dokładnie w obszarze, który można nazwać paradygmatem poststrukturalizmu.

„Poststrukturalizmu?! Wolne żarty!" — powie ktoś przyzwyczajony do wizerunku Sławińskiego–strukturalisty. „Gdzież bowiem znikł paradygmat strukturalistyczny, z którym Sławiński — jak wiadomo — sam dość długo się identyfikował?!" Jest to jednak paradoks pozorny.

Mówiąc najogólniej: strukturalizm dla Sławińskiego był — by użyć jego własnego terminu — jedynie „tradycją kluczową". Tradycją, czyli przede wszystkim źródłem inspiracji, wyborów i podniet intelektualnych oraz propozycją wzorów rozumowania, którymi można było się posłużyć do formułowania nowych zagadnień teorii literatury. Znamienne, że „teoriotwórstwo" Sławińskiego oznacza formułowanie nowych tematów czy problemów i wskazywanie sposobów ich rozwiązywania, a nie uszczelnianie i strzeżenie „czystości" istniejącej doktryny. Zastana teoria (a raczej zbiór nie kwestionowanych przekonań) to dla Sławińskiego zawsze rzecz niegotowa o dość wątpliwej koherencji wewnętrznej i praktycznej przydatności. Teoria literatury

to dla Sławińskiego raczej dziedzina do zrobienia, zadanie do wykonania, nowe wyzwanie intelektualne, a nie gotowa koncepcja przeznaczona do mechanicznego stosowania i reprodukowania. W tym sensie strukturalizm — a ściśle biorąc strukturalizm lingwistyczny, nawet w wersji Jakobsona — był dla Sławińskiego zaledwie jedną z kilku zastanych propozycji metodologicznych, w których można było odnaleźć inspirację dla sformułowania kilku nowych problemów teoretycznych, a nie jego własnym, Sławińskiego, kostiumem naukowym. W wymiarze metanaukowym strukturalizm umożliwiał wyjście poza pozytywistyczny paradygmat obiektów opisu sprowadzanych jedynie do przedmiotów — by tak rzec — fizycznie empirycznych. Przełamując XIX-wieczny wzorzec nauki (i marksistowską nowomowę) strukturalizm pozwalał w latach 60. i 70. uznać za przedmioty badań literaturoznawczych całości empirycznie niedostępne (np. struktury czy funkcje) lub mówiąc inaczej konstrukty niesprowadzalne do sumy swoich elementów. W tym sensie Sławiński był i pozostał strukturalistą, jakkolwiek, rzecz jasna, taki status obiektów badania jest dorobkiem całej XX-wiecznej nauki. Jednak w obrębie ścisłego paradygmatu strukturalistycznego był już Sławiński nie tyle „prawowiernym" strukturalistą, co jego literaturoznawczym „rekonstruktorem", swoistym „dyspozytorem" lub raczej nawet „translatorem" reguł, tez i pytań strukturalizmu na zupełnie nowy — nigdy jasno nie nazwany — porządek metodologiczny nauki o literaturze. Ten „translacyjny" wysiłek Sławińskiego widać wyraźnie w figurach jego własnego dyskursu: hiperpedantyczne dociekania strukturalizmu lingwistycznego czy semiotycznego Sławiński zastąpił teoretycznoliterackim esejem, a więc formą, która w naukowy wykład pozwala „wmontować" osobisty styl i sposób myślenia autora. Terminologiczną i definicyjną precyzję wzorowaną na naukach ścisłych zastąpił metaforycznymi adaptacjami terminów z bardzo różnych i odległych dziedzin wiedzy, a przede wszystkim z języka potocznego. Inspiracji Sławińskiemu dostarczyli tu niektórzy formaliści rosyjscy, a przede wszystkim inny „re-konstruktor" i „translator" strukturalizmu — Jan Mukařovsky i dorobek tzw. czeskiej szkoły strukturalnej. Z nimi też dzieli Sławiński większe zainteresowanie estetycznymi i historyczno-społecznymi funkcjami tekstu literackiego niż jego *stricte* lingwistycznymi komponentami (które w Polsce badała m. in. Maria Renata Mayenowa). Jednak nie tylko eseistyczny dyskurs już w punkcie wyj-

ścia różnił Sławińskiego od programowych strukturalistów. Różnił go przede wszystkim sam przedmiot badań, czyli rozumienie tekstu i zagadnień procesu historycznoliterackiego. A jak wiadomo, nie były to obiekty jakichkolwiek zainteresowań Ferdynanda de Saussure'a, Lévy–Straussa i ich następców...
Były to zagadnienia, które wymagały „stworzenia" nowego przedmiotu w zupełnie nowym języku.
Powtarzam więc tezę tej części moich wywodów: podjęta przeszło trzydzieści lat temu przez Sławińskiego próba dostosowania inspiracji strukturalistycznych do badań historycznoliterackich była *de facto* tworzeniem zrębów polskiego poststrukturalizmu.
Tkwi tu, co oczywiste, zasadnicza różnica pomiędzy poststrukturalistycznym dyskursem Sławińskiego a typowymi dziś i programowymi dyskursami poststrukturalistów zachodnich. Ci ostatni odrzucają strukturalizm *en bloc* jako najbardziej wyrazisty przykład wiedzy apriorycznej, dogmatycznej, wykorzenionej z historyczności i podmiotowości badacza. Ta negatywistyczna interpretacja strukturalizmu jest Sławińskiemu jak najbardziej obca. Nie tylko dlatego, że dotyczy wyjątkowo mechanicystycznej interpretacji strukturalizmu — która w Polsce właściwie nie istniała — lecz przede wszystkim jako generalna postawa metanaukowa. We wszystkim bowiem co racjonalne i pomysłowe, Sławiński jest gotów szukać pożytków dla intelektu i poznania, a przede wszystkim dla konkretnych przedsięwzięć badawczych. Sławiński bowiem, ten nienasycony i nigdy nie zaspokojony poszukiwacz idei nowych i oryginalnych, jest równocześnie kuratorem, by nie rzec: smakoszem ciągłości w nauce i sztuki adaptacji nowych pomysłów teoretycznych do wcześniejszych dokonań. Wystarczy tu wspomnieć o jego mistrzowskiej adaptacji — dla potrzeb literaturoznawczych — kluczowej w strukturalizmie problematyki funkcji komunikatów werbalnych, zagadnień poetyckości (literackości), odbioru i kompetencji, struktury głębokiej i powierzchniowej, i wielu, wielu innych pojęć i terminów. Mówiąc najzwięźlej: w dyskursie Sławińskiego strukturalizm był zawsze systematycznie przetwarzany i przekładany, a nie mechanicznie akceptowany, czy — jak w przypadku hunwejbinów poststrukturalizmu — apriorycznie odrzucany.

6. Przyjrzyjmy się teraz generalnym tematom dyskursu Sławińskiego pozwalającym na wpisanie go w horyzont poststrukturalistycznych praktyk pisarskich.

A. Punktem wyjścia rozważań Sławińskiego jest zawsze kwestionowanie istniejącej teorii czy mniemań uznawanych za oczywistą aksjomatykę pracy literaturoznawczej. Teoria czy doktryna — niezależnie od tego czy jest nią lingwistyczne lub socjologiczne rozumienie tekstu literackiego, czy marksistowska teoria ewolucji literatury — to dla Sławińskiego zawsze negatywny bohater jego rozważań. Gotowa teoria to uzurpator, który nie zna miary w stosowaniu swoich założeń, narzędzi i celów. Tymczasem obszarami zainteresowań Sławińskiego są — jak sam pisze — problemy o nie potwierdzonej zasadności, zagadnienia z punktu widzenia teorii prowizoryczne, narastające jakby na marginesach różnych dyscyplin literaturoznawczych, a bardzo często także kwestie odrzucone czy wyrzucone poza obręb ich doktrynalnej spoistości. Do tak rozumianej teorii zniechęca Sławińskiego ukryta w niej pasja doktrynalnej „czystości" i pedantyczny puryzm, które — mimo że niekiedy nie pozbawione efektownej elegancji — prowadzą zawsze do zawężenia i zubożenia wielowarstwowej i wielorodzajowej materii badań literaturoznawczych. Sławiński — jak wszyscy poststrukturaliści — w badanym obiekcie poszukuje zawsze nie „twardej substancji", lecz zespołów możliwości, a w teoretycznym dyskursie pochwala f u n k c j o n a l n y eklektyzm, z którym, co prawda, nie każdemu poststrukturaliście jest już po drodze...

B. Z drugiej jednak strony, brak zainteresowania Sławińskiego dla „czystej" teorii jest wynikiem jego „historycznoliterackiego praktycyzmu". Sławiński ani przez chwilę nie zapomina, że każde nawet najbardziej wyrafinowane szlifowanie teoretycznego instrumentarium musi się skończyć przysłowiową „próbą puddingu", czyli sprawdzeniem teoretycznych konstrukcji w pracy historycznoliterackiej. Dlatego dyskurs teoretyczny w wykonaniu Sławińskiego jest zawsze metarefleksją nad praktycznym badaniem procesu historycznoliterackiego i jego konkretnymi problemami. Esencją praktycznego sprawdzianu wiedzy teoretycznoliterackiej jest dla Sławińskiego możliwość prezentacji jej w formie syntetycznej. Toteż — jak pisze o sobie — „jego ulubionym gatunkiem wypowiedzi pozostają hasła encyklopedyczne". Kto je czytał, wie, że są to arcydzieła kunsztu wykładowcy.

No, tu rzeczywiście Sławińskiego i poststrukturalistów wszystko różni...

C. Osią całej refleksji Sławińskiego jest krytyka rozmaitych dualizmów traktowanych jako naturalne oczywistości literaturoznawstwa. Te dualizmy — ujmując rzecz w największym skrócie — to skrajnie odmienne języki opisu stosowane w różnych subdyscyplinach nauki o literaturze. Efektem takich procedur jest zawsze izolacja poszczególnych problemów poetyki, a przede wszystkim syntetycznych zagadnień historycznoliterackich i morfologicznych elementów dzieła. W swoich artykułach Sławiński poddaje analizie co najmniej kilkanaście takich dualistycznych przekonań, które nie tylko rozcinają przedmiot wiedzy o literaturze na zupełnie obce sobie części i całości, ale powołują też do życia byty jak gdyby należące do różnych dziedzin wiedzy. Należą do nich m. in.: przekonanie o całkowitej odrębności struktury dzieła i procesu historycznoliterackiego, struktury dzieła i sytuacji komunikacyjnej, językowej budowy utworu (poziomu stylistycznego) i poziomu świata przedstawionego, zagadnień referencjalności tekstu (słowo w literaturze a wskazywana rzeczywistość), zagadnienia innowacji (odrębności zmian indywidualnych i systemowych), statusu tekstu i jego kontekstów, odrębności zagadnień związanych z nadawcą i z odbiorcą utworu, fenotypu i genotypu, poezji i prozy, problemów historii literatury i sztuki interpretacji, a wreszcie — najbardziej zbanalizowanego przeciwstawienia, czyli życia i twórczości pisarza.

W każdym z tych dualizmów Sławiński szuka strefy wspólnej, a zatem przekładu tego, co odrębne na to, co podobne, tego, co osobne na to, co współzależne. Statyce przeciwstawia dynamikę, jednojęzyczności — wielojęzyczność, homogeniczności — heterogeniczność obiektu, zjawiska i problemy pozbawione dotąd relacji z pozostałymi wpisuje w gęste sieci wzajemnych zależności. Słowem, w wyizolowanych przedmiotach zainteresowań historycznoliterackich dostrzega możliwość przekładalności, dopełnień i wzajemnych oddziaływań. Kluczową cechą literaturoznawczych obiektów okazuje się w dyskursie Sławińskiego nie osobność, lecz ich i n t e r f e r e n c y j n o ś ć. Jakkolwiek nazywana, jest ona rdzeniem poststrukturalistycznego opisu każdego tekstu i działania.

D. Wśród zagadnień, którym Sławiński poświęcił w swoich pracach najwięcej miejsca znajdują się problemy krytyki literackiej (jej funk-

cji, języka, socjolektów, schematów rozumienia, wydolności interpretacyjnej), odbioru i odbiorcy, strategii czytania tekstów oraz kwestie analizy, interpretacji i wartościowania. Niewątpliwie wszystkie one — a zwłaszcza trzy ostatnie — należą do żelaznego repertuaru zagadnień literaturoznawstwa poststrukturalistycznego.

Rzecz jasna, takich analogii można by przeprowadzić znacznie więcej i uczynić to o wiele bardziej szczegółowo. To, co jest tu istotne sprowadza się do następującej tezy: niezależnie od odmienności terminologii, języków i tradycji badawczej, prace Janusza Sławińskiego pisane przez ostatnie trzydzieści lat były próbą zmierzenia się z pytaniami, które programowo i często prowokacyjnie stawiali poststrukturaliści: z pytaniami o wpływ języka badacza na opis tekstu, o wieloznaczność tekstu i pluralizm interpretacji, o pisarski (stylistyczno-retoryczny) wymiar filozoficzności i literackości tekstu, o językowo-konwencyjną pierwotność tekstu wobec jego funkcji denotacyjnych (poetyckość a nie reprezentacja), o granice pomiędzy literaturą a innymi rodzajami wypowiedzi werbalnych, o intertekstualny charakter wszelkich wypowiedzi, o rolę socjolektów w indywidualnych praktykach pisarskich i czytelniczych, o społeczno-konwencyjny status dyskursu literaturoznawczego, a przede wszystkim o gęstą sieć uzależnień, w którą — najczęściej nieświadomie — wplątani są autor, czytelnik, krytyk i badacz.

E. Na koniec trudno nie wymienić takiej cechy dyskursu Sławińskiego, która będąc jego stałym i jakby „osobniczym" elementem jest również od dziesięcioleci leitmotivem poststrukturalistycznych deklaracji i postulatów. A mianowicie: literaturoznawczy dyskurs Sławińskiego jest — by tak rzec — immanentnie antynormatywny i dogłębnie personalny. Antynormatywizm umożliwił Sławińskiemu dostrzeżenie i opisywanie działalności literackiej i literaturoznawczej jako wyboru, gry i konfliktu rozmaitych... norm i ich składników. Innymi słowy, umożliwił „dekonstruowanie" dyskursów i wypowiedzi do konstytuujących je i pierwotnych wobec nich historycznych socjolektów, indywidualnych wartości, figur retorycznych i złóż tradycji literackiej. Z kolei personalny charakter rozważań Sławińskiego pozwolił mu na konstruowanie wypowiedzi w imieniu badacza jako osoby, a nie jako reprezentanta czy funkcjonariusza nauki, doktryny, czyli megateorii — bo i tacy istnieją. Antynormatywizm chronił więc Sławińskiego przed pokusą wpuszczenia do dyskursu literaturoznaw-

czego wirusa ideologii i cenzorstwa (niekoniecznie politycznego). Z kolei personalizm z nazwania własnych, podmiotowych i społecznych uwarunkowań badacza, pozwolił uczynić zasadniczy problem naukowy dyscypliny.

7. Czy jednak wpisywanie dziś twórczości naukowej Sławińskiego w paradygmat poststrukturalizmu nie jest zabiegiem tyleż efektownym, co pozbawiającym ją jej „pierwotnej" siły i oryginalności? W tej interpretacji — mógłby ktoś powiedzieć — Sławiński–poststrukturalista z dawnego solisty staje się przecież chórzystą, z twórcy propozycji jedynych — autorem prac o problemach „seryjnych", z indywidualisty — tylko jednym z wielu reprezentantów modnego i wpływowego nurtu współczesnego literaturoznawstwa.
Nic bardziej błędnego. Dopiero dostrzeżenie w rozprawach Sławińskiego odpowiedzi na problemy literaturoznawstwa poststrukturalistycznego, pozwala umieścić je we właściwym kontekście historycznym i docenić oryginalność ich propozycji i ustaleń.
Temat to na książkę, więc wypunktuję go w największym skrócie.

8. Dyskurs Sławińskiego podporządkowany jest zasadzie poznawczej efektywności. Terminy, kategorie, nazwy, pojęcia pojawiają się w nim, by rozjaśnić to, co niejasne, uporządkować to, co rozsypane i niezborne, uchwycić to, co wymyka się dotychczasowym językom i pojęciom. Terminy stosowane przez Sławińskiego mają więc za zadanie precyzyjnie nazwać jakiś problem, a nie stanowić same pożywkę dla niekończących się przypuszczeń, hipotez, domysłów, interpretacji czy skojarzeń badaczy. Wystarczy — dla przykładu — porównać poznawczą i analityczną efektywność takich kategorii Sławińskiego jak „tradycja literacka", „gust", „kompetencja" i „wiedza", czy jego rozważania o interpretacji i wartościowaniu z analogicznymi, bo dotyczącymi podobnych zjawisk, terminami takimi jak np. *plaisir* czy *jouissance* Barthesa. Albo koncepcję „suplementu" Derridy ze Sławińskiego analizą akumulacji znaczeń w wypowiedzi narracyjnej. Różnice różnicami — *toutes proportiones gardées*, oczywiście — ale pytania, co komu uda się zjeść za pomocą, tych sztućców nie sposób stale pomijać.
Trzy są źródła terminologicznej efektywności dyskursu Sławińskiego.

Po pierwsze, Sławiński unika terminów „wytrychów" lub „worków", których ogólnikowość pozwalałaby na „kauczukowe" stosowanie do każdego obiektu, w każdej sytuacji i w dowolnym znaczeniu. Unika też ulubionych przez niektórych poststrukturalistów terminów *quasi*-filozoficznych, które nie mając żadnych związków z literaturą używane są jako „uniwersalne" eksplikacje zjawisk tekstowych. Słowo „tekst" — nigdy jasno nie zdefiniowane — zdaje się w nich być summą wiedzy teoretycznoliterackiej.
Po drugie, Sławiński wywodzi swoją terminologię z konkretnych problemów literaturoznawstwa określając precyzyjnie poziom i zakres ich stosowalności. Rzecz jasna, im wyrazistsza koncepcja literaturoznawczych obiektów, tym większa liczba i dokładniejsza specjalizacja poszczególnych terminów. Toteż w koncepcji Sławińskiego przedmioty literaturoznawczych zainteresowań badawczych to obiekty o bardzo wysokim stopniu morfologiczno-komunikacyjnej komplikacji. Odsłonić tę komplikację, nazwać jej poszczególne piętra i elementy, wskazać ich konteksty i uwikłania oraz terminy nazywające poszczególne zjawiska, a przede wszystkim znaleźć język, który łączyłby wszystkie te piętra pokazując ich wzajemne uzależnienia — oto zadanie, które zdaje się Sławińskiego fascynować najbardziej. Jednym słowem, Sławiński–analityk ani przez chwilę nie traci z oczu totalności dzieła, a zarazem — opisując jego jednostkowość — wskazuje całą sieć układów, w jakich jest ono zanurzone.

9. Tu niewątpliwie jest miejsce, z którego najwyraźniej widać oryginalność koncepcji Sławińskiego na tle poststrukturalistycznych wariacji na temat tekstu, jego czytania i interpretowania. Wszystkie te wariacje wyrastają ze sloganu (którego autorem jest chyba Derrida), że nie ma niczego poza tekstem. Jeśli pominąć rozmaite pytyjskie wykładnie tego stwierdzenia, to jego sens — w pracach poststrukturalistycznych — sprowadza się do przekonania, że tekst jest jak gdyby werbalnym „pulsarem", który nieustannie wypromieniowuje z siebie potężne i stale rozpraszające się porcje znaczeń. Koncepcja Sławińskiego sprowadza się — *toute sproportiones gardées* — do tezy przeciwnej. Nie ma „nagich" tekstów, które tylko sobie zawdzięczają pulsującą energię swoich znaczeń. Tekst jest miejscem szczególnej kondensacji zjawisk, które p o ś r e d n i c z ą pomiędzy wszystkimi podmiotami komunikacji językowej (od autora do czytel-

ników). Ta sfera pośrednicząca — Sławiński nazywa ją najczęściej „kulturą literacką" jest nie tylko systemem orientacyjnym autorów i czytelników, lecz także systemem generującym „życie" tekstu: a więc jego powstawanie, historię, czytanie, klasyfikowanie, interpretowanie, etc. Teksty nie są samopromieniującymi monadami, o których jedynie można powiedzieć, że nic o nich nie można powiedzieć na pewno. Teksty są przede wszystkim skomplikowanymi wiązkami informacji. A nauka o literaturze jest sztuką ich odczytywania. Prace Janusza Sławińskiego — interpretacyjne i teoretyczne, analityczne i syntetyczne od przeszło trzydziestu lat są tego fascynującym, choć wymagającym współ-myślenia dowodem.

10. Jeśli w koncepcjach teoretycznych Sławińskiego odnaleźć można tak wiele analogii z problemami formułowanymi przez poststrukturalistów, to dlaczego — można by zapytać — rozprawy Sławińskiego są prawie nieobecne w polskich rozważaniach o literaturoznawstwie poststrukturalistycznym (wyjątkiem są studia Ryszarda Nycza)? O błędzie chronologii wspomniałem na początku. Dwie przyczyny — w formie cytatów cisną mi się jeszcze pod pióro. Pierwszy, zaczynający się od słów: „cudze chwalicie, swego nie znacie...". I drugi — w którym Miłosz mówi o polskiej recepcji Witkacego — „nie czytać jego książek, prawie obowiązek"...

lipiec 1994

Edward Balcerzan

Sześć początków

Szkic o Januszu Sławińskim zaczynałem pisać wielokrotnie, za każdym razem od nowa, w czasie nieżyczliwym dla skupienia myśli. Wkrótce zorientowałem się, że to, co piszę — powierzając kolejne fragmenty pamięci komputera — nie da się nazwać spójną, ewoluującą całością, albowiem żaden kolejny zapis nie jest na przedłużeniem zapisów wcześniejszych, natomiast każdy mógłby być — początkiem. Słowem wstępnym. Czyli, dopiero jego rozwinięcie, udramatyzowanie, sprawdzenie w obrazie, wyostrzenie w paradoksie, uwierzytelnienie w stanie badań, uwieloznacznienie w cudzym słowie — otwierałoby drogę dla całości, która jednakowoż ukształtować mi się nijak nie chce. Miałem zapas początków, żaden nie nadawał się do tego, by zostać środkiem lub końcem, a próba dopisania do któregoś z nich dalszego ciągu kończyła się narodzinami... jeszcze jednego początku.

Skapitulowałem. Sytuacja wymusiła swoją rację. Jak u Białoszewskiego. Posyłam „Tekstom Drugim" (czas nagli) garść początków szkicu o Sławińskim. („Garść początków", mógłby się tak nazywać pewien wariant ciągu sylwicznego, skoro inny model wypowiedzi nazywamy — za Sławińskim — „rzutem oka".) Przy dobrej woli Czytelnik znajdzie dla mojej decyzji stosowne uzasadnienie: już to

w ogólnej filozofii bytu (wszak to Julian Przyboś napisał: „bo jeśli co jest, jest wieczny początek"), już to w magii (może niechęć Sławińskiego do komputera mieszała mi szyki na telepatycznej linii Warszawa–Poznań?), już to w genologii (tekst złożony z początków — to coś w stylu „Tekstów").

Początek pierwszy

„Za Sławińskim ktoś z nas powinien chodzić krok w krok, z długopisem i notesem, a co powie — zapisywać, zapisywać, zapisywać." Jestem pewien, że tak właśnie mówił, a mówił z przejęciem, młody wówczas, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich, Zbigniew Jarosiński. Żeby te słowa usłyszeć prawdziwie, trzeba rozumieć ówczesną aurę życia polonistycznego. Wtedy ludzie byli siebie ciekawi. I to „w sposób szczególny", jak mawia Jan Paweł II. Garnęli się do siebie, podpatrywali „badawczo", ustalali gremialnie, kto jaki jest, przepytywali się wzajem z lektur i gustów, pisywali do siebie listy drżące od miłości (do teorii literatury na przykład), a posługiwali się polszczyzną zadbaną, z entuzjazmem tworzyli folklor środowiskowy (limeryki, bajki, ucieszne a sprośne nagrobki), spędzali razem dni i noce konferencyjne, śpiewali piosenki o Czapajewie–gieroju, chorej na niestrawność przepiórczce, tudzież o ciemniakach buszujących w peerelu.

Bez wątpienia w tym środowisku (w tamtych czasach) Sławiński był centralną postacią (więcej niż) opiniotwórczą. Z konferencji przywoziło się nie tylko zeszyty pełne notatek, i nie tylko zabawne rymy: także to, co powiedział Sławiński. Specjalny towar, osobny *genre*. Jego zaczepki, repliki, riposty. W równej mierze liczyły się sensy, jak i koncepty retoryczne Janusza.

Na przykład. Na sesji w Świnoujściu (biografia i geografia literacka) doszło to kontrowersji między Sławińskim a Marią Janion. Janusz twierdził, że jeżeli mamy badać — oprócz tekstu — osobowość, to badajmy ją, ale tylko jako wiązkę ról.

— Jeżeli osobowość ma być tylko wiązką ról — zaprotestowała wówczas Maria Janion — to proszę mi powiedzieć, czym jest to, co w człowieku wyje w nocy?

— Ja pani zaraz wyjaśnię — zareagował błyskawicznie Janusz. —

W nocy wyją wyrzuty sumienia spowodowane tym, żeśmy nie wywiązali się z obowiązków nałożonych nam przez jedną z ról.
Rozjeżdżaliśmy się do swoich uniwersytetów w różnych miastach Polski i rozmawialiśmy po sławińsku. Środowiskowy dialekt sycił się Januszowymi wypowiedziami, które syntetyzowały nasze nastroje, domysły (często polityczne).
O Sławińskim i Bachórzu usłyszałem po raz pierwszy od Anki Barańczakowej. Potem od innych kolegów. A potem to już krążyło jak skrzydlate słowo nad małymi ojczyznami polonistów.
Było tak. Końcówka lat siedemdziesiątych. Późny Gierek. Aura bez oddechu. Czarne listy cenzury, ubeckie nadzory, represje wobec opozycji KOR-owskiej i SKS-owskiej. Konferencja teoretycznoliteracka (w Toruniu?). Właśnie kończy się bankiet (pożal się Boże), zwany wieczorkiem zapoznawczo-odpoznawczym. Nie kleją się rozmowy, nie radują dowcipy. Przy niesuto zastawionym stole dymią popielniczki, więdnie sałata, salceson traci połysk, z wody mineralnej ulatują ostatnie bąbelki. Dłużej się milczy niż mówi. Milczący Janusz wpatruje się w milczącego Bachórza. Nagle pyta:
— I co z nami będzie, panie Bachórz?

Początek drugi

Nie byliśmy towarzystwem wzajemnej adoracji. Nie byliśmy sprzysiężeniem wzajemnej zawiści. W redakcji „Tekstów" (Jan Błoński, Janusz Sławiński, Stefan Treugutt i ja) oceniało się przede wszystkim prace cudze, zakładając, że każdy z nas za wypowiedzi własne sam ponosi odpowiedzialność (przed ołtarzem św. Nauki). A przecież całkowite w tej kwestii milczenie byłoby czymś nieszczerym. Raz po raz któryś z nas wypowiadał się na temat tekstu kolegi z redakcji. Zdarzało się to rzadko i przeżywało się jak szczególne wyróżnienie (ciekawe, że nie tylko pochwałę, ale i przyganę). Więc trzeba było każdą taką ocenę przemyśleć i wystylizować.
W tym najlepszy był Janusz. Jeżeli chwalił, to najzupełniej zwyczajnie. Ale jeżeli ganił, to — z konceptem, wychowawczo, edukacyjnie, by zganiony zapamiętał i nie powtórzył błędu.
— Twój felieton do numeru o ciele — zagadnął mnie kiedyś.
— Tak? Nie zgadzasz się z moimi tezami...
— Z tezami mógłbym się zgodzić. Tylko ty go tak skomponowałeś,

jak gdybyś chusteczkę z lewej kieszeni wyjmował przekładając prawą rękę za kark.

Początek trzeci

To niesprawiedliwe, a i niedorzeczne, że w języku literaturoznawczym pojęcie „życiopisania" jest ograniczone do outsiderów, artystów „przeklętych", wpędzonych w samotnię. Jak gdyby „pisać życiem" to musiało koniecznie znaczyć — skłócić się z życiem ogółu, potem z życiem w ogóle, i porzucić świat przedwcześnie, tragicznie. Tymczasem, gdyby zastanowić się nad pełnią sensu tego słowa, należałoby w „życiopisaniu" dostrzec także innych aktorów. Dlaczego, pytam, zmówiliśmy się, by „życiem" nazywać jedynie bolesną autodestrukcję? A konstruowanie? Z jakiej racji „życiem" (prawdziwszym?) ma być gra w pokera, dworcowa bezsenność, sny wytrzeźwieniowe, zastrzyki dożylne i prochy, a nie mają być życiem wielogodzinne obrady komitetu organizacyjnego konferencji naukowej, ani (z reguły honorowe) prace w gremiach dzielących fundusze i nagrody, ani pomysły edytorskie czy redagowanie ksiąg zbiorowych? Janusz Sławiński. Odkąd go znam, a znam od 1964 roku, gdy na konferencji teoretycznoliterackiej w Ustroniu jednego dnia zdruzgotał mój (debiutancki) referat (o sygnałach ważności), skutkiem czego zastanawiałem się nad zmianą zawodu, następnego zaś poinformował mnie o przyjęciu do druku tego referatu, co prawda w skróconym wariancie, ale to mi wystarczyło, by, szumnie mówiąc, znów w siebie uwierzyć, otóż Janusz Sławiński uprawia życiopisarstwo równie, jak „przeklęci", intensywne, a do „przeklętego" nie podobne chyba w niczym.
Może jeden rys jest zbliżony. Twórcy z kręgu bohemy gubią swoje pomysły. S ł a w i ń s k i j e r o z d a j e. Ile razy słyszałem, jak proponuje któremuś z młodszych kolegów: mam pomysł, nie mam czasu, ja panu opowiem, a pan niech napisze.

Początek czwarty

Już we wczesnych pracach naukowych Sławińskiego można wykryć u t a j o n y w ą t e k a u t o b i o g r a f i c z n y. Mam na myśli autobiografię duchową, nie obrazy ludzi i zdarzeń (to pojawi się u niego później). Kwestią ważną badawczo, ale i nieobo-

jętną prywatnie, jest dla Janusza Sławińskiego mechanizm autorytetu.
Spójrzcie, jak rzadko w swych zainteresowaniach naukowych oddala się od pisarzy wybitnych, osobistości znaczących. Drugorzędność nie pociąga go, nie aktywizuje. (Wyjątków od tej reguły znajdziecie niewiele.) Na marginesie jego uwag o Peiperze, Przybosiu, Białoszewskim pojawiają się celne obserwacje odnoszące się do fenomenu wielkości, za którą „nic nie stoi" — prócz mądrości. Sławiński nie napisał na ten temat rozprawy teoretycznoliterackiej, ale w jego *Posłowiu zamiast wstępu* (z tomu *Wypowiedź literacka a filozoficzna*, Wrocław 1982), znajduje się godny uwagi akapit końcowy, w którym — za Gadamerem — rozważa analogie losu poety i filozofa, a obserwację Gadamera o wspólnym im „ciągłym głodzie języka" poszerza o stwierdzenie, iż wspólny jest tu także „głód przedmiotu, o którym pragnęłoby się mówić, głód problematyki, którą chciałoby się odkryć, wreszcie głód publiczności, wartej tego, by mieć ją za własną". Filozof i poeta, powiada dalej Sławiński, znajdują się w sytuacji permanentnego nieumiejscowienia.

Nie ma ich nigdzie, bo mogą być wszędzie — chciałoby się rzec, parafrazując Leśmiana. Obaj czynią z tego nieumiejscowienia problem; ich usiłowaniom patronuje utopia komunikacyjna: wiara w to, że można wypowiadać rzeczy doniosłe, przebywając w nieokreślonej strefie, która rozciąga się poza obszarem zinstytucjonalizowanych kodów mowy. Nie jest to utopia pozbawiona wymownych spełnień.

To stwierdzając, Sławiński rysuje swój autoportret.

Początek piąty

Zauważyłem, że gust lingwistyczny cechuje ludzi o zmysłowej wrażliwości na świat. Słowa im pachną, smakują, dźwięczą — wcale nie zamiast kwiatów, deserów czy orkiestr, lecz na równi z nimi — obok rzeczy. Słowiarze–sensualiści są w odniesieniu do obu sfer rzeczywistości (słowa i ciała) jednakowo perfekcjonistyczni. Rzadko zadawalają się czystym instynktem, sensualizm przemieniają w ideologię.
Kiedyś — w tej perspektywie — opiszę lingwistycznych poetów romanse z materią, wtedy opowiem, jak z iście fundamentalistyczną zawziętością Tymoteusz Karpowicz pilnuje, by najsubtelniejsze odcienie czy połyski biurka, regałów, teczek i pudeł z fiszkami

odpowiadały wiernie jego ideałom estetycznym; jak razu pewnego w Ameryce odkryłem słodką tajemnicę innego lingwisty, Staszka Barańczaka, a okazał się nią potężny zapas czekolad w biurku uczelnianym.

Jedną z pierwszoplanowych postaci w mojej opowieści o zmysłowych predylekcjach ludzi słowa będzie Janusz Sławiński. Teoretyk „poezji lingwistycznej", autor dekalogu jej norm (zawartych w książce o języku poetyckim awangardy), Sławiński okazuje się w tym względzie osobowością idealnie reprezentatywną. Niektóre jego pasje znam, co prawda, tylko ze słyszenia. Na przykład rowerową, która dla mnie, starego cyklisty, czymże jest? — doznaniem przyjemności, ba: rozkoszy cielesnego spotkania z wiatrem, ekstazą skóry objętej powietrzem. Wśród zmysłowych upodobań Sławińskiego są i takie, z którymi się zdradza niechętnie. Taniec? Nigdy w czasie wieczorków zapoznawczo-odpoznawczych na konferencjach teoretycznoliterackich nie widziało się Janusza na parkiecie. Nie pamiętam go w rytmie walca, a co dopiero w zwinnych zaskrońcach lambady. Przez wiele lat wydawał mi się człowiekiem spoza rzeczywistości dancingowej. Aż raz oświadczył (surowo):

— Musisz wiedzieć, że ja bardzo dobrze tańczę.

Dwie (pozalingwistyczne) namiętności Sławińskiego dane mi było obserwować bliżej. Żywieniową oraz kostiumową. Pierwsza stała się źródłem precyzyjnego systemu poglądów, a zarazem regulaminem zachowań, tyleż hedonistycznych, co i leczniczych. W tym systemie Janusza istnieje coś więcej niż kuchnia i — ewentualnie — apteka, istnieje w nim człowiek zaprogramowany tak, że nie dokuczają mu wątpliwości, co jest smaczne, a co niejadalne, ile razy można na tym samym oleju smażyć frytki (Janusz umie gotować), dlaczego węgierska gruszkówka od szkockiej whisky doskonalszą jest, jaką przewagę w leczeniu dolegliwości żołądkowych mają nad ziołami minerały, itd. W żywieniowo-leczniczym systemie Janusza króluje dialektyka — całkowicie podległa woli dysponenta reguł. Wszystkie normy, ustalane arbitralnie, są tu pielęgnowane z profesjonalną akrybią. A potem radośnie łamane.

Nie wykryłem natomiast systemu w upodobaniach Janusza związanych z ubiorem — cudzym. Wygląd człowieka manifestujący się w ubiorze — Sławińskiego mocno intryguje. Może teraz mniej.

Dawniej potężnie. Człowiek plus ubiór zwykle raczej go irytował niż cieszył. Było to spontaniczne, gwałtowne, niemal „dzikie" uleganie emocjom, głównie, jak powiadam, negatywnym, sprowadzającym się do odruchu typu „Boże, co on na siebie włożył!".
Wydawało mi się od początku naszej znajomości, że akurat tych żywiołów sam Sławiński w sobie nie rozumie. Nigdy ocen swych nie komentował, nie ujawniał norm. Tylko raz, gdy zostałem przez niego zbeształy za to, że ubrałem się jak cebula, skrawek wyziera spod skrawka, koszula spod swetra, sweter spod marynarki, marynarka spod szalika, szalik spod kurtki... Wtedy, gdy mnie beształ (i tarmosił), pomyślałem, że sam rzeczywiście wygląda inaczej. Jednolity jest Sławiński, w spodniach i półgolfie. A więc pewno w jego reakcjach na strój istnieje ukryta linia estetyczna, która wiedzie ku ascezie?
Ale oto w Warszawie zjawił się Jerzy Ziomek. W czarnej koszuli (była taka moda). Ziomka nie zaczepi, pomyślałem, czerń jest ascetyczna. Pomyliłem się. Janusz zerknął na Ziomka i:
— Wyglądasz — powiedział z przyjaznym uśmiechem — jak bliski współpracownik Mussoliniego.
Hipoteza o ascezie padła.

Początek końcowy

Pewno nie ma nic osobliwego w tym, że ktoś miewa nastroje raz lepsze, raz gorsze. Nie widać także (na pierwszy rzut oka) powodów do analizy prostego faktu, że pozwalamy sobie na humory gorsze poza domem, lecz gdy w domu przyjmujemy zaproszonych gości, pragniemy obdarować ich sobą — w wydaniu najsympatyczniejszym.
Taki jest Janusz Sławiński. Banalne? A jednak.
Sławiński to urodzony przywódca. W najszlachetniejszym (rzadkim) sensie tego słowa. Potrzeba kierowania (kimś lub czymś) łączy się w nim z instynktem opiekuńczym. Gdy jednocześnie może być dowódcą i doradcą, przewodnikiem i pielęgniarką, nauczycielem i dostarczycielem smakołyków, wtedy ma to, czego szuka.
Kiedyś przyjechał do Poznania. Zwiedził śródmieście i okolice Starego Rynku. Następnego dnia mieliśmy razem pojść do Muzeum

Narodowego. Trasę od PTPN do Muzeum przemierzałem w życiu swym tysiące razy. Znam ją tak, jak pracownik IBL-u zna drogę od Pałacu Kultury do Pałacu Staszica. A mimo to Sławiński zaczął mnie — tą właśnie trasą — oprowadzać! Z uporem mi wyjaśniał, którędy można na piechotę, którędy tramwajem. Najpierw się broniłem:

— Janusz, ja w tym mieście mieszkam kilkadziesiąt lat!

Wreszcie zgodziłem się. Niech ma, czego chce. Niech on prowadzi. Bez takich dziwnych ustępstw, czym byłaby przyjaźń?

Poznań, maj–czerwiec 1994.

Erazm Kuźma

Metafory Janusza Sławińskiego

Niech to wyznanie padnie na początku: ja po prostu uwielbiam pisanie Sławińskiego (mówienie też). Sens tego uwielbienia zaraz jednak ograniczę: jest w nim sporo samouwielbienia, bo najzwyklej w świecie cieszę się sobą czytającym (słuchającym) Sławińskiego i rozgrywającym z nim własną partię szachów (o czym on, oczywiście, nie wie). W rozgrywce tej radość płynie z rozpoznania związków między ruchami figur, powierzchnią (są na niej figury–metafory) a głębią sterującą figurami, taktyką, strategią. Oczywiście, wygrywam te partie, bo wiem więcej niż „Sławiński", sięgam poza metafory, poza strategię — do praw ogólnych, do duszy „Sławińskiego". Idę za jego zasadą wyrażoną metaforycznie (!): tekst powierzchniowy „należy zgruchotać, ażeby odsłonił się utajony sens «głęboki»" (P, s. 30)[1]. Posługuję się tu cudzysłowem — metaforą minimalną stosowaną nagminnie w pierwszej książce, by zaznaczyć, że ten cudzysłowowy „Sławiński" jest moim wytworem, a moja wyprawa była „ekspedycją pacyfikacyjną" (P, s. 51), w której ratowałem swoje dobre mniemanie o sobie przez wmówienie, że dotarłem swą ekspedycją do jądra, że nie ma już tajemnicy. Moja

---

[1] Nawiasowe odsyłacze w tekście oznaczają książki Janusza Sławińskiego: D — *Dzieło, język, tradycja*, Warszawa 1974; K — *Koncepcja języka poetyckiego Awangardy krakowskiej*, Wrocław 1965; P — *Próby teoretycznoliterackie*, Warszawa 1992; T — *Teksty i teksty*, Warszawa 1990. Cyfry po cytatach wskazują strony.

radość wygranej miesza się więc z niewygodną świadomością, że grałem niezbyt czysto, że Sławiński (bez cudzysłowu) szybko dałby mi mata. A może nie? Przedstawię więc zapis tej partii.

Najpierw generalia. Jak mówi Sławiński — retoryka krytycznoliteracka ujawnia system pojęciowy i składnię języka (P, s. 134). Retoryka Sławińskiego zmienia się w czasie, jest więc świadectwem jego wewnętrznych przemian. A wyglądają one tak. Najpierw świat jawił mu się jako napięcie, relacja między przeciwieństwami. Jak przystało na strukturalistę, myślał on opozycjami, między innymi opozycjami: dosłowne–metaforyczne. Było to złudzenie. Nie ma takiej opozycji, wszystko jest metaforyczne, także mówienie o metaforze może być tylko metaforyczne. Struktura — podstawowa kategoria stosowana w pierwszej fazie — jest też metaforą, jak wszystko inne, tyle że abstrakcyjną. Sławiński traktował ją jednak jako *sui generis* rzeczywistość, którą można przybliżyć metaforą ukonkretniającą. Poza strukturą istniał jeszcze „świat" pisany w cudzysłowie (np. K, s. 49), a więc jako minimalna metafora; w Grenadzie była już zaraza, tyle że otoczona jeszcze kordonem sanitarnym mowy dosłownej, niecudzysłowowej, heterotelicznej.

Inna opozycja tego czasu to zewnętrzność–wewnętrzność, mająca zresztą ścisły związek z opozycją poprzednią. Sławiński, idąc za wzorami badanych przez siebie awangardzistów, wycofywał się ze swego „ja" w „my", panujące niepodzielnie w książce *Koncepcje języka poetyckiego Awangardy krakowskiej*. To, co w niej pisze na ten temat, można odnieść i do niego, a pisze tak: „Awangardowy wzorzec «ja» lirycznego wyrósł w zdecydowanej opozycji do koncepcji poety jako człowieka pierwotnego. Było to «ja» komunikujące swoje oddalenie od żywiołowości i pierwotności przeżyć. «Ja» wstydliwie zacierające ślady, które mogłyby wskazywać drogę do «życiowego» uczucia leżącego u podstaw wypowiedzi" (K, s. 152). Budowanie dystansującego języka, próba dosłowności, posługiwanie się zaimkiem w liczbie mnogiej — to było owo „wstydliwe zacieranie śladów".

I jeszcze jeden typ opozycji rządził pierwszą fazą: serio–ludycznie. Sławiński pisał serio. W takim pisaniu metafora zagraża elementem zabawowym, zagraża fortunności wypowiedzi, jak twierdzą teoretycy aktów mowy.

Ale, jak powiedziałem wyżej, zaraza już była w Grenadzie, a później ogarnęła to, co było poza murami: zniepraviła metajęzyk, ujawniła

«ja» liryczne, podważyła naukę (a w każdym razie teorię). Najlepiej to widać, gdy porównuje się rozsypane w czasie przeszło dwudziestu lat artykuły poświęcone zbliżonej tematyce, na przykład interpretacji: *O problemach sztuki interpretacji* (1966), *Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego* (1976), *Uwagi o interpretacji (literaturoznawczej)* (1987). Narasta w nich świadomość, że od metafory nie ma ucieczki jak tylko w inną metaforę i że dyskurs krytycznoliteracki też jest autoteliczny (D, s. 221). Może to nawet nie jest pierwszy krąg, który Sławiński zatacza (od serio do ludyczności i z powrotem, od dosłowności do metaforyczności i z powrotem), bo w jednym z autobiograficznych wspomnień (T, s. 205 i n.) powiada, że też uległ ukąszeniu heglowskiemu, też tańczył w objęciach Edzia. Posługuję się tu metaforami stosowanymi przez Sławińskiego w szkicu o Andrzeju Walickim, zatytułowanym *Jeszcze jeden ukąszony, choć poranek świta*. Sławiński został jednak ukąszony ciemną nocą, nie o poranku, o poranku to on już się śmiał, ale zjadliwość, z jaką pisze o Walickim, zdaje się świadczyć, że liże własne rany. Wracam do wspomnianego wyżej szkicu: czytamy w nim, że kryzys wiary w „nowe literaturoznawstwo" (oczywiście — marksistowskie) wyraził się w jego parodiowaniu, pastiszowaniu. „Takie były ludyczne początki kryzysu legendy" (T, s. 210). Później w ludyczności rozpłynęła się legenda strukturalizmu, który pierwotnie miał być lekarstwem na marksizm. Kiedy Sławiński w *Zwłokach metodologicznych* pisze o „wzrastającym znaczeniu pierwiastka l u d y c z n e g o w działaniach humanistów" — pisze też o sobie, a też i o swej ewolucji: pierwotnie element ludyczny był „utajony w cieniu zadań poważnych i odpowiedzialnych — ugruntowania Wiedzy, docierania do Prawdy, propagowania Dobra. Dla sytuacji obecnej znamienna jest natomiast ludyczność nie skrywana, a nawet drażniąco ostentacyjna" (T, s. 43). To pierwsze — to książka o Awangardzie krakowskiej; to drugie — to pisma z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Teza, że Sławiński oscyluje między biegunami dosłowności i metaforyczności jest do podważenia dwoma sposobami. Najpierw ukazaniem, że dosłowność jest nieświadomie metaforyczna, o czym już mówiłem, później — że świadomie stosowane metafory zawsze istniały w dyskursie Sławińskiego. Tak, ale na początku jest ich niewiele, trzymane są w ryzach, dopiero później rozmnożą się tak, że ich ilość sprawi, że dyskurs przejdzie w nową jakość — jakby powiedzieli kla-

sycy (marksizmu). Bo jest tak, że ze swoich doświadczeń społecznych, które nieuchronnie werbalizują się w metaforach konkretnych, buduje Sławiński wielką abstrakcyjną metaforę struktury hipostazowaną jako nauka o świecie (od praktyki do teorii, od teorii do praktyki — ach, ci klasycy!). W tej wielkiej metaforze zdarzają się jednak pęknięcia, ukazujące materiał z jakiego jest ona zbudowana: małe metafory konkretne. Jeśli one przedarły się przez cenzurę wewnętrzną, to znaczy, że są to metafory obsesyjne (jak twierdzi Charles Mauron), przynależne do mitu osobistego, metafory zakotwiczone w genotypie.
Jakie one są? Powiedzmy najpierw ogólnie, że wszystkie metafory odnoszą się albo do relacji przestrzennych, albo do czasowych, albo mieszanych. Wielką metaforę struktury — zdawałoby się — najlepiej budować małymi metaforami konkretnymi odnoszącymi się do relacji przestrzennych. Uczeni w piśmie twierdzą, że w ogóle relacje przestrzenne są prymarne, a i Sławińskiego kusi hipoteza, że opis, a więc to, co przestrzenne, jest bardziej elementarne niż opowiadanie, a więc to, co czasowe (P, s. 196). A jednak metafora odnosząca się do relacji czasowych jest częstsza, metafora działania, akcji, która w późniejszych tekstach Sławińskiego rozwinie się w narrację, w anegdotę, w fabułę. Bo metafora to fabula w miniaturze (tak pisze Paul Ricoeur), te metafory musiały więc w końcu rozsadzić strukturę.
Najwyższy czas, aby dać parę przykładów z pierwszej książki Sławińskiego. Otóż są to przykłady odwołujące się do gier wojennych i gier społecznych. Pisanie pracy, to „osaczanie tematu". Poetyka Peipera, to „regulamin działań poetyckich". Istotą poezji awangardowej jest „«akcja» rozgrywająca się wśród znaków i znaczeń językowych", „wyrazy przymuszają się jakby wzajemnie do wieloznaczenia", słowa „tłoczą się i rozpychają", metafory stwarzają „nowe przewody dla przepływu «energii» semantycznej", chwyty składniowe są „środkami rozruchu znaczeń", elipsa „tnie strumień przedstawień", „interesy obu stron (składni i metrum) są skłócone", poemat awangardowy jest „ucieczką od wiadomości zerowych", zdarzenia w poezji Przybosia „stanowią nieustanną agresję wobec sprawdzianów empirycznej oczywistości". To wszystko przeciwstawia się na przykład poezji dadaistów czy surrealistów, w której znaki „stanowią zbiór całkowicie demokratyczny: wszystkie jego elementy są zrównane w prawach" (K, s. 7, 17, 38, 47, 67, 69, 74, 77, 83, 115, 138, 153).
Metafora gier społecznych i gier wojennych przerodzi się w małe nar-

racje, na przykład w szkicu *Z poradnika dla doktoranta* (T, s. 77) czy w *Zwłokach metodologicznych*. Tutaj w narracji włożonej w usta metodologa pada porównanie jego pracy do wytwarzania narzędzi stosowanych do określonego działania (T, s. 38). To pociąga za sobą następną metaforę — spożytkowania tych narzędzi do budowy, jednak

[...] budowli jakoś nie widać, ale za to placów budowy nieustannie przybywa. Na każdym ruch i krzątanina: jedni znoszą sprzęt, drudzy go segregują, inni ustawiają gdzie trzeba, a jeszcze inni skrzętnie wszystko zapisują na specjalnych formularzach. I oto ulica złożona z samych placów budowy. I oto miasto złożone z takich ulic. Byłby to stosunkowo trafny wizerunek dzisiejszej humanistyki. Ale projektanci i budowniczowie przyszłych pałaców sami muszą przecież gdzieś mieszkać. Wokół placów budowy wyrastają prowizoryczne budki, baraki i lepianki. W tych byle jakich pomieszczeniach toczy się prywatne życie projektantów i budowniczych [T, s. 42].

Kulminacją jest narracja pierwszoosobowa kontynuująca metaforę:

Spoglądam przez okno: są! moi dobrzy znajomi. Widzę ich nieomal codziennie. Rozsypani w malowniczą grupę na zrytym przez buldożery placyku osiedlowym. Niby w zespole, a przecież każdy oddzielny — zatopiony w sobie, oparty o łopatę, zastygły jakby w gotowości do wykonania nią pierwszego ruchu. Nie rozglądają się ciekawie wkoło, jak bezczelni próżniacy; przeciwnie: są boleśnie skoncentrowani. Nie ma w ich postawie luzu właściwego ludziom odpoczywającym po wysiłku. Bo też nie odpoczywają — nie mają po czym. Praca ich dopiero czeka — powinni wykopać rów. Mijają godziny, dnie, tygodnie, pory roku — a oni (ci sami? inni?) w nie zmienionych pozach, dokładnie tam gdzie poprzednio, w osobliwym bezruchu. Trwają. Ich powstrzymywanie się od podjęcia działań, na przekór wszelkim sprzyjającym okolicznościom, graniczy już z prawdziwym heroizmem" [T, s. 43–44].

Dalej nastąpi przezabawna refleksja na temat narzędzia — łopaty i jednostki kopania — „kopemu" — ale ważniejsze jest co innego: powoli nad całą narracją metaforyczną nadbudowuje się drugie piętro: w symbolu człowieka opartego o łopatę wbitą w ziemię i dumającego nie wiadomo o czym zrównany został wyrafinowany metodolog i niewykwalifikowany robotnik.

Nie mogąc opisać wszystkich metafor, skupię się na jednej, obsesyjnej, generującej wiele innych, a może nawet wszystkie — jest to metafora enklawy, rezerwatu, getta. Rodzi ona przede wszystkim metafory ruchu: z jednej strony dążenia, by wejść do środka, być w nim; tak powstają metafory wyprawy, akcji pacyfikacyjnej, podboju, agresji. Z drugiej — ruchu odśrodkowego; tak powstają metafory ucieczki, wędrówki, błądzenia. W książce o Awangardzie krakowskiej owym rezerwatem jest „język w języku". Wprawdzie awangardziści

tworzyli „język w języku" po to, by wyjść z getta literatury i działać na społeczeństwo, ale Sławiński — w pełni świadomy tego dążenia — powiada, że te sprawy „znajdują się poza granicami zainteresowań" jego pracy. Pierwsza książka jest więc osaczeniem i podbojem rezerwatu, próbą zainstalowania się w nim. Znamienna jest w tym działaniu swoista mimikra: wbrew metodologicznym założeniom rozdzielenia języka opisu od języka przedmiotu, Sławiński wybiera mowę pozornie zależną (por. *Zamknięcie*); jest ona jakby glejtem do rezerwatu, daje w nim prawo obywatelstwa czy — używając innej ulubionej przez autora metafory — mundurem obowiązującym w rezerwacie. Mundur ten zresztą leży jak ulał na Sławińskim, nie tak jak mundur socrealisty na Różewiczu, o czym autor pisze gdzie indziej (T, s. 100).

Wkrótce jednak ten rezerwat coraz bardziej będzie przypominał więzienie. Ten, i wszystkie inne tworzone w okresie realnego socjalizmu. Innym rezerwatem była poezja wyzwolona z przymusów socrealizmu. „Pejzaż mowy publicznej w czasach «późnego Gomułki» był w najwyższym stopniu przygnębiający. I w tym posępnym krajobrazie nagle jakaś dziwaczna enklawa barwności: poezja!" (T, s. 106). Ale w tej enklawie, w tym rezerwacie poeci poruszali się na zasadzie wolności warunkowej, udawali normalność — „Wiemy bowiem, jak wygląda naturalność zachowań kogoś, kto konwojowany przez strażników, skrywających broń za pazuchą, usiłuje imitować ruchy zwykłego spacerowicza" (T, s. 111). Jednak życie rezerwatowe było bujne!

> Poezja rodziła się z poezji i zapładniała poezję. Pojawiały się coraz to nowe programy, poetyki, kierunki i środowiska; kreowano i obalano autorytety; spierano się o granice wyobraźni, o semantykę poetycką, o klasycyzm i romantyzm, o to, czy twórczości służy bardziej wampiryzm czy onanizm, o kryzys awangardy, o poezję konkretną — i o wiele innych nie mniej ciekawych spraw. Jak w każdym rezerwacie, tak i tu współżyli przedstawiciele rozmaitych gatunków: starzy olimpijczycy, zatroskani moraliści, wyrafinowani esteci, brutaliści, poeci metafizyczni, chłopscy nadrealiści, konceptyści, retorzy, prostaczkowie, lirycy czystej krwi, poeci przeklęci, poeci uniwersyteccy, poeci alkoholicy, poeci moralnego niepokoju, i przede wszystkim: młodzi poeci jako gatunek osobny i swoiście rezerwatowy [T, s. 112].

Jasne, że była też krytyka rezerwatowa, jednak „tylko nielicznym egzemplarzom dane było znaleźć się w rezerwatach, gdzie je dokarmiają i pokazują wycieczkom (*vide* Sandauer). Można jednak żywić uzasadnione wątpliwości, czy umieszczenie w rezerwacie nie przekwalifikowuje ich równocześnie pod względem gatunkowym" (T,

s. 168–169). W rezerwacie byli też literaturoznawcy, cały IBL był takim rezerwatem zarządzanym przez *Godfathera* — Stefana Żółkiewskiego (T, s. 230). To był rezerwat dla wycieczek zagranicznych, które nie mogły się nadziwić, że panuje w nim taka swoboda myśli.

To im często pozwalało nie zauważyć prowincjonalnego zadupia otaczającego takie wyspy, paranoicznych poczynań cenzury czy policyjnych prześladowań za wypowiadanie nie akceptowanych poglądów. Doprawdy, żyliśmy w rezerwacie, chociaż sami nie w pełni zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Instytut był rezerwatem, co zresztą wcale nie umniejsza znaczenia jego osiągnięć. [...] Żyjący w rezerwacie musieli znać granice swoich swobód i wiedzieć, że przekroczenia nie będą tolerowane. Za ogrodzeniem kręcili się faceci z fuzjami, którzy przypominali, że nieposłusznym czy krnąbrnym mogą w każdej chwili zrobić pif-paf i zabawa się skończy [T, s. 233–234].

Z życiem rezerwatowym nieodłącznie jest związane poczucie sztuczności, nierzeczywistości tego życia. Toteż metafora rezerwatu generuje metaforę teatru, sceny, aktorstwa, odgrywania ról, a przede wszystkim — przebieranek. Najczęściej mowa o wdziewaniu munduru jakiejś formacji, nadawania sobie szarż, wyróżniania się jakimś elementem stroju: „Jeden włoży pepegi do fraka, drugi krakuską dopełni urzędniczy garniturek, jeszcze inny pasem słuckim ściśnie płaszcz ortalionowy" (T, s. 168). Tak wyróżniali się krytycy. Grali swe role także teoretycy, metodologowie, tylko sami nie wiedzieli, jaka to sztuka: „tragedia losu? komedia omyłek? *thriller*?" (T, s. 18).
Co jednak dzieje się dzisiaj, Anno Domini MCMXCIV, z rezerwatem, skoro nie ma już „facetów z fuzjami", nie ma już państwa realnego socjalizmu, które go utrzymywało, teraz, gdy wszystko wolno? Nie wydaje się, by Sławińskiemu było lżej. Zdaje się, że dochodzi on do wniosku, że rezerwat jest wszędzie. Już odczuwa on niedogodność zamknięcia w dyscyplinie humanistycznej, w literaturoznawstwie, w teorii literatury i nadgryza to zamknięcie ludycznymi metaforami, drąży krecią robotą fabularyzacji.
Teraz więc nie metafora osaczenia, ataku, agresji, wyprawy pacyfikacyjnej będzie dominowała, lecz metafora ucieczki, błądzenia, wędrówki. Podoba się więc Sławińskiemu Jan Błoński, który — wolny od zobowiązań teoretycznych — „Wędruje na przełaj przez najrozmaitsze krainy: literatury i stylów myślenia o literaturze. Zatrzyma się to tu, to tam, rozejrzy się po okolicy, pokosztuje miejscowych specjałów, poduczy się języka tubylczego — i ruszy w dalszą drogę" (T, s. 170). Podoba mu się też Roman Zimand, „który niczym nałogowy grzybo-

zbieracz, na każdym kroku spostrzega przychylne okazje. Gdziekolwiek spojrzy — uśmiecha się doń wyczekująco borowik... Ale pośledniejszym gatunkom też nie przepuści" (T, s. 183). I jak przystało na eseistę: „W swoich wędrówkach wybiera on drogi odległe od uczęszczanych autostrad życia umysłowego (literackiego, politycznego, akademickiego); zależy mu na samym wędrowaniu, nie na zdążaniu ku standardowym celom" (T, s. 182).

Podobną wędrówkę–ucieczkę rozpoczyna też Janusz Sławiński: eseistyczność jego tekstów, metaforyzacja i fabularyzacja są tego dowodem. Ale i działania społeczne! Zaangażowanie polityczne, społeczne, organizacyjne, próby reformowania programów szkolnych — dają temu świadectwo. Jeszcze więc jedna metafora z wypowiedzi dotyczącej tej ostatniej sprawy. Sławiński chciałby programu „na wzór owych najbardziej upragnionych mieszkań nowoczesnych, w których użytkownik może — na ustalonej powierzchni — komponować samodzielnie z lekkich, przesuwalnych ścian wnętrza odpowiadające jego potrzebom i upodobaniom" (T, s. 70). Zauważmy: tu już jest jakby zgoda na rezerwat — pewna przestrzeń jest ustalona i przekroczyć jej nie można, chodzi tylko o to, by swobodnie żyć w jej obrębie. Możemy więc przewidzieć następny ruch Sławińskiego na szachownicy, a właściwie dwa możliwe ruchy. Pierwszy: uzna on, że rezerwat istnieje w każdym ustroju, bo w każdym jest jakaś władza, która intelektualistów trzyma w rezerwacie. Pisze o tym Abraham Moles, mający za sobą przecież inne doświadczenia: władzy demokratycznej i uczestnictwa w społeczeństwie obfitości. I w nim istnieje getto dla intelektualistów: „starannie administrowane przez technokratów, którzy pozwalają, aby panował w nim kontrolowany nieład, godzący sprawne funkcjonowanie sieci wodociągowej z nadrealizmem seksualnym i umiarkowaną przestępczością". Technokratom bowiem zależy na intelektualistach, ich wartością, niezbędną dla właściwego funkcjonowania społeczeństwa, jest „subwersja — (aby tworzyć, trzeba być «przeciw») — starannie podsycana przez procent zawartości adrenaliny we krwi, to znaczy przez oburzenie". I w getcie kapitalistycznym istnieje wyraźna hierarchia w zależności od stopnia sprostytuowania się. Na dole piramidy są ci, których Żółkiewski określiłby jako techników kultury. Pisze o nich Moles: „Są oceniani i wynagradzani wedle posiadanego talentu, a wielkość ich łazienki zależy od przydatności ich uzdolnień twórczych do potrzeb społeczeństwa". Na

wyższych szczeblach rezydują ci, „którzy się sprzedali za zaszczyty i poświęcili Służbie Publicznej". Ceną jest zgoda na konformizm, „noszenie krawata, ale może to być krawat ze wstążki czerwonej, i to niekoniecznie Legii Honorowej". Na szczycie są ci, „co nawet na stanowisku Director of the Institute for Advanced Studies in Princeton zachowali długie włosy i geniusz".[2]

Drugi ruch byłby chyba ciekawszy i prowadziłby do interesującej końcówki (pierwszy zapowiada sytuację patową). Byłoby nim wyrzeczenie się metafory rezerwatu, wszelkiej metafory. Na przykład unicestwienie jej przez ujęcie w cudzysłów: metafora zmetaforyzowana — to byłoby coś w rodzaju różni niszczącej wszystko. Bo meta–fora, meta–język są możliwe tylko w granicach meta–fizyki (będę tu przez chwilę heideggeryzował w duchu rozprawy *Das Wesen der Sprache* z tomu *Unterwegs zum Sprache*, podobnie jak metoda, wiedza, logika, myślenie opozycjami, wszystko, co sprowadza świat do policzalnego. Opozycja dosłowne–metaforyczne jest złudą, skoro prawdziwe doświadczenie mowy uczy nas, że mowa nie jest narzędziem, lecz domostwem bycia. Doświadczenie, które nie tworzy wiedzy, lecz sprzyja myśleniu. Nie ma metafory, bo nie ma opozycji, jest natomiast bliskość tego, co na–przeciw–ponad (*Gegen–einander über*), tego — co jest światosczwórczeniem (*Weltgevierte*) ziemi–nieba–człowieka–boga. Bliskość zaś nie znaczy odległość, lecz u–drożenie (*Be–wëgung*) wszystkiego, co tworzy na–przeciw–ponad, nie ma więc szczeliny, w którą metafora mogłaby się wcisnąć. Może nawet Sławiński zdąża do tej calizny, skoro już na początku wyrzekł się metajęzyka, skoro dzisiaj kpi z metodologii, skoro wstąpił w esej. Musiałby jednak wyrzec się jeszcze tego wszystkiego, co pisał o metaforze w pierwszej książce.

Tu porzucam ten styl myślenia, by — spełniając początkową zapowiedź — wyjawić tajemnicę „Sławińskiego" kryjącą się za powierzchnią, za metaforą rezerwatu. Co znaczy to pragnienie by wejść do rezerwatu, a później się z niego wyrwać? Ten odruch dośrodkowy i odśrodkowy? Zamknięcie i otwarcie? Wszystko to zakorzenione jest w archetypie odrodzenia (teraz przez chwilę będę jungizował

---

[2] A. Moles *Artysta i intelektualista w społeczeństwie obfitości*, przeł. W. Bieńkowska, w: *Antologia współczesnej estetyki francuskiej*, przedmowa W. Tatarkiewicz, wstęp oraz noty o autorach J. Wojnar, Warszawa 1980, s. 513–514, 519, 520.

w duchu rozprawy *Odrodzenie* z tomu *Archetypy i symbole*). Sławiński wchodzi do rezerwatu, by go przekroczyć, przyjmuje maskę–personę (na przykład teoretyka, metodologa), by ją odrzucić, by być wolnym. I to metafora, mówię teraz o metaforze w ogóle, jest tym czynnikiem, który pozwala się wyrwać z tego, co dane, wejść w inny paradygmat i na jego podstawie budować nową syntagmę. Ale jaką? Wydaje się, że w tej chwili Sławińskiemu chodzi o to, by być wolnym „od", ale nie wiadomo, do „czego" jest on wolny, czemu on powie swoje „tak". To jest problem Zaratustry z przypowieści o *Trzech przemianach* — ciągnijmy więc ten wątek dalej. Potęgująca się ludyczność, anegdotyczność, fabularyzacja tekstów Sławińskiego — to jeszcze nie śmiech i taniec Zaratustry, raczej taniec linoskoczka, którego chętnie ogląda zebrana gawiedź, znudzona przypowieściami proroka nadczłowieczeństwa.

Powiedziałem, że metafora pozwala Sławińskiemu przeskoczyć do innego paradygmatu i za jego pomocą budować nową syntagmę. Myślę więc, że oprócz dwóch możliwych pociągnięć na szachownicy: uznania niezbywalności rezerwatu albo zniesienia sensu metaforyzowania — jest jeszcze trzecie — zburzenie szachownicy literaturoznawczej i przejście do zupełnie innej gry.

Cokolwiek jednak Sławiński zrobi, nigdy nie będzie tak zwanym wielkim humanistą. Żeby nim zostać, trzeba być trochę ograniczonym. Sławiński zaś jest piekielnie inteligentny.

Wojciech Głowala

„Być sobie jednym" – i być autorytetem

W spisie lektur wrocławskiej polonistyki – 236 stronic – nazwisko Janusza Sławińskiego pojawia się ponad 15 razy. Trudno przynajmniej w takim samym stopniu precyzji określić jego obecność w nie zebranych tak tekstach literaturoznawczych począwszy od lat 60. – można wszakże przyjąć, że była ona wielka. Do tych konstatacji trzeba dodać jeszcze jedną, ogólniejszą: otóż w swoich rozważaniach o autorytecie Józef Bocheński wypowiada zdanie o istotnym funkcjonowaniu tej figury w dzisiejszej kulturze: „Większość zadań, które uznajemy za prawdziwe, jest w obecnym okresie oparta na autorytecie epistemicznym"[1]. Konstatacje te mają usprawiedliwić zainteresowanie dla funkcjonowania figury autorytetu w tekstach Sławińskiego. Usprawiedliwić, bo będzie o rzeczy małej

---

[1] J. M. Bocheński *Co to jest autorytet* [1974], w: *Logika i filozofia. Wybór pism*, Warszawa 1993, s. 251. Autor wyróżnia „autorytet epistemiczny" (poznawczy, który wypowiada zdania) oraz „autorytet deontyczny" (nakazowy, który wypowiada dyrektywy). Zwróćmy od siebie uwagę, że w wypowiedziach humanistyki te dwa typy autorytetów są bezustannie mylone ze sobą, i to na ogół z pożytkiem dla humanistyki, tzn. zgodnie z jej przyrodzoną wielofunkcyjnością. – W związku z osądem „obecnego okresu" warto wspomnieć, że już kilkaset lat temu napisano tak: „Niemal wszystkie nasze mniemania czerpane są z jakowejś powagi i na wiarę. Nic w tym złego." [M. Montaigne *Próby*, ks. 3, rozdz. 12].

(czy mniejszej tylko), ale przecież jednocześnie takiej, że można ją podejrzewać o konszachty z większymi.
Sam autorytet raczej rzadko pojawia się w „stanie badań", ponieważ ten jest konstruowany zwykle jako negatywne tło dla własnych badań. W tym miejscu Sławiński — jeśli w ogóle można mówić o spełnianiu przez niego tego obyczaju — bodaj najczęściej depersonalizuje ten zakątek swoich tekstów. Jest to u niego co najwyżej wysokie przekształcenie rozdrobnionej zdarzeniowości „stanu badań" w strukturę (tak dzieje się np. w szkicu *Krytyka literacka jako przedmiot badań historycznoliterackich*).
Najwięcej u niego — a zobaczymy potem, czy „najwięcej", znaczy „o największej wadze" — jest oczywiście przywołań do świadczenia — osób, czyli po prostu autorów innych tekstów z odpowiedniej dziedziny. W tym zaś kręgu sporo miejsca zajmują sytuacje, w których przywołanie następuje przez wmontowanie słów cudzych we własny tekst główny, najczęściej z bibliograficznym dodatkiem przypisowym, czasem jeszcze skomentowanym. Dzieje się tu tak samo, jak w setkach innych tekstów humanistów: od bezprzypisowego i nawiasowego „wiemy to od Gundolfa" (P, s. 158)[2] po dwustronicową prezentację tekstu Barthesa. Ta — zdawałoby się — pozytywność rozmiaru obecności źle się dla francuskiego semiologa kończy, ponieważ zaczyna się ona prawie wyraźnie w sytuacji autorytetu, zamyka zaś tak:

> Nie dlatego trudzę się nad parafrazą wywodów Barthesa, bym uważał je za uderzająco trafne. Przeciwnie: wszystkie trzy przywołane tezy dotyczące roli opisu w tekście narracyjnym wydają mi się wątpliwe [P, s. 193].

Można powiedzieć, że Sławiński jakby zniecierpliwił się monologiem Barthesa w swoim własnym monologu. Z reguły chyba dłuższy pobyt obcego mówienia w domniemanej funkcji autorytetu nie kończy się dla niego pod niekwestionowaną aureolą: nawet tam, gdzie Sławiński nie ma w ogóle intencji polemicznych, zasługi obcego bywają jakby ograniczane. Tak jest np. z autorem francuskiego szkicu o opisie, „jedynej w gruncie rzeczy zasługującej na uwagę w ostatnich latach próby opisania opisu" (P, s. 200). Otóż w zdaniu uzupełniającym bib-

---

[2] Cytacje ze Sławińskiego oznaczam skrótami: D = *Dzieło, język, tradycja*, Warszawa 1974. — T = *Teksty i teksty*, Warszawa 1990. — P = *Próby teoretycznoliterackie*, Warszawa 1992. Cyfra po cytacie oznacza stronicę.

liograficzny opis próby Hamona znajdujemy jeszcze dodatkowe określenie laudacyjne („prawdziwie inspirujące studium") oraz – i to jest właśnie najciekawsze – określenie wielkości zadłużenia: „Moje rozważania s p o r o zawdzięczają temu (...) studium" [podkreśl. W. G.]. Widać jasno pewien rozziew między oszczędnym „sporo" i określeniami laudacyjnymi. Dobre okazuje się dobre jakby tylko do chwili pojawienia się ewentualnych zobowiązań do zupełnej identyfikacji (a ta jest założona przy posługiwaniu się autorytetem!).
Casus Hamona w praktykach Sławińskiego wydaje się przypadkiem skrajnym (Barthesa zresztą też) – wszystkie inne przypadki oddalają się od nich tak w części laudacyjnej, jak i w części dotyczącej opisu rozmiaru zadłużenia. Najczęściej bowiem mamy tu do czynienia z konstruowaniem n e u t r a l n o ś c i przywołania, obok której pojawia się zaraz tylko c z ą s t k o w e funkcjonowanie autorytetu. Np.: „Żeby użyć określenia Thibaudeta" (D, s. 176), „powiemy za Kazimierzem Wyką" (D, s. 180) – to jeden typ takich konstrukcji; drugi zaś to wmontowana (i pochłonięta) bez komentarza w zdanie Sławińskiego cząstka cudzego mówienia. Sławiński jest tu właścicielem kontekstu i techniki montażu: „przedmiot jest tu «wytwarzany w czasie przebiegu wykonawczego»" (D, s. 195), i dalej – czysto bibliograficzny adres książki Troczyńskiego, z której pochodzi zawartość cudzysłowu. Trzeci typ wreszcie to dość tajemniczy przypadek, tajemniczy ze względu na wieloznaczną zachętę zawartą w skrócie „por.". Wychodzi on od nienacechowanego żadną obcością zdania Sławińskiego i w podziemiu przypisu realizuje się tak np.: „Por. na ten temat uwagi Z. Łempickiego w szkicu *O krytyce literackiej*, „Przegląd Warszawski" 1924, R. 4, nry 34–35" (D, s. 194). Patrząc na precyzję tego zapisu bibliograficznego, trzeba przecież zauważyć, że w normalnej lekturze z owego „por." nikt w zasadzie nie korzysta...
W tych trzech typach przywoływanym autorom musi wystarczyć sam fakt przywołania i uczestnictwo w p a r t y k u l a r n y m zdarzeniu tekstu Sławińskiego. I przywołanie, i uczestnictwo są opisane dość ascetycznie – żeby nie stwarzać możliwości zbyt szerokiej identyfikacji? Właśnie ta asceza powoduje, że określenia w typie wypowiedzianych pod adresem Hamona są raczej rzadkie. W jednym wypadku Sławiński przywołanego nazywa po prostu „rzeczoznawcą" (T, s. 195, ale też tekst ten ma charakter paszkwilancki). Można się wobec tego chwilami wahać, czy w ogóle jest sens w takich wypadkach mówić

o autorytecie. Wahanie może się brać i z odczucia kontrastu, jakiego doznajemy zestawiając teksty Sławińskiego na tym poziomie z powszechnym w humanistyce obyczajem wprowadzania autorytetów w stylistyce miłosnego wyznania oraz w przydawaniu im cechy totalności. Nie mówię już o zezwalaniu przez inny obyczaj na jawne funkcjonowanie autorytetów deontycznych, które u naszego autora są trudne do ujawnienia.

Niewiele obfitsze zyski obiecuje i wyławianie u Sławińskiego autorytetów nieosobowych (spośród tych, jakie wskazywał Ziomek). Jest ich bodaj jeszcze mniej. Czyli, można powiedzieć, że statystycznie jest to w ogóle zdarzenie względnie rzadkie, uszczuplane w dodatku wskazywaną ascetycznością. Spróbuję więc teraz paru domysłów dociekających przyczyn tej prawie negacji powszechnie stosowanej figury. Bocheński twierdzi, że w przeciwieństwie do tolerancyjnej rzeczywistości deontycznej nie istnieje tolerancja epistemiczna. Nie istnieje, tzn. jest niemożliwa ze wszystkich punktów widzenia. Radykalizacja postrzegania tej cechy poznania może być pierwszym źródłem postawy Sławińskiego. Nie darmo — choć pewnie i ironicznie — badacz ten nazywa siebie „doktrynerem" i zapewne najpierw może oznaczać to postawę rygorystycznie poznawczą oraz po części stosowanie procedur wymyślonych po raz któryś przez strukturalistów. W takim doktrynerstwie nietolerancja epistemiczna objawia się również jako uniesamodzielnienie czy podporządkowanie przedmiotu, także w wartościowaniu pozytywnym i negatywnym. Z tym zaś z kolei wiąże się coś w rodzaju depersonalizacji: charakterystyczne w tym względzie są wspomniane już początkowo partie szkicu o krytyce literackiej, gdzie w opisywanej i negowanej sferze nie pojawia się ani jedno nazwisko, nie przepuszcza ich „zbiorcza" charakterystyka.

Trzeba sobie zdać sprawę, że to odpersonalizowanie może mieć ważny skutek w zdarzeniach między rolami-osobami tekstu: wzmaga przecież siłę witalną „personalności" autora. Wzmocnienie tej siły to wzmocnienie siły perswazji (w retoryce prezentacja witalności jest jednym z mocniejszych chwytów argumentujących). Cudze mówienie słychać w takich wypadkach jako ograbione z witalności. Jeśli już jest tak, że widać, iż Sławiński szerzej aprobuje istnienie jakiegoś autorytetu, to staje się on jednocześnie w ł a ś c i w y m przedmiotem jego rozważań: tak jest właśnie z Mukažovskim i Budzykiem, którym poświęcił przecież osobne szkice. I w końcu nawet taka sytuacja nie

może uwalniać się od dwuznaczności: zostanie przedmiotem powoduje przecież upodrzędnienie...

Dwa jeszcze zjawiska zdają się z tym wiązać. Najpierw sprawa gatunków: na reklamowej stronie okładki *Tekstów i tekstów* napisano o Sławińskim: „Jego ulubionym gatunkiem wypowiedzi pozostaje hasło encyklopedyczne". Biorę to na serio (tzn. niereklamowo) i stwierdzam, że doktryner może mieć najznakomitsze samopoczucie w takich wypowiedziach. Ale zaraz trzeba dodać z zaniepokojeniem: hasło encyklopedyczne (a i „zarys podręcznikowy") jest gatunkiem najmocniej usadowionym nie tylko w naukowej wyobraźni pozytywistycznej! Więc nie tylko doktryner, ale i pewnie scjentysta? Oczywiście, nie cały Sławiński, bo pewnie nie ten od „zaciekawień", nie cały też pozytywizm i scjentyzm. Chodzi tu raczej o intonację mówienia pozytywistów: normatywną (autorytatywną!), niż o wszystko inne. To objawia się szczególnie zręcznie w haśle, zaspokaja głód porządku doktrynera, ale przede wszystkim potwierdza wszystkie opisane wyżej cechy postępowania z cudzym mówieniem i jednocześnie umożliwia ich ujawnienie się. Można by oczekiwać, że oprócz hasła powinna by się tu znaleźć i recenzja, gatunek także wygodny dla ukazania sprawności doktrynera. Ta forma wypowiedzi pojawia się jednak u Sławińskiego zupełnie rzadko, trudno wiedzieć dlaczego. Recenzenckie pole nie nadaje się do totalnego opanowania?

W ten sam wątek – jak się zdaje – wplata się co najmniej kilkukrotne przywoływanie Młodości w tekstach Sławińskiego (jak choćby owego doktoranta w *Z poradnika dla doktorantów*), sprawiedliwie naiwnej, pełnej pozytywnej niewiedzy o przymusie przyjmowania instytucjonalnych autorytetów i z powodu tych cech niesłychanie cenionej przez sceptycznego skądinąd autora.

Wszystko, co usiłowałem tu opisać, zdaje się dawać pole najpierw osobnej prawdzie, której samotność pozwala na ostrzejsze jej widzenie. Byłby to więc i zabieg retoryczny, i porządna wiara w dostępność i ważność takiej właśnie prawdy. I może jeszcze coś: wypada bowiem przywołać Białoszewskiego – wszyscy wiedzą, że nie bez powodu – z jego „być sobie jednym" i jasną akceptacją tego przez Sławińskiego. Jeśli teraz przenieść tę akceptację w świat naszego autora, to być może i ona zrymowałaby się z tym, co opisałem. Niespodzianką mogłaby być co najwyżej decyzja budowania tego „być sobie" na terenie literaturoznawstwa – chyba dość niezwykła.

Ale skoro wciągamy tu siłą Białoszewskiego, to czy inna siła każe zrezygnować wobec tego z domysłów co do scjentyzmu? A może ten scjentyzm (czy „scjentyzm" od teraz) jest na usługach tego niescjentycznego istnienia? Zapewne tylko solidny historyk idei czy literaturoznawca z końca lat 60. nie speszyłby się taką sytuacją: z zadowoleniem stwierdziłby n a p i ę c i e między „Białoszewskim" i „scjentyzmem", nie usiłując rugować żadnego z nich. I może miałby rację.

Stefan Szymutko

Ciało profesora Sławińskiego

Banalne stwierdzenie bywa wyrazem niebanalnych problemów: Sławiński (autor) jest trudnym rozmówcą, a jeszcze trudniejszym przedmiotem omówienia.[1] Paraliżuje interpretatora już w fazie pomysłotwórczej, z góry przewidując pojawienie się możliwych konstruktów. Trudno zaskoczyć przedmiot, który potencjalną oryginalność obezwładnia wskazaniem na jej współczesny inwariant: dopatrzysz się we mnie wieloznaczności, unieważnisz powierzchnię, zastępując jakąś (niby) głębią, zignorujesz mnie jako autora — stanę się bezbronny wobec twoich wmówień (P, s. 109–112).
Bezsprzecznie wartością najbardziej chronioną jest podmiotowość, choć zarazem nigdzie indziej niejednoznaczności, niejasności (niekiedy sprzeczności) w nastawieniach Sławińskiego do danego tematu nie są tak zauważalne jak w przypadku podmiotu. Jednostkowość jest jednocześnie utrudnieniem i darem. Jeszcze badacz, jak w złotym wieku strukturalizmu, zakłada wymienność podmiotu — „a oni (ci

---

[1] Omawiam dwie ostatnie książki Profesora: *Teksty i teksty*, Warszawa 1990 (w odsyłaczach litera T przed numerem strony) i *Próby teoretycznoliterackie*, Warszawa 1992 (w odsyłaczach litera P). Ponieważ istnieją związki między wymienionymi książkami a J. Sławińskiego: *Dziełem — językiem — tradycją* (Warszawa 1974), odwołuję się również do tej pozycji (w odsyłaczach litera D).

sami? inni?", T, s. 44), lecz już niezbyt pewnym głosem wypowiada tezę, że „wymienność podmiotu nie powinna nadmiernie peszyć" (T, s. 100). Poszczególne sformułowania wskazują na stan między przyjęciem i odrzuceniem kategorii „ja". W akceptacji przeszkadza jej relacyjny charakter (to inny, inność, umożliwia identyfikację „ja", T, s. 29), niedostępność intencji, która jednak badacza interesuje (P, s. 79, 81, 83, 111–112; por. P, s. 37), oraz zapośredniczenie w grupie społecznej (P, s. 100) i w języku (także języku wartości — P, s. 36, wyborów — P, s. 96). Sławiński próbuje jeszcze zachować równowagę między społecznym i jednostkowym (nie ma ani niepowtarzalności, ani typowości — P, s. 152), ujmować podmiot jako indywidualizację języka (por. P, s. 166), ale widać już wyraźnie, że jednostkowość pochłania go coraz bardziej. Poszczególne zagadnienia teoretyczne kończy podmiotowa puenta: opis jest najdogodniejszym miejscem ujawniania podmiotowości (P, s. 213), biografia przywraca decyzji twórczej „personalny" aspekt decyzji twórczej(P, s. 141), relatywizacja podmiotowa to empiryczne uwierzytelnienie (P, s. 218).

Podmiotowość staje się gwarantem (albo substytutem) prawdy. Zarówno współczesnej: lekceważyć ją to zarazem uciekać „od samego siebie" (T, s. 15), „rezygnować z mówienia od siebie" (T, s. 16). Jak i historycznej: „ktoś — gdzieś — kiedyś" (T, s. 63). Indywidualność jest warunkiem autentyczności (T, s. 71), oryginalności (zob. Sławiński o Błońskim i Zimandzie), atrakcyjności formy podawczej (T, s. 177). Dodajmy, by uniknąć nieporozumień: Sławiński jest przeciwny egocentryzmowi (zakochaniu w sobie — T, s. 186) i „ja" teatralnie wyeksponowanemu (T, s. 185). Nęci go to, co osobiste, indywidualne, dokonywane „we własnym imieniu" (T, s. 75), co posiada „własne oblicze" (T, s. 152). Interesuje go „mojość" (P, s. 150), „mowa c z y j a ś" (T, s. 73); mierzi „niczyja" (P, s. 218), człowiek „znikąd" (T, s. 138).

Wobec obcości rzeczywistości, bytu, tajemnicy, i obcej przesłony, zasłony, tkaniny języko-przedmiotu, wobec niepowodzenia w zakwestionowaniu pierwszego i przywrócenia ludzkiego charakteru drugiemu w społecznej praktyce komunikacji, podmiotowość jest jedyną szansą ocalenia ludzkiego ja. Sławiński, który idee platońskie traktuje dość podejrzliwie, szuka miejsca dla swojej podmiotowości w języko-przedmiocie. Ponieważ rodowód języko-przedmiotu jest scjentystyczny, nadawanie własnej wypowiedzi charakteru podmiotowego wiąże

się ze zdradą, z romansem z przeciwdyskursem — językiem poetyckim. Nie powinniśmy uspokajać się myślą, iż mowa poetycka stanowi jeden z czterech (oprócz dyskursu naukowego, mowy potocznej i dyskursu perswazyjnego) składników języka literaturoznawcy (D, s. 218); w poetyckość Sławińskiego wpisany jest pewien system, pewien światopogląd. Nie możemy też, choć od początku dyskusję z Profesorem ułatwiają nam argumenty Profesora, liczyć w tym względzie na jego pomoc. Wyróżniając dwa typy wieloznaczności, o poetyckim, usprawiedliwiając się brakiem miejsca, nie mówi prawie nic, drugi — nazywa narracyjnym (P, s. 109). Ta nazwa mogłaby się dla nas okazać myląca, ponieważ u samego Sławińskiego miejsce wielkich figur narracyjnych (metafory, symbolu, alegorii...) zajmuje dzianie się: dlatego użyjemy nazwy „fabularyzacja".

Podstawowym nośnikiem poetyckości w stylu Sławińskiego są neosynonim i *bon mot*. Na ogół zawierają się w tej samej jednostce tekstu i często nie są stylistycznie wyeksponowane, w związku z czym łatwo się nad nimi prześlizgnąć. Gdy Sławiński powiada, że wersja obiegowa jest odczuwana „jako względnie neutralna" (P, s. 15), całość sformułowania tłumaczy się w kontekście omawianej przez niego kategorii poziomu analizy i nie zwraca na siebie uwagi. Potraktowanie jej jako prawidła wydobywa z niej refleksję o podskórnej inercji myśli naukowej. Wypada uznać refleksję za trwałą, skoro wzmocni ją później ustanowienie znaku równości między tym, co obiegowe a rzadko uzasadniane (P, s. 36). Wieloznaczność Sławińskiego jest określoną wieloznacznością, a raczej wieloznaczeniowością: nie chodzi tu o „mieniącą się znaczeniami gadaninę" (P, s. 178), lecz o zakwestionowanie jednoznacznej martwoty w myśleniu humanistycznym, pogłębienie (choć Sławiński tak nie lubi głębi) zagadnienia. Słuszność jest jałowością (P, s. 178). Inne neosynonimy wyrażają podobne treści: jednomyślny/trwały (tu: trwałość jako ochrona myślowa przed zmiennością, T, s. 12), wierny, więc bierny, nieprzemyślany, ale akceptowany (P, s. 63), przejrzysty = nieefektywny (P, s. 19), własny (w znaczeniu negatywnym) = użytkowany spontanicznie, bezrefleksyjnie (P, s. 38). Treści tych, zresztą, nie zawsze trzeba szukać w głębi: „doświadczenie literackie znawców jest dwuznaczne (jak wszelkie doświadczenie)" (P, s. 104). Neosynonim i *bon mot* zmieniają nieokreśloność w określoną wieloznaczeniowość. Nie przeszkadza to, oczywiście, w doraźnym wykorzystywaniu ich dla potrzeb wywodu,

zwłaszcza w ramach konceptowego ukazywania niesprzecznej sprzeczności: Zimand to „relatywista z zasadami" (T, s. 185), „znaczenie umowy" zapewnia „wyrazistość sprzeniewierzeniom" (P, s. 108).
Poetyckim wstępem do fabularyzacji są neologizmy i udziwnienia. Są to zazwyczaj nominalizacje wypowiedzeń werbalnych: elitarny emokier (T, s. 12), utrudniacz, niezrozumialec (T, s. 17), polepszacz, uzupełniacz (T, s. 33), powątpiewacz, przewrotnik (T, s. 61). Podmiotowość wyraża się tu w personalizacji czynności, choć zdarzają się także, akcydentalnie, reifikacje (P, s. 199: intruzja). W fabularyzacjach martwocie rumowiska na „wpół zużytych pojęć" (T, s. 11) i ponurej, bo chyba na rzece Heraklita, „fali publikacji naukowych, nad którą nikt już obecnie nie jest w stanie zapanować" (T, s. 14), Sławiński przeciwstawia barwne akcje. Personalizacje wprowadzają ich bohaterów na scenę. Nie są oni nijacy i ugodowi, potrzebują przeciwnika, dyskutują (Sławiński inscenizuje rozmowy między nimi, np. między pisarzem i interpretatorem), niekiedy z samym sobą (jak bohater liryczny Brylla, T, s. 115). Najczęściej wchodzą w konflikt, kłócą się (np. menadżerowie i wyrobnicy nauki, T, s. 14), przede wszystkim w sprawie wartości (P, s. 35): jedyną alternatywą jest alternatywa skrajna — przyjąć lub odrzucić. Bohaterowie fabularyzacji albo konstruują, budują, by mieszkać w swoim, czyimś (T, s. 70, 106), albo — o wiele częściej — wyruszają na poszukiwanie przygód: np. wśród „tajemnych furtek, dróg odwrotu, skrytych zasadzek, fałszywych drogowskazów, podziemnych korytarzy i labiryntów" Gombrowicza (T, s. 164). Podstawowym urokiem fabularyzacji jest ożywienie świata literaturoznawcy, możliwość spotkania się ze sprzeciwem przedmiotu (P, s. 191), antropomorfizacja biblioteki, w której książki same walczą o swoje prawa (P, s. 87).[2] Polonistyka staje się sensacją, w której i akcje pacyfikacyjne interpretacji (P, s. 51), i „faceci z fuzjami" za ogrodzeniem (T, s. 234), i konwojenci z bronią „za pazuchą" (T, s. 111).
W szaleństwie mieszania subtelności literaturoznawczych z sensacją i przygodą jest metoda, a nie ozdobnik. Sławiński chce być „pomiędzy": to najczęstsze z ważnych słów w obu książkach — w apologii

[2] Niekiedy te spory mogą przerażać, gdy kłócą się wytwory (np. języki, style — T, s. 42 i 65) lub hipostazy: „przestrzeń bierze odwet" na innych komponentach dzieła literackiego (P, s. 172). Gdzie tu miejsce dla człowieka?

konferencji teoretycznoliterackich pojawia się cztery razy na jednej stronie, w różnych konstrukcjach słowotwórczych i podkreślone przez autora (P, s. 244); a kończy to *Wprowadzenie do badań nad konferencjami teoretycznoliterackimi* przyznanie w komunikacji badawczej podstawowej roli — „międzyjęzykowi" (P, s. 253). „Pomiędzy" nie jest zawieszone w powietrzu (P, s. 182), „pomiędzy" Sławińskiego, będąc komplementarne (P. s. 72, 80), nie jest nawet właściwie „pomiędzy": występując na granicy, wchłania w siebie właściwości dzielonych terytoriów — dzieło w „między" interpretacji, chociaż przywraca mu się kontekstową potencjalność, nie przestaje być urzeczywistnieniem („nie rozpuszcza się w kontekstach", P, s. 29)[3]. Uzupełnijmy, że „pomiędzy" to także nie „gdzie indziej"[4], w innej dyscyplinie (tam znajduje się fantom wiedzy nowoczesnej, T, s. 11); szukać go należy — powinni o tym wiedzieć snob, modniś i dyletant (dołączy do nich eklektyk, T, s. 31) — „pomiędzy" dyscyplinami, teoriami, środowiskami (T, s. 29), „w sferze rozrzedzonych przymusów metodologicznych" (T, s. 184), „poza sferą interesów poszczególnych doktryn" (P, s. 15). Nie użyliśmy słowa „mieści się", gdyż umiejscowienie jest wrogiem „pomiędzy" — Sławiński przestrzega przed nim Błońskiego (T, s. 169).

„Pomiędzy", określając metodologię, określa zarazem przedmiot: rozrzedza go — powoduje zastąpienie układu polem, przedmiotowości niedomkniętością (P, s. 82). Wyciągnięte zostają ostateczne wnioski z międzybiegunowości faktu literackiego (por. D, s. 103). Zmienia się status biografii twórcy, pozbawionej już definitywnie (por. D, s. 80) bytu substancjalnego: funkcjonalność biografii objawia się (badaczowi, oczywiście) między zdarzeniami życia a tekstami utworów (P, s. 145, 156); dzieło staje się potencjalnością, raz odczepiwszy się od macierzystego kontekstu (P, s. 76–77). Polemizuje się z formułami, które bądź likwidują „pomiędzy" (życie i twórczość pisarza jako rozłączne obszary badań, P, s. 143), bądź zagęszczają przedmiot, nawet gdy jest on tylko przedmiotem szkolnej dydaktyki (T, s. 69).

Na pozór „pomiędzy" jest spełnieniem snu o podmiotowości i wolności: zawiera niby to, co Sławiński najbardziej w wolności ceni —

---

[3] Por. P, s. 43: „uprzedmiotawiająco i z a r a z e m dialogowo" [podkr. Sławińskiego].

[4] Por. P, s. 110.

nie wolność od czegoś, bo tę ogranicza zawsze konieczna wrogość wobec owego czegoś (T, s. 110, 211), lecz swobodę poruszania się między przeciwstawnościami. Wydaje się jednak, że w „pomiędzy" — powołując się na dowcip Sławińskiego (T, s. 16) — literaturoznawcza komedia omyłek lub *thriller* powoli zmienia się w tragedię losu. Mowie nie grozi ześlizgnięcie, związane z powierzchnią lub powierzchownością (P, s. 41); pogłębiona mowa „obsuwa się" (P, s. 43). Rola poetyckości i fabularyzacji sprawia, iż obserwujemy analogiczne zjawisko jak u Białoszewskiego, poety, którego Sławiński najczęściej cytuje, przywołuje, parafrazuje: albo słowo wciąga w głąb siebie, albo rozpływa się w potoku wypowiedzi (por. T, s. 88–89). Pierwsze zjawisko, związane z poetyckością, nie jest groźne: „poetyzm" pozostaje w służbie skomplikowania danego zagadnienia. Drugie, wynikające z fabularyzacji, jest bardziej niebezpieczne.

Fabularyzacja, sprzęgnięta z wywodem literaturoznawczym, podważa jego sensowność. Jeśli barwna opowieść o miejscu dawnych bitew, okopach, porosłych zielskiem, jest równoważnikiem sytuacji i historii biografistyki w badaniach literackich, wspomnieniu o sporze genetyzmu z ergocentryzmem (P, s. 138–140), to zanika motywacja dla uprawiania dyskursów bardziej skomplikowanych.[5] Refleksja tego rodzaju nasuwa się natarczywiej wtedy, gdy Sławiński, ulegając urokowi formuły, myśli w ramach fabularyzacji: wynurzają się „niczym pojedyncze wysepki, a w najlepszym razie niewielkie archipelagi" (P, s. 75); „jeśli nie był jej źródłem, to przynajmniej przepompownią" (T, s. 223). Obezwładnia, gdy okazuje się, że wnioski subtelnej, inspirującej, syntezy historycznoliterackiej, można zawrzeć w kolokwialnych prawie formułach:

> Odpowiedź Brylla: gdy się musi, to i można. Odpowiedź Białoszewskiego: „odczepić się" i schronić w przyjaznej prywatności. Odpowiedź Herberta: było się kiedyś Europą — i to zobowiązuje. Odpowiedź Nowej Fali: trzeba pomyśleć o zorganizowaniu samoobrony [T, s. 120].

Nie dziwimy się, że praca badawcza ulega demitologizacji: myśli są „moje w takim sensie, w jakim moje są różne produkty kupione na targu i połączone w koszyku, który dźwigam do domu" (P, s. 40).

---

[5] Nie jest to odosobniony przypadek. Zob. P, s. 86–87: najpierw cztery fabuły o losie dzieł (biblioteka, lamus, salon wystawowy, marzenie), potem ich w miarę scjentystyczne opracowanie.

Okazuje się poza tym, że mimo dziania się, sceneria fabularyzacji jest raczej posępna: tworzą ją na ogół, elementy zdewastowanej cywilizacji (lamusy), pobocza dróg..., (T, s. 41), ulegające biologicznemu rozkładowi jak, wspomniane tuż wcześniej, okopy biografistyki porosłe zielskiem. Czasem fabularyzacja jest ostentacyjnie pogrzebowa. O bliskości dzieła i interpretacji:

I w ukrywaniu sensu, i w jego odkrywaniu pomocne są takie same narzędzia komunikacyjne. Grzebanie zwłok i ich odkopywanie to dwie różne czynności, jednakże obie wykonuje się za pomocą łopaty [P, s. 42].

Prawdziwą tragedią losu w obsuwaniu się mowy jest obsuwanie się świata. Poetyzmy i fabularyzacje, pojawiając się wśród porządkujących wyliczeń i opisów, załamują semantyczne rusztowanie (por. P, s. 205) wywodu.[6] Gdy istniał jeszcze język i przedmiot, zapewniały światu fundamenty.

W „międzyjęzyku" (odnosi się takie wrażenie) zdarto ze świata tkaninę, przesłonę, zasłonę języko-przedmiotu i nie wiadomo, co z nią zrobić. Komplementarne (szczególnie rozlewne) „między", można stwierdzić, uaktywnia nawet problem „rozlewności" tkaniny. W każdym razie — pojawia się następne ważne słowo — trzeba przymocować, osadzić tkaninę: język krytyczny w systemie (P, s. 136), dzieło w podzbiorach i sieciach typologicznych (P, s. 86). Postulat miesza się tu z rozpoznaniem ontologicznym: temat „jest przymocowany do realiów" (T, s. 123), utwór jest osadzony w historii (P, s. 94) lub umocowany w procesie historycznoliterackim (P, s. 125), znaczenie przytwierdzone do form gramatycznych (P, s. 183). Charakterystyczne, iż „przymocować" sąsiaduje w tekście właśnie z „pomiędzy": rzeczywistość interpretacji jest „między" i jej wyniki zostają umocowane w systemowym porządku (P, s. 29), biografia jest między życiem a literaturą, następnie — osadzona w procesie historycznym (P, s. 146). Znaczenie „przymocować" skłaniałoby do jakiejś inżynieryjno-konstrukcyjnej metaforyki interpretacji. Sławiński jednak operuje metaforyką krawiecką: to, co ma zostać umocowane, zostało najpierw wyprute z tkaniny dzieła literackiego (P, s. 61) lub z historii (P, s.

---

[6] Może jest to nieco bardziej widoczne w *Tekstach i tekstach*, niż *Próbach teoretycznoliterackich*, w których Sławiński buduje masywniejsze literaturoznawcze umocnienia, ale jest to tylko różnica stopnia,

115), skrojone na użytek (P, s. 157), musi jeszcze przejść przez przymiarkę (P, s. 90). Zadziwiające i nieprawdopodobne, jak często i w jak dziwnych miejscach posługuje się Sławiński krawieckimi określeniami. W „poważnym" szkicu *O opisie* mamy następujące podsumowanie dotychczasowych rozważań: „mówimy zawstydzająco mało. Niewiele więcej ponad to na przykład, co powiedziałby ktoś o rękawach marynarki, twierdząc (słusznie), że nie spełniają warunków stawianych nogawkom spodni" (T, s. 200).
W „lżejszych" szkicach — oprócz szafy (od kurtki safari do płaszcza ortalionowego, T, s. 31 i 168) znajdujemy teatralną garderobę: wiedzę nowoczesną „we wciąż nowych przebraniach" (P, s. 11), twierdzenia przystrojone „w piórka słuszności" (T, s. 33), Różewicza w mundurze (T, s. 100). Jeśli można mieć do Sławińskiego pretensje to o to, że on, który doświadczył obu niemocy języka — i jako przesłony, i jako „pomiędzy" — nie wyciąga ze swych doświadczeń zasadniczych wniosków. Odkrywszy w nowy sposób ważność rzeczywistości, bytu, tajemnicy, odgradza się od nich, używając tego, co — zdawałoby się — straciło użyteczność: tkaniny. Sławiński staje się specjalistą od ubiorów. W łagodniejszej formie — od tego, „co się obecnie nosi" (P, s. 247), co jest „stosowne i modne" (P, s. 142), w co się ludzie z branży przebierają (kostiumy scjentysty, organizatora, metodologa..., T, s. 12 i n). W mocniejszej — starając się przymocowywać — Sławiński to już niemal *sartor resartus* Carlyle'a, krawiec kosmosu, filozof odzieży, który kroi, przymierza, fastryguje, by ukryć nicość wszechświata: skóra, ciało to również przebranie[7] (ciało sportowca jest tekstem T, s. 46), albo materiał na nowy ubiór: można łączyć borsalino z kierpcami i odnóża ratlerka z głową lwa (T, s. 31–32). Formuły cielesności pojawiają się tylko jako metafory: korpus tekstów (P, s. 132) lub samozapładnianie się poezji (T, s. 132).
Nawet w łagodniejszej formie Sławiński jako specjalista od ubiorów nigdy nie pokazuje nam ciała: to, co jest pod przebraniem, to inne przebranie albo spersonalizowany wytwór ludzki („komunał przystrojony w szatę uczoności"[8]). Można dostrzegać w tym albo konsekwencję metodologiczną, albo strach przed potworem. Ta ostatnia

---

[7] Por. T. Carlyle *Sartor Resartus. Życie i zdania pana Teufelsdröckha w trzech księgach*, przeł. S. Wiśniowiecki, Warszawa 1882, (np. s. 58, 128).
[8] J. Sławiński *Zaszkodzi niepolepszenie*, „Teksty" 1972 nr 6.

hipoteza nie wytrzymuje próby krytyki. Żarty Sławińskiego świadczą, że nie odczuwa strachu, ale wskazują zarazem, że nie jest świętym Jerzym. Drażni jedynie potwora, łechce go słomką. Śmieszność go nie przeraża (T, s. 30). Pomiędzy biografią przeżywaną a interpretowaną istnieje jeszcze stadium przejściowe, w którym biografia przeżywana, utrwalona w pamięci świadków, przeszkadza w przekształceniu jej w pełną tekstowość. Jak ją nazwać: „*interregnum* (a może raczej czyściec?)" (P, s. 158). Co po czyśćcu — „aureola znaczenia" (P, s. 160)? Za tymi dowcipami znaleźć można najboleśniejszą egzystencjalność, ale Sławiński nie zdejmuje ani na chwilę nienagannie skrojonego garnituru. Ostentacyjnie lekceważy potwora w eleganckich peryfrazach, np. przemijania i śmierci („czas jest zjawiskiem rozpraszającym biografię" — P, s. 148).

Zadziwiające, że nawet ci, w których refleksji ciało ludzkie zajmowało ważne miejsce, „odsuwali" jego biologiczność. Merleau-Ponty mówi o ciemnościach przepełnionych narządami[9], o czymś, co jest tylko tkanką, krwią i kośćmi[10]. Podobnie „klasyk" Spinoza przyznając, że ciało „jest zdolne do czegoś, czemu jego własny umysł się dziwi"[11], uniezależniał myślenie od ciała[12]. Zarazem w ciele, zwłaszcza u Merleau-Ponty'ego, pozostaje tajemnica początku i kresu: „Pewnego dnia życie umyka przez palce, ciało przestaje być posłuszne[13]. Rozróżnienie tego, co zmysłowe i niezmysłowe, fizyczne i niefizyczne jest — według Heideggera — podstawą metafizyki; jeśli „uzna się, że (...) jest niewystarczające, myślenie metafizyczne traci swój autorytet"[14]. Niemetafizyczny lingwista Sławiński znalazł się w tej metafizycznej pułapce. Oddzielenie języka najpierw od rzeczy (materiału), potem ostatecznie — w „pomiędzy" — od ciała, j e g o swoista filozofia odzieży, pozbawiły słowo ważności.

Sławiński marzy o języku w miarę k r w i s t y m, ale zarazem s k r o -

---

[9] M. Merleau-Ponty *Proza świata. Eseje o mowie*, wyb., oprac. i wstęp S. Cichowicz, Warszawa 1976, s. 65.

[10] Tamże, s. 68.

[11] B. de Spinoza *Etyka*, przeł. I. Myślicki 1991, s. 80.

[12] Z. Kuderowicz *Filozofia nowożytnej Europy*, Warszawa 1989, s. 226.

[13] M. Merleau-Ponty *Proza świata...*, s. 200 (por. s. 231). Podobnie, chociaż w tonacji humorystycznej, u Sławińskiego: cielesność puszczona samopas płata figle (T, s. 45).

[14] Cyt. za J. Derrida *Biała mitologia. Metafora w tekście filozoficznym*, przeł. W. Krzemień „Pamiętnik Literacki" 1986 z. 3, s. 301.

j o n y m na ludzką miarę (T, s. 36–37); marzy sprzecznie, nie zauważając tego lub nie chcąc zauważyć. Nęci go „między" krytyki, „pośrednictwo" krytyki (P, s. 117), łączy krytykę z nauką o literaturze (P, s. 119). Jest to najgorsza kandydatka na żonę literaturoznawcy, bo nigdzie indziej jak właśnie w krytyce (mowa o instytucji) tak szybko nie oddalamy się od rzeczy i ciała. Krytyka bowiem również oswaja, neutralizuje, kastruje. Dzieło o cierpieniu, o wyciu z bólu, zmienia się jakże często w dyskursie krytycznym w zdystansowane rozważania o rodzajach cierpienia. Rozwijając myśl samego Sławińskiego: skoro folklor nie zna krytyki (D, s. 178), to, w dużym uproszczeniu, starożytny Grek nie potrzebował krytyka, gdy słuchał żalów Achillesa na temat śmierci.

Słowo oddzielone od rzeczy, słowo–tkanina–kostium traci jakąkolwiek życiową skuteczność. Mamy wówczas powtórkę z *Panny Winczewskiej* (jedyny w dylogii przykład na arcydzieło[15]), w której znajdujemy, *notabene*, podobną scenerię jak w fabularyzacjach Sławińskiego: biologicznie trwałą naturę, wchłaniającą zdewastowane elementy cywilizacji — nawet w świetlicy jest kałuża (por. wcześniej o okopach). Dla zniszczonej fizycznie, podstarzałej bibliotekarki, książka przestaje być przedmiotem lektury, jest tylko pretekstem w kontaktach z młodymi mężczyznami (jedyna, jaką wypożycza dla siebie mówi o jestestwach organicznych). Słowo–tkanina–kostium nie ustanowi łączności między zmysłowym i niezmysłowym, chociaż może to pierwsze zgrabnie ukryć (panna Winczewska marzy o nowym ubiorze). Szansą dla literaturoznawstwa nie jest krytyka, lecz literatura, która nieustannie przecież do ustanowienia tej jedności zmierza[16]. Będąc „pomiędzy", jak pięknie powiada sam Sławiński w jednym z najbardziej inspirujących rozdziałów książki[17], nie jest utopią pozbawioną „wymownych spełnień" (P, s. 66). Pora zdjąć kostium, bez względu na to, co się stanie. Może będą się śmiali na widok naszych ciał. Jeśli znajdziemy potrzebne nam słowo, wtedy im pokażemy.

---

[15] Znacząco ograniczony (arcydziełko nowelistyki polskiej) i reklamowany dość wątpliwą formułą: finezja psychologiczna (T, s. 154).

[16] Nie chodzi, oczywiście, o naśladowanie dyskursu literatury, strategię artystyczną (T, s. 12).

[17] *Wypowiedź literacka a wypowiedź filozoficzna: trzy kwestie i jedna ponadto* (P, s. 59–66).

Jerzy Madeyski

Narracje teoretycznoliterackie Janusza Sławińskiego

1. Aby opisać ewolucję dyskursu Sławińskiego, trzeba wskazać skrajne wcielenia gatunkowe, w jakich jest on rozwijany. Bieguny te, to rozprawa teoretycznoliteracka — z jednej — i eseje — z drugiej strony.
Niewątpliwie Sławiński narzucił pewien sposób mówienia o literaturze, określił standardy, których spełnienie jest warunkiem proponowania badawczych pomysłów, strategii interpretacyjnych. Powodzenie Sławińskiego jako teoretyka, mierzone choćby zasięgiem funkcjonowania jego rozstrzygnięć, czy statystycznie mierzoną częstotliwością odwołań do jego artykułów, nie wynika tylko z atrakcyjności intelektualnej jego rozpoznań, ale związane jest także ze strukturą narracji. Co się na nią składa?
Nade wszystko rozprawa teoretycznoliteracka Sławińskiego nie jest — by tak rzec — suwerenna. W takim sensie, iż od początku swojej aktywności Sławiński próbował nadać literaturoznawstwu status nauki; służyło temu przede wszystkim odwoływanie się do lingwistyki. Pewnie jest to najważniejszy subkod w narracji Sławińskiego. Właśnie poprzez terminologię językoznawczą próbuje on sproblematyzować takie zagadnienia, jak: teoria języka poetyckiego, biografia pisarza,

podmiot literacki, gatunek, tradycja. Nieustannie spotykamy w ich opracowaniu terminy: „słownik", „język", „gramatyka". Inna sprawa, że często są one opatrzone cudzysłowem.
Drugim językiem przenikającym do narracji Sławińskiego jest język biologii. Również tu zapewne idzie o wzmocnienie kodu teoretyczno-literackiego, choć w tym przypadku nie bez znaczenia są młodzieńcze pasje Sławińskiego ujawnione w jednym ze szkiców.
Jest także w rozprawach Sławińskiego język socjologii. I rzecz jasna nie chodzi mi o tę prostą zależność, iż o zagadnieniach socjologii literatury mówi się używając poszczególnych rozstrzygnięć profesjonalnych socjologów. Mam na uwadze również te teksty, gdzie tematyka socjologiczna nie jest rozpatrywana i gdzie nie ma bezpośrednich odwołań do prac socjologicznych.
I wreszcie czwarty subkod narracji teoretycznoliterackiej to język literatury. Myślę tu o bezpośrednich nawiązaniach do cenionych przez Sławińskiego poetów (Przyboś, Białoszewski), a także o licznych metaforycznych formułach, neologizmach, stylizacjach, fragmentach ludycznych. Włączanie w narrację teoretyczną tak pojmowanej literackości sprawia, że pewne fragmenty rozpraw wyraźnie się autonomizują, stanowiąc przeciwwagę dla tych wcześniej wspomnianych subkodów. Tak jest np. w tekście *Czas wspomnień*, w którym występuje następujący opis:

Ten oto siwiuteńki mężczyzna to kolega z przedszkola; ta smutna starsza pani to pierwsza miłość (pisał dla niej wiersze); ta druga to jego żona, obok niej przyjaciel z lat studiów; łysemu wielkoludowi udzielał kiedyś korepetycji z matematyki, z tym małym był w jednej kompanii na froncie, tamten na lewo to syn z drugiego małżeństwa; młody blondyn w okularach to gorliwy propagator zmarłego, dalej widzimy sekretarkę, lekarza domowego, rektora uczelni, w której wykładał w ostatnich latach życia, brata ciotecznego, wydawcę, znajomego bibliotekarza... .[1]

Ten fragment nie tylko nasyca narrację estetycznie i ludycznie przekonując o talencie stylistycznym autora; pełni także funkcję kompozycyjną (to przecież swoista retardacja podsycająca ciekawość). Ale rzecz jasna opis ten wyraziście ujawnia zasadniczy problem artykułu, socjologiczne rozumienie biografii pisarza (człowiek jako suma ról pełnionych w społeczeństwie).
Wskazane tu subkody są — według mego rozeznania — najważniejsze, choć można by wskazać inne, zastanawiając się np., jaką rolę peł-

[1] J. Sławiński *Próby teoretyczno-literackie*, Warszawa 1992, s. 159.

nią w dyskursie Sławińskiego teksty krytyczne, eseistyczne i programowe, takich choćby twórców jak Irzykowski, Peiper czy Przyboś. Bardziej wnikliwe dociekania pozwoliłyby też odpowiedzieć na pytanie o miejsce koncepcji awangardowej poezji w całym systemie literaturoznawczym Sławińskiego (np. polisemia jako naczelna wartość poezji, koncepcja tradycji...).

Wszelako dla określenia specyfiki jakiejś narracji istotne jest nie tylko to, co się w niej pojawia, ale również to, czego w niej nie ma. Jak wiadomo, wiele rozpraw Sławińskiego dotyczy historii, tradycji, a także biografii pisarza i jego związków z tekstem, z systemem estetycznym. Otóż najbardziej dziwi nikłe, marginalne odwoływanie się Sławińskiego do filozofii. Nie byłoby to może warte uwagi, gdyby nie okoliczność, że właśnie w latach sześćdziesiątych filozofowie w Polsce podejmowali podobne kwestie. Mam na uwadze teksty pisane w obrębie polskiej szkoły historii idei, w szczególności zaś eseje, rozprawy i książki opublikowane wtedy przez Leszka Kołakowskiego. Rzecz jest godna zastanowienia tym bardziej, że zbliżała Sławińskiego i Kołakowskiego metoda rozwijania dyskursu, sposób podejmowania zagadnień, dbałość o literackie wartości wywodu, wprowadzanie do narracji śmiałych metafor, sięganie po poetykę paradoksu. Myślę zwłaszcza o tak znanych i ówcześnie dyskutowanych tekstach, jak *Pochwała niekonsekwencji*, *Kapłan czy błazen* czy *Etyka bez kodeksu*, ale także o znakomitych recenzjach Kołakowskiego (np. *Pascal i epistemologia historyczna Goldmanna*, *Historia jako sztuka piękna*).

Mówiąc o nieobecności filozofii u Sławińskiego pamiętam oczywiście o Ingardenie. Sądzę jednak, że to trochę inna sprawa i ująłbym ją tak: Ingarden jest przywoływany nie jako filozof, lecz jako teoretyk literatury, w każdym razie reprezentant tej samej dyscypliny.

Gdybym chciał prowizorycznie odpowiedzieć na pytanie, skąd ta obojętność Sławińskiego na inspiracje filozoficzne, wskazałbym tu jeden zasadniczy powód natury taktycznej. Otóż na ówczesnym etapie budowania literaturoznawczego systemu, filozofia stanowiła istotne zagrożenie dla jego autonomii. To przecież właśnie w opozycji do filozofii formaliści i strukturaliści chcieli ustanowić język nowoczesnej poetyki.

Tekst teoretycznoliteracki Sławińskiego nie jest autonomiczny również dlatego, iż jest cząstką, elementem systemu. Rozstrzygnięcia poczynione w jednej rozprawie są aktualizowane, przypominane

i potwierdzane w innej. Toteż bardzo łatwo łączyć teksty Sławińskiego w pewne sekwencje, podejmują bowiem te same zagadnienia. Mamy więc cykl artykułów o interpretacji, o podmiocie, o narracji, o krytyce, o socjologii literatury, o samej teorii literatury... Wszystko to poświadcza stałość zainteresowań badawczych Sławińskiego, typ wyobraźni intelektualnej, ale nade wszystko potwierdza systemowy charakter tej twórczości. Pisanie kolejnych rozpraw to wypełnianie i zagęszczanie teoretycznoliterackiego systemu. A nadmienić trzeba, że występują tu nie tylko te bezpośrednie połączenia wiążące teksty w konstelacje. Uzupełniają je jeszcze związki słabsze, nie tak jawne. A więc nie poprzez temat, tytuł, przypis, ale sugerowane jakąś formułą, metaforą, frazą. Dla profesjonalisty są to wystarczające sygnały do umiejscowienia danej rozprawy we właściwym miejscu systemu. I tak np. artykuł *O semantyce wypowiedzi narracyjnej* trzeba czytać jako uzupełnienie takich tekstów, jak: *Wokół teorii języka poetyckiego, O kategorii podmiotu lirycznego, Synchronia i diachronia w procesie historycznoliterackim, Pozycja narratora w „Nocach i dniach" Marii Dąbrowskiej*. Dalej w tym ciągu winniśmy umieścić jeszcze kolejne artykuły o narracji: *Przestrzeń w literaturze: elementarne rozróżnienia i wstępne oczywistości*, *O opisie*.

Tak więc jeden tekst uzupełnia rozumienie takich zagadnień, jak narracja powieściowa, poetyckość, tradycja literacka. A wspominam przecież tylko o tych związkach jawnych, oczywistych. *Semantyka wypowiedzi narracyjnej* może być bowiem traktowana jako konspekt do badań nad kilkoma innymi jeszcze problemami. Historyk literatury sięgnie tu po uprawomocnienie dla swojej rekonstrukcji poetyckiego modelu prozy. Inny wnikliwy czytelnik, w oparciu o stosowny fragment, rozbuduje teorię spójności tekstu literackiego. Kolejny badacz podejmie wątek komunikacjonistyczny... Łatwo też wyobrazić sobie, że sięgnie po omawianą rozprawę metodolog historii, który zechce zauważyć komplikacje dyskursu historycznego.

Wszelako perswazyjna moc rozprawy teoretycznoliterackiej Sławińskiego budowana jest nie tylko przez te reguły, o których wzmiankowałem dotychczas. Wspomnieć tu należy przynajmniej o „kontekście negatywnym". Otóż czytając wczesne prace Sławińskiego wiemy nie tylko, w jakim kierunku winno zmierzać literaturoznawstwo, by zasługiwało na status nauki, ale również gdzie leży granica między tym, co archaiczne i tym, co nowoczesne, gdzie jest miejsce dla młodych,

a gdzie dla starych, za kim warto iść, kogo zaś porzucić. Nowej teorii literatury zagrażają zwłaszcza takie demony, jak: genetyzm, psychologizm, biografizm. To właśnie m. in. obecność tego negatywnego kontekstu sprawia, że wczesne rozprawy zbliżają się w swej poetyce do manifestów.

Na zupełnie innych prawach Sławiński buduje dystans mowy teoretycznoliterackiej wobec marksizmu. Filozofia ta jako element ideologii państwowej nie mogła, rzecz jasna, występować w kontekstach polemicznych. Nie ulega jednak wątpliwości, że wysiłek interpretacyjny Sławińskiego zmierza w kierunku wyeliminowania marksizmu z rejonów mówienia o literaturze. Chodzi zarazem o to, by ów gest unieważnienia był w jakimś sensie gwarantem autonomii, spójności i prawdziwości strukturalizmu. Potwierdzeniem takiego stanowiska są zarówno wstępne partie podręcznika *Zarys teorii literatury* (*Literatura wobec życia społecznego*), wiele haseł *Słownika terminów literackich*, jak i — w stopniu najwyższym — rozprawy z zakresu socjologii literatury. Zresztą można wskazać teksty, w których Sławiński objaśnia powody dystansu wobec marksizmu jako języka opisu literatury. W artykule *Zainteresowania teoretycznoliterackie Kazimierza Budzyka* czytamy m. in. o szansach, jakie stały przed metodologią marksistowską w okresie powojennym. Wiązały się one przede wszystkim z materializmem historycznym, inspirującym badania nad procesem historycznym, z metodą dialektyczną i z interpretacją socjologiczną. Jednak w wyniku działań administracyjnych szybko „historyzm został zastąpiony prezentyzmem, interpretacja socjologiczna — przez ideologię, dialektyka — przez prymitywny determinizm...".[2]

Powiedzmy wreszcie o jeszcze jednym mechanizmie uspójniania omawianych teoretycznoliterackich narracji. Być może najwyraźniej rozprawę Sławińskiego scala parafraza. Jest on bowiem w zgodzie z tymi, którzy traktują parafrazę w dyskursie naukowym jako kategorię poznawczą. Właściwe zrozumienie czyjejś myśli dokonuje się poprzez włączenie jej w obręb własnej narracji. Konsekwencją szeroko stosowanej parafrazy jest eliminowanie z tekstu cytatów. Przykładem takego operowania parafrazą może być wczesny tekst

---

[2] J. Sławiński *Posłowie. Zainteresowania teoretycznoliterackie Kazimierza Budzyka*, w: K Budzyk *Stylistyka. Poetyka. Teoria literatury*, oprac. H. Budzykowa i J. Sławiński, Wrocław 1966, s. 210.

Sławińskiego *Wokół teorii języka poetyckiego*, w którym stosunek do znanej rozprawy Jakobsona zostaje ustalony dwoma przypisami.[3]
Elementy narracji wskazywane dotychczas dotyczyły rozpraw teoretycznoliterackich. Ale obok tego zasadniczego gatunku Sławiński wypowiadał się również w innych. Chciałbym więc jeszcze przypomnieć, jak zagadnienia teoretycznoliterackie ujawniają się w narracji eseistycznej.
Sławiński wielokrotnie pisał o eseju. Przypomnijmy tu to rozumienie tej formy, jakie zostało przedstawione w recenzji z książki Romana Zimanda *Wojna i spokój. Szkice trzecie*.[4] Sławiński ceni Zimanda właśnie za to, że uprawia on szlachetną i trudną sztukę eseju. Najważniejsze zaś jest w niej to, aby pisząc nie akceptować do końca żadnej roli, nie identyfikować się z żadną racją instytucjonalną, szczególnie zaś z taką, która reprezentuje jakiś system wartości, doktrynę, opcję. Ponadto uprawiając esej nie powinno się akceptować żadnej metody, teorii. Instrumentarium eseisty jest bowiem akcydentalne, jednorazowe. I wreszcie — myślenie eseistyczne wiedzie do podejmowania różnych, nieprzewidywalnych problemów.
Jak łatwo zauważyć w repertuarze wartości negowanych są właśnie te, które dotychczas uważane były za pozytywne. Przecież to m. in. ze stabilizacją podmiotu w jednej roli, z wytrwałym rozwijaniem metody, z konsekwentnym budowaniem systemu wiązać można atrakcyjność teorii literatury Sławińskiego. Czy więc mamy mówić o ewolucji, ujawniającej się m. in. w przejściu od metody do eklektyzmu, od systemu do poetyki fragmentu? Zapewne można wskazać wiele argumentów na rzecz tej tezy. Można także do tego dodać wyznania samego Sławińskiego, poczynione we wstępie do ostatniej książki, gdzie mówi z dystansem o swojej „scjentycznej" fazie twórczości, dodając, że nie potrafiłby podtrzymać dawnych projektów integracyjnych. „Coraz częściej — pisze — odczuwam gotowość akceptacji, a nawet pozytywnego wartościowania — partykularyzmów, upartych jednostronności i podziałów".[5] W dalszym ciągu wyznania ujawniony

---

[3] Por. polemiczne uwagi H. Markiewicza dotyczące tego tekstu (H. Markiewicz *Jeszcze o teorii języka poetyckiego*, w: *Przekroje i zbliżenia dawne i nowe*, Warszawa 1976).
[4] J. Sławiński *Ośmiotekst eseistyczny*, w: *Teksty i teksty*, Warszawa 1991; Por. też wypowiedzi Sławińskiego w dyskusji o eseju, „Więź" 1986 nr 2–3.
[5] J. Sławiński *Próby teoretycznoliterackie*, Warszawa 1992, s. 7.

zostaje powód zmiany stanowiska. Otóż w tym nowym wcieleniu humanistyka jest po prostu ciekawsza. Co więcej jednak, Sławiński dokonuje przewartościowania swego dorobku, co wyraziście sygnalizują tytuły książek: *Dzieło — Język — Tradycja* i *Próby teoretycznoliterackie*. Tytuł pierwszy eksponuje zasadnicze kategorie, zakresy systemu, sygnalizuje też hierarchię podsystemów w systemie globalnym; tytuł drugi odsyła do nieustabilizowanej, hybrydycznej, pozasystemowej formy eseju. A tytuł, jako sygnał metatekstowy, ustanawia perspektywę lektury. W tym drugim przypadku otrzymujemy sugestię, iż ustalenia poczynione w rozprawach nie są ostateczne, wprowadzają tylko do problemu, mają status właśnie próby. Innymi słowy już tytuł książki osłabia poznawczy wymiar tekstów. I dotyczy to również tych rozpraw, które z racji czasu powstania i zakresu rozstrzygnięć, przynależą do systemowej fazy twórczości Sławińskiego. Myślę np. o łączącym tradycję strukturalną i hermeneutyczną, kanonicznym już artykule *Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego*. Nietrudno więc zauważyć, że w *Próbach teoretycznoliterackich* mamy do czynienia nie tylko z akceptacją nowej formy narracji naukowej, lecz także ze zmianą ideału badawczego. Nie chodzi tu już przecież o rozbudowanie metajęzyka, którym w sposób ścisły mogłaby się porozumiewać literaturoznawcza wspólnota. Nie chodzi o poznanie literatury. Dawne projekty zostały zarzucone. Ostateczną i wystarczającą sankcją do uprawiania dyscypliny jest podmiot badający, jednostka. Liczy się więc racja indywidualna, a nie zbiorowa, grupowa, instytucjonalna.

ERNEST HEMINGWAY

Wiosenne potoki

Tłumaczenie Jan Kornel Paygert
Wstęp Lech Budrecki

Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1994, wydanie I.

MALCOLM LOWRY

Ciemny jak grób, w którym spoczywa mój przyjaciel

Tłumaczenie oraz posłowie Maria Bożenna Fedewicz

Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1994, wydanie I.

Obie pozycje (oprócz tradycyjnej możliwości nabycia ich w księgarniach) możecie Państwo kupić w siedzibie wydawnictwa — Warszawa, Al. Ujazdowskie 16 m. 49, lub zamówić je telefonicznie pod nr 621-67-64.

Szkice

Jan Błoński

Jedna, dwie czy jedna w drugiej?

Czy w latach 1940–1990 — a więc przez pół wieku — istniały dwie literatury polskie, w kraju i na emigracji, czy też jedna? Ale najpierw, czy to naprawdę ważne pytanie? I czy odpowiedź istotna? Czy nie wszystko jedno — zwłaszcza po tylu latach — gdzie pisarze mieszkali i gdzie drukowali swoje książki? Dość, by były dobre, czyli godne pamięci... Wszyscy się zgadzają, że emigracja literacka była zjawiskiem *par excellence* politycznym. Może by więc jej problemy — powstanie, funkcje, osiągnięcia — odesłać do rozpatrzenia historykom *tout court*? Literaturoznawcy mieliby wtedy tylko do czynienia z poszczególnymi dziełami czy autorami, z którymi łatwiej by już sobie poradzili.

Dla nich bowiem termin „literatura emigracyjna" będzie naprawdę użyteczny tylko wtedy, kiedy potrafią wskazać literackie wyróżniki, uzasadniające jego zastosowanie. Aby być czymś więcej, niż zbiorem książek wydanych w kraju innym niż kraj urodzenia ich autorów — „literatura emigracyjna" winna okazać się zdolna do wyraźnych wyborów: tematycznych, gatunkowych, stylistycznych... Powinna także choćby zarysować własną ewolucję, odmienną od rozwoju literatury krajowej.

Przypadek takiego rozdwojenia literatury miał miejsce w Polsce po powstaniu listopadowym. Twórczość Wielkiej Emigracji wypełniła

dobrze pierwszy z tych warunków. Podjęła bowiem takie polityczno-filozoficzne tematy, których krajowi pisarze nie tylko nie mogli, ale także nie umieli podjąć... Skupiła się też na gatunkach „wysokich" (jak dramat, epopeja), pozostawiając „krajowcom" powieść obyczajową, komedię i rozmaite inne — na ogół skromne — formy wypowiedzi... Ale nie umiała się już odnowić i zmienić. Pod tym względem emigranci XX wieku zdali lepiej egzamin. Ich literatura zachowała żywotność prawie dwa razy dłużej (od 1940 do 1990 mniej więcej) i umiała się odnawiać niemal do ostatniej chwili.

Ale dlaczego umiała? Czy dlatego, że przybywało emigrantów? W dużej mierze dlatego. Czym byłaby emigracyjna twórczość bez Miłosza, Wata, Mrożka, Hłaski... i tylu zbiegów późniejszej godziny? Ale pozostawali oni przecież wierni swoim krajowym doświadczeniom, zjawiali się nawet często — jak Odojewski — z rękopisami w walizkach. Była na dobitkę chwila, gdy odwrócił się kierunek tych literackich peregrynacji. Po październiku wrócili do kraju Wańkowicz, Parnicki, Kuncewiczowa, Kossak–Szczucka... I dobrze zrobili, bo peerela nie mogła im już zaszkodzić na pióro! Ale to także dowód, że emigracja (czy reemigracja) nie była tylko efektem poglądów — i nacisków — politycznych. Była wypadkową czynników politycznych i literackich, nie mówiąc już o osobistych. W czym mogła władza ludowa zaszkodzić Parnickiemu? Jakkolwiek wpłynąć na jego twórczość? Nijak nie mogła. Postanowiła go więc — w miarę... — pokochać. Ale także: czy można sobie wyobrazić Białoszewskiego, Konwickiego na emigracji? Chyba nie bardzo. Te kwiatki, aby rozkwitnąć, nie mogły chyba obejść się bez krajowego nawozu.

Jak to więc w końcu rozplątać? Pytanie całkiem praktyczne, zwłaszcza dla historyka literatury. Czy powinien on, obejmując pamięcią pięćdziesięciolecie, omawiać twórczość krajową i emigracyjną osobno czy wspólnie? Jeśli jednak osobno — musi tę osobność uchwycić nie geograficznie, lecz literacko: wskazać przynajmniej skłonności czy zaczątki własnej ewolucji literatury emigracyjnej. Wyobrazić sobie na chwilę, że żadnej godnej tego miana literatury w Polsce nie było (jak zresztą wolno było sądzić patrząc na produkty lat pięćdziesiątych) — i starać się odszukać jakieś własne rysy i rytmy w tej, co powstawała poza krajem.

W wieku XIX emigracja literatury była skutkiem narodowej katastrofy. Czy tak samo w dwudziestym? Znacznie gorzej, bo narodowe nie-

szczęście było przecie skutkiem cywilizacyjnej zapaści, która dotknęła niemal całą Europę. Jak pisać po Oświęcimiu? To pytanie słychać już u Baczyńskiego, Borowskiego, Różewicza... Zejście do piekieł — także piekieł własnej duszy — zostało zaś na ogół oszczędzone tym, którzy opuścili Polskę przed wojną i na jej początku. Cierpieli nad losami ojczyzny. Ale czy umieli dostrzec — i zwłaszcza wypowiedzieć – że to świat wyszedł z formy?
Właśnie dlatego powojennym czytelnikom literacki Londyn zdawał się wprawdzie uczciwy i szanowny, lecz — pozbawiony ciężaru. Jakby tylko doświadczenie skrajnego nieszczęścia, ludobójstwa, katastrofy mogło uwiarygodnić literacką prawdę o człowieku! Czuć to musiał jakoś Gombrowicz, który chyba nie przypadkiem niczego podczas wojny nie ogłosił? Swój *List do Ferdydurkistów* posłał więc nie do Londynu, którym lubił sobie pomiatać... ale do Warszawy! Miłosz — osiedlając się w 1951 roku w Paryżu, nie widział przed sobą żadnej literackiej przyszłości:

> byłem wtedy głęboko przekonany, że dla mnie, jako dla literata, oderwanie się od podglebia równa się zagładzie [...] miałem w sobie paniczny lęk przed tym, co określa się jako „koła emigracyjne", w których programowym antyintelektualizmie wyczuwałem zawsze duże niebezpieczeństwo.

Ironiczny los sprawił, że właśnie wtedy sytuacja uległa odwróceniu. W roku 1948 realizm socjalistyczny stał się (niemal?) obowiązkowy. Tym samym rodzima twórczość albo zdziecinniała, albo zmieniła się w kłamliwe bzdury. Ale właśnie wtedy zaczęły się na Zachodzie pojawiać książki ludzi, którzy podczas wojny poznali inne piekło stalinowskie, inny Oświęcim — syberyjski... Czapski, Herling, potem Mackiewicz, Wat, tylu innych! Prawda tych książek, zakazana na Wschodzie i nader niechętnie słuchana na Zachodzie — była nieraz podobna do tej, która ugodziła Borowskiego czy Różewicza. Emigracja przejęła więc czy uzupełniła zadanie rozpoczęte nad Wisłą.
Nie myślę jednak tylko o daniu świadectwa. Mniej spontaniczni pisarze–wygańcy więcej już wiedzieli o mechanizmach zniewolenia i zagłady. Herling rozeznawał socjologię gułagu, Miłosz „ukąszenie heglowskie", Wat teologię — czy antyteologię? — ludobójstwa. Pewnie, że przez to wszystko, co ukazywali, prześwitywał nieraz sekret jednostkowego zła (czy poświęcenia...) i bardziej jeszcze, zagadka historii, która zwróciła się przeciw człowiekowi. Mniej jednak było —

po lepszej stronie Europy — tej zimnej rozpaczy, która zabiła kiedyś Borowskiego.
Pisarze ówczesnej emigracji czuli się — bo czuć się musieli — nosicielami literackiego przesłania, rozumianego jako zobowiązanie moralne. Gest rozstania czy odmowy musiał być zarazem poświadczeniem prawdy. Ale to przesłanie było także wynikiem ogołocenia, pozbawienia indywidualności — odczuć chyba podobnych do tych, które odczuwali więźniowie obozów czy uczestnicy społecznych katastrof. Jakie były czysto literackie skutki takiego doświadczenia?
Nikt nie opisał dokładniej *quasi*-zagłady skromnej prowincjonalnej społeczności, niż Józef Mackiewicz. Czegóż te kresy — białoruskie, żydowskie, litewskie i polskie — nie widziały? Powieści Mackiewicza są pasjonujące, nie można oderwać się od lektury. A jednak... nie mogą w końcu nie rozczarowywać, ponieważ pisarz nie może — i nawet się nie stara — stworzyć dystansu, który pozwoliłby je czytać inaczej niż jako świadectwo. Narrator zdaje się ciągle wierzyć, że jakieś zdarzenie, decyzja, szczęśliwszy przypadek mógłby ocalić tych ludzi i ten kraj. Stąd wtręty, dyskusje, historyczne uszczegółowienia, które pomniejszają epicką jakość tych książek... Mackiewicza oskarżano o rusofobię i tym podobne grzechy. Ale udowodniono istnienie zbrodni gorszych nawet niż te, o jakich pisał Mackiewicz... Jego grzech był bardziej estetyczny niż polityczny: nawet dla dobra własnego dzieła nie mógł oderwać się od zbiorowego nieszczęścia w jego historycznej konkretności.
Także dzieło Herlinga zostało trwale naznaczone przez jego przeżycia w sowieckim łagrze. Herling podjął w proteście strajk głodowy, skazując się na pewną śmierć. Ocalał *in extremis*. Nie wrócił już nigdy do tego tematu. Ale od czego krytycy? Spostrzegli, że w tym, co pisał później, wracają stale postacie ludzi przeklętych, nieuleczalnie chorych, żywcem zamurowanych, wegetujących w całkowitym zapomnieniu. Ludzi zgniecionych nieszczęściem, w których tli się jednak — już nie nadzieja, bo nie mają prawa do żadnej — ale jakaś zgoda na życie lub nawet jakaś spokojna godność... Skąd bierze pisarz swoje postacie? Z historii, folkloru czy literatury Włoch, gdzie się osiedlił? Ale oczywiście stoją za nimi zawsze ocaleni z obozów... I jak się dziwić, że trudno pisarzowi uwolnić się od siebie samego, którego nie można ani zrozumieć, ani zapomnieć?
Skryte natręctwo czy porażenie wyobraźni trafia się nie tylko u emig-

rantów. Ale trafia się częściej i boleśniejsze miewa skutki. A ja przecież mówiłem o dwu najwybitniejszych... Na pewno nie pozwolili się całkiem uwięzić w swoim losie. Zwłaszcza Herling czynił wszystko, aby pozostać mu wiernym... ale zarazem go przekroczyć, uogólnić. Ale wielu nie potrafiło nigdy uwolnić się — jako pisarze — od tożsamości narzuconej, stworzonej przez okoliczności. „Jeszcze jeden polski emigrant opowiada o swoich nieszczęściach." Jak bardzo może taka opinia — samoopinia — dokuczyć, świadczy twórczość Pankowskiego, który przez całe życie nie przestawał wyśmiewać wszystkiego, co drogie banalnemu polskiemu sercu... Okadzony albo opluty, nieszczęsny emigrant nie przestaje jednak być więźniem swojej sytuacji.
Może on jednak — paradoksalnie — odwołać się raz jeszcze do swojej pamięci. Wrócić do czasu sprzed katastrofy, czasu odczuwanego jako bardziej własny, osobisty... Takie odwołanie zdaje się nieść szansę odtworzenia osobowości pierwotnej, jakby nie znieważonej, zniekształconej przez okoliczności zewnętrzne. Najbardziej uderzającym przykładem jest tu oczywiście Miłosz. Ledwie skończył opowiadać o przyczynach swego wygnania, już zabrał się do opisywania swego dzieciństwa (*Dolina Issy*) i literacko-intelektualnego dojrzewania (*Rodzinna Europa*). Wybiera raczej to, co go odróżnia od zwykłego Polaka, a więc dziedzictwo Wilna i zwłaszcza kraju nad Niewiażą. Ta odległa prowincja — także europejska, lecz cofnięta w czasie — jest „rodzinna", jak mówi tytuł, nie narodowa. Tym samym osobliwsza, bardziej własna. Nie kształtowała ona Hitlerem i Stalinem, ale łagodnością krajobrazu, dziwną przeszłością, rozmaitością etniczną i kulturalną.
Zwrot powieściowej wyobraźni ku małym ojczyznom i peryferyjnym środowiskom stał się istotnym wyróżnikiem polskiej prozy lat 1960–1980. Doprowadził do powstania — jedno- czy dwupokoleniowych niestety — „szkół" literackich: kresowej (zwłaszcza „litewskiej"), żydowskiej i galicyjskiej w łonie literatury polskiej. Można by zapewne wymienić inne jeszcze schronienia przed zniewoleniem, rozproszonym jakby w post-soc-realistycznej kulturze. Zmierzała ona przecież dalej do uniformizacji i „racjonalizacji" komunistycznego człowieka.
Ale przecież ten literacki proces zaczął się za granicą, na emigracji. Jego najgłośniejszą zapowiedzią były właśnie *Dolina Issy* i *Rodzinna Europa*. Miłosz uważał za swego duchowego przewodnika Stanisława

Vincenza, który — w czterech grubych tomach — starał się odtworzyć archaiczny świat ukraińskich górali karpackich: ich stosunek do Boga, natury, rodziny, ale także do ich żydowskich, polskich czy węgierskich sąsiadów. Vincenz był bardziej pisarzem niż uczonym i potrafił przedstawić swój rodzinny świat w formie gawędy czy mówionego eseju, gatunku, którego staroświecki charakter zgadzał się z tematem.

Jak tu nie przypomnieć także *Leśnika*..., najlepszej może z powieści Kuncewiczowej (1954)? Studencik z prowincji, znalazłszy się w Warszawie w chwili niezwykle patriotycznej egzaltacji — tuż przed powstaniem 1863 roku — nie potrafi znaleźć sobie samemu ojczyzny i utożsamić się z nią wewnętrznie. Uwikłany w rodzinne i miłosne kłopoty, nie umie przeżyć czy uznać swej polskości; odczuwa ją jako zakaz czy odmowę wszelkiej obcości czy inności. Rozdarty, wraca do swej rodzinnej puszczy... Także gdzie indziej pojawia się u Kuncewiczowej, która pierwsza, jeszcze przed wojną, wprowadziła do polskiej prozy motywy freudowskie, co może symptomatyczne... — pojawia się więc trudność — ale i konieczność — odgrywania roli „obywatela świata" przez emigrantów, których wewnętrzny świat pozostawał raczej nie zrozumiały dla otoczenia. A więc dokładne odwrócenie problemu *Leśnika*!

Troską tych pisarzy było na pewno określenie granic i znaczenia własnej — z konieczności emigracyjnej — tożsamości. W ich książkach widziano nieraz wyraz nostalgii. Ale nostalgia zamyka się na ogół w symbolicznym polonocentryzmie, co oczywiście zrozumiałe, ale często anachroniczne. Stąd właśnie zaciekawienie środowiskami niejako ekscentrycznymi: wzbogacały one substancję społeczną, ale nie utożsamiały się jednoznacznie z polskością. Otóż dokładnie tak samo jest — czy może być — z emigrantami! Znać tu chęć umknięcia przed uproszczeniem i wykorzenieniem jednocześnie. A zwłaszcza — przed sprowadzeniem do roli i etykiety polskiego emigranta przeżuwającego swój nieudany los.

Pierwszym, który gwałtownie odrzucił tę rolę był oczywiście Gombrowicz jako autor *Trans-Atlantyku* (napisanego w latach 1949–1950). Ośmieszając rytuały polskiej emigracji w Argentynie i przeciwstawiając im dwuznaczne rozkosze Retiro — wesołej dzielnicy Buenos Aires — Gombrowicz nie wahał się przedstawić siebie samego jako dezertera czy zdrajcę. Ale w jego książce można rozpoznać od razu

parafrazę sarmackiego pamiętnika, gawędy czy nawet epopei (Paska, Rzewuskiego, Mickiewicza), które uchodzą wręcz za kwintesencję polskości! Tym samym Gombrowicz przedstawia się jako Polak — ale Polak inny. *Trans-Atlantyk* jest prawdziwym literackim majstersztykiem i trudno go zestawiać z całkiem realistycznymi powieściami, o jakich przed chwilą mówiłem. Ale i wielcy, i mniej wielcy mogli obracać w głowach podobne pytania, cierpienia, doświadczenia... Także Gombrowicz rozmyślał, jak sobie z Polską poradzić.

Jak już mówiłem, pierwszą literacką reakcją emigrantów było danie świadectwa. Drugą — powrót w przeszłość, który miał zwykle na celu odnowę czy odszukanie tożsamości. Ale nie tylko narodowej, raczej jednostkowej, bo tej bardziej groziło skrzywienie czy wykorzenienie. Tym samym odzyskiwali zdolność uczestniczenia w aktualności, którą emigracja często pomniejsza czy poraża.

Stosunkowo łatwo wskazać instrument — czy medium — tego uczestnictwa. Był nim esej i zwłaszcza — dziennik. Dzienniki nie były szczególnie popularne wśród krajowych pisarzy, zwłaszcza ostatnimi czasy. Pisali je ludzie starsi, ukształtowani przed wojną, jak Nałkowska, Dąbrowska, Iwaszkiewicz. W żadnym wypadku nie przewidywali oni publikacji za życia. Tymczasem dzienniki Gombrowicza, Herlinga, Brandysa docierały do czytelnika z kilkumiesięcznym najwyżej opóźnieniem. Podobnie z esejami Miłosza, będącymi osobliwym połączeniem wspomnień, medytacji i aktualnych refleksji... Przypomnę jeszcze noty Wata — jedyne naprawdę intymne — i eseje Stempowskiego, które tak wiele znaczyły w środowisku „Kultury"... Prócz może Wata żaden z tych pisarzy nie pisał dla siebie lub potomności: wszystkie te dzienniki stanowiły raczej miejsce intelektualnej konfrontacji. Pisarz-emigrant starał się tam określić zarówno względem kolegów z kraju (których karcił, chwalił, podziwiał, zazdrościł itp.), jak względem intelektualistów Zachodu, których na ogół krytykował, nie przestając przyznawać się do wielkich tradycji, jakich czuł się współ-dziedzicem... Prowadził zatem jakby imaginacyjne dialogi, toczył walki z cieniami, z których — być może — wychodziłby zwycięsko, gdyby tylko znalazł właściwych czytelników...

Wszystkie te dzienniki, eseje, wspomnienia i opowieści autobiograficzne przyczyniły się jednak najbardziej do ostatecznego ukształtowania literackiej oryginalności swoich autorów. Właśnie w *Dzienniku* Gombrowicza ujawnia się najwyraźniej ludyczna strategia pisarza.

W kulturze bez transcendencji pisanie może być tylko — mniemał Gombrowicz — takim działaniem, poprzez które autor stara się narzucić czytelnikowi jako osobowość. Ale ta osobowość nie jest niczym innym, jak darem czy umiejętnością samotransformacji, nieustannego przekształcania samego siebie! Inaczej mówiąc, artysta umyka po to, aby się ludziom podobać i sam się świadomie zmienia, aby przyciągnąć owego „drugiego", bez którego nie mógłby się odnowić. Tę strategię można już odnaleźć czy wyczytać w *Ferdydurke*. Aby się jednak ujaśniła i umocniła, potrzebny był Gombrowiczowi taki właśnie hybrydyczny gatunek, w którym przeszłość i teraźniejszość, prawda i zmyślenie, pisarz i czytelnik mogą się zamieniać i miejscami i sensem. Więcej nawet: dziennik adresowany do nie wiadomo kogo i nie wiadomo gdzie!... słowem, dziennik pisany na wygnaniu, w kraju obcym i enigmatycznym, stwarzał jakby wokół autora swoistą pustkę, uwalniając go od więzów i przyzwyczajeń, które by mogły porażać jego ruchy. Może więc Argentyna była istotnie miejscem, gdzie mógł się idealnie spełnić jako artysta... za cenę zapomnienia i zlekceważenia, rzecz jasna? Czuł to w jakiejś mierze sam, mówiąc, że wraca do Europy po to, aby odnieść sukces, czyli umrzeć.

W roku 1976 Miłosz określał emigracyjnego pisarza jako kogoś, kto „był świadom swego zadania i ludzie czekali na jego słowa, ale zakazano mu mówić. Tam, gdzie teraz mieszka, może mówić, ale nikt go nie słucha i co więcej, zapomniał co ma do powiedzenia". Dziwne słowa w ustach autora tysięcy stronic... Co czynić? Zmienić język, czyli zerwać z kondycją wygnańca? Czy też raczej zachować „wyobrażoną obecność" we własnym kraju? Ale jak? Wspierając się na pamięci. Stale wracać do przeszłości — własnej i zbiorowej — ale też nieustannie tę przeszłość reinterpretować, w nadziei, że okaże się ona „właściwa", czyli zrozumiała dla przyszłych czytelników. I taka staje się właśnie twórczość Miłosza — liryczna i eseistyczna; w powieści takie postępowanie zdaje mu się niemożliwe... Ale Proust, który w metaforze widział gwarancję literackiej wieczności, byłby chyba odmiennego zdania?

W istocie czytelnik przestaje być odniesieniem poematu. Jest zbyt odległy i obcy, aby pisarz mógł odczuć jego oczekiwania. Zwłaszcza w kraju, gdzie związki między jednostkami uległy daleko idącemu rozluźnieniu... Miłosz pisze ironicznie, że dla niego „przywilejem jest mieszkać w Kalifornii i pić co dzień napój alienacji doskonalej". Bo

właśnie tam pozostali mu tylko „ja, Natura i Bóg". Do kogo miałby się więc zwrócić, dla kogo pisać? Miłosz nie stawia nigdy kropki nad i, jednak sens jego wynurzeń jest jasny.

Jego poezja (twórczość) chciałaby zatem odnowić czy przywrócić całość doświadczenia, inaczej — wszystko, co przeżył. Chciałaby uczynić to ponownie obecnym, re-prezentować: przedstawić raz jeszcze jako dziękczynienie, uświetnienie bytu zobaczonego w swoim porządku i hierarchii... Ale kto może uzasadnić czy zagwarantować tak rozumianą *mimesis*? Bóg staje się nie tylko adresatem (Miłosz napisał niewiele wierszy *sensu stricto* religijnych), ale świadkiem czy gwarantem poezji. Taki jest punkt wyjścia Miłoszowej teorii wyobraźni chrześcijańskiej i nieco ezoterycznych spekulacji *Ziemi Ulro*, napisanej wkrótce po *Widzeniach nad zatoką San Francisco*, skąd zaczerpnąłem cytaty. Dodajmy także, że było to chyba apogeum lirycznej twórczości poety (1965–1980).

Łatwo spostrzec, że wybór Miłosza jest dokładnie przeciwny gombrowiczowskiemu. Obaj zostają jakby zepchnięci w pustkę decyzją emigracji. Gombrowicz postanawia narzucić się innym za sprawą szczególnej gry, której reguły wykłada uczciwie, bez miłości i bez złudzeń. Miłosz wraca do bardzo starej koncepcji poezji (literatury): to *mimesis* rozumiana jako dziękczynienie i uświetnienie bytu przez jego re-prezentację. Oba rozwiązania zakładają głęboki powrót do samego siebie, tam gdzie znikają względy towarzyskie, społeczne, polityczne... a także złudzenia i przyjemności literackiego rzemiosła. Doświadczenie dane tylko najwybitniejszym. Można jednak znaleźć podobne — choć mniej wyraźne — myśli i motywy u Herlinga, Mrożka, Zagajewskiego (w *Solidarności i samotności*).

Mówi się czasem, że pisarze są zawsze wygnańcami czy „obcymi". Zwłaszcza, czy nawet, wśród rodaków, którzy szybciej rozpoznają odmienność! Tak właśnie — w swoim eseju o *Blaskach i nędzach wygnania* — pocieszał kolegów Józef Wittlin. Ale powiedzieć, że artysta jest zawsze wygnańcem oznacza tyle tylko, że jest inny od swoich bliźnich i że budując swoje dzieło musi niejako pielęgnować tę inność. Emigracja spowodowana tyraniami ideologicznymi odczuwana jest z reguły jako gwałt i wykorzenienie i nie ma wiele wspólnego z kultem piękności, obrzydzeniem do konformizmu albo niezrozumieniem przez publiczność, a więc trzema najczęstszymi powodami literackich ucieczek. Owszem, Argentyna bawiła Gombrowicza, ale

dał z niej drapaka, skoro tylko mógł. Emigracja polityczna nikomu nie ułatwiła literackiego życia. W wielu wypadkach pomniejszyła pisarskie szanse czy możliwości. Kilku jednak zmusiła do powrotu w głąb, do rdzenia, gdzie najgłębsze racje pisania... W tym znaczeniu wolno chyba powiedzieć, że dla wybitnych i wytrwałych emigracja mogła stać się w końcu rozpoznaniem i powrotem do samych siebie.
Pozostaje kwestia, od jakiej zacząłem. Czy istniały przez pół wieku dwie polskie literatury czy jedna? Ale najpierw: czy twórczość emigrantów miała swą własną dynamikę? Moim zdaniem miała, choć niekompletną i — w porównaniu z krajową — przesuniętą w czasie. Dwudziestolecie trwało w Londynie przynajmniej do samobójstwa Lechonia... albo nawet dłużej. Spóźnione — chociaż już mniej — było także zrozumienie skutków, które niosło literaturze doświadczenie totalitarnego nihilizmu. Ale w tej rewizji polskiej tożsamości, którą tak naznaczyła powieść lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, emigranci byli na pewno pierwsi! Odważniej także sięgnęli do swoich ostatnich rezerw, w sobie samych szukając metafizycznego — ależ tak! — uzasadnienia własnej twórczości. W końcu nie jest przypadkiem, że Gombrowicz, Miłosz, Mrożek — każdy w swoim literackim ogrodzie — byli długoletnimi emigrantami, *de iure* lub *de facto!* Ale i to także prawda, że emigracja — paradoksalnie — słabiej reagowała na światowe nowości... i coraz chętniej esejem wykręcała się od fikcji! Więc trochę była ta emigracyjna literatura kulawa.
Ale krajowa — jeszcze bardziej. Kto cierpliwy, niech łaskawie zajrzy do *Bezładnych rozważań...*, gdzie w 1990 roku, na zmartwychwstanie „Tekstów", starałem się z grubsza ogarnąć mechanikę rozwoju prozy w peerel i przypomni tam sobie, jak przewlekle zdychał w Polsce socrealizm. Jak porażką — czy pół–porażką — skończyła się odwilż. Jak literacką tożsamość zapewnić mógł sobie tylko — czy prawie tylko — memorialista lub *outsider...*
W końcu jednak okazało się, że dwóch kulawych może iść tak szybko jak jeden krzepkonożny. Bo kiedy wsunąć we właściwe miejsca wspólnego procesu literackiego dzieła (programy, pomysły itp.) krajowców i emigrantów, okazuje się często, że wzajemnie się one wspierają czy uzupełniają, zgrywając niejako w jeden szereg. Niekoniecznie szczęśliwie i na czas, ale jednak...

Stanisław Barańczak

Kim *naprawdę* byli „dwaj panowie stateczności”?
albo:
Z frontu walki o gdybizm
albo:
Sławiński nareszcie uzupełniony

Motto:
— *I co, panie Bachórz, co z nami będzie?*
[Janusz Sławiński do Józefa Bachórza, wiele lat temu, ok. drugiej w nocy, po długiej i ciężkiej pauzie, jaka nastąpiła w rozmowie w trakcie tłumnego posiedzenia towarzyskiego, w czyimś pokoju, uczestników konferencji teoretycznoliterackiej bodaj w Kołobrzegu, a może był to Ślemień.]

W roku 1968 na stadionie olimpijskim w Mexico City Bob Beamon oddał swój legendarny skok w dal, ustanawiając rekord świata nie pobity przez następne ćwierć stulecia. Wrzawa wokół tego wydarzenia odwróciła, niestety, uwagę szerokich rzesz od innego, bardziej nawet długowiecznego i zapewne bardziej imponującego rekordu. Na ponad dwa lata przed wyczynem Beamona Janusz Sławiński ogłosił mianowicie w tomie zbiorowym *Liryka polska. Interpretacje* (Kraków 1966) swoją słynną pracę na temat *Ballady od rymu* Mirona Biało-

szewskiego. Zdaniem piszącego te słowa, ale chyba nie tylko jego, szkic ten stanowi po dziś dzień najwyższe osiągnięcie polonistyki w dziedzinie sztuki interpretacji utworu poetyckiego. T e g o rekordu nikt dotąd nie pobił i zapewne długo jeszcze nie pobije.
W przeciwieństwie jednak do rekordu w skoku w dal, który można tylko pobić albo nie, z rekordem w dziedzinie humanistyki można także polemizować. Nie musi się t o w c a l e w i ą z a ć z usiłowaniem obalenia czy przekreślenia ustaleń pracy albo odmówienia jej ustaleniom aktualności. Jeśli z okazji jubileuszu naszego Mistrza („My z Niego wszyscy") składam u Dostojnych Stóp Jubilata polemikę zamiast hymnu, to tylko dlatego, że polemika ta nie podważa znanego powszechnie odczytania utworu Białoszewskiego przez Sławińskiego; przeciwnie, uznając je za równie trafne jak 28 lat temu, pragnie jedynie zwrócić uwagę na możliwość zupełnie innego, choć komplementarnego, odczytania sensu czy sensów *Ballady od rymu*. Odczytanie to możliwe jest dopiero dzisiaj: w roku 1966 zbyt świeża była jeszcze pamięć nadużyć, jakich dopuszczał się historycznoliteracki psychologizm i biografizm, nie mówiąc o wulgarnym socjologizmie. Tymczasem wszystkie te trzy typy nadużyć razem wzięte, jeśli tylko dopuszczać się ich z umiarem i w godnym celu, pozwalają uzupełnić strukturalistycznie zorientowaną *explication du texte* Sławińskiego o kilka ważnych ustaleń. Najistotniejszym z tych ostatnich będzie zapewne odpowiedź na pytanie, którego Sławiński w ogóle nie stawia: kim byli — w realnym życiu, poza granicami tekstu — „dwaj panowie stateczności", para głównych bohaterów *Ballady*.
Wniosek płynący z mojej interpretacji — zdradzę go od razu, aby nie utrzymywać czytelnika w dręczącej niepewności — jest następujący: *Ballada od rymu* to utwór „z kluczem", autobiograficzny i osobisty, a zarazem polityczny i poddający krytyce pewną wizję kultury, jest to, mówiąc z prosta (i wyjątkowo, przy tej uroczystej okazji, pozwalając sobie na odrobinę przyjemnie świeżego w s w e j wulgarności socjologizmu i psychologizmu), literacki wyraz frustracji, w jaką wpędzał Białoszewskiego masowy sukces poety, którego uważał, podobnie jak Słowacki Mickiewicza, za swego głównego i niezmiernie groźnego konkurenta do tytułu pierwszego na polskim Parnasie. Mam na myśli, oczywiście, Jeremiego Przyborę.

Dwaj panowie stateczności
umknęli w cudzej samochodowości [ww. 1–2]

Już pierwsza linijka identyfikuje postać przeciwnika najzupełniej jednoznacznie; aby to dostrzec, wystarczy zaakceptować celowo naiwnie-przejrzystą metodę szyfrowania, przyjętą tu przez Białoszewskiego, i po prostu odczytać słowa wersu w odwrotnym porządku. „Dwaj panowie stateczności" zmieniają się w „Stateczności panowie dwaj", a ponieważ „stateczność" to przejrzysty synonim dojrzałości osiąganej z wiekiem, atrybut „starszości" (nawet inicjalna sylaba „sta-" igra z naszymi oczekiwaniami, złudnie zapowiadając to właśnie słowo), ostateczny wynik to „Starsi panowie dwaj", słynny refren piosenki i zarazem niejako wspólna wizytówka Jeremiego Przybory i kompozytora Jerzego Wasowskiego.
„Umknęli w cudzej samochodowości" może odnosić się do konkretnej akcji podjętej przez nich w innej piosence, *Na ryby* (podobnie również *Nad Prosną* i in.), tj. do „umknięcia" ze świata cywilizacji miejskiej na łono przyrody. Ale dlaczego ich „samochodowość" miałaby być „cudza"? Obecność tego przymiotnika nasuwa inną możliwość interpretacji: „samochodowość" to nie, jak chce Sławiński, zwyczajny „samochód" na siłę dostosowany morfologicznie do rymu, ale neologizm oznaczający „samo-chodowość", „chodzenie samemu", „chodzenie własnymi drogami", tak ważną dla Białoszewskiego „osobność", indywidualistyczną odrębność, niepowtarzalną tożsamość. Sukces „Starszych Panów" — których publiczność ceniła tak bardzo właśnie dlatego, że na tle zhomogenizowanej kultury masowej PRL-u byli tacy inni, odrębni, niepowtarzalni — wydaje się poecie swoistą uzurpacją, podszyciem się pod „cudzą" (= jego własną) „samochodowość", trudniejszą i bardziej autentyczną „osobność" pisującego „od rymu" (a nie „do rymu", jak Przybora) poety–nowatora.

Zapuścili motor, brody. Ciach! [w. 3]

Aż dziw bierze, że ta najzupełniej oczywista aluzja do brody, którą w pewnym okresie s w e j kariery zapuścił Jeremi Przybora, uszła uwadze wszystkich dotychczasowych interpretatorów poezji Białoszewskiego. Ponieważ z dwóch Starszych Panów zarost posiadał tylko Przybora, słowo „brody" należy rozumieć jako dopełniacz l. poj., a nie biernik l. mn.: „zapuścili motor — motor brody" jednego z nich, w tym sensie, że szykowny zarost ozdabiał jedynie twarz Przybory (stanowiąc skuteczny „motor" jego kariery na szklanym ekranie), ale

odpowiedzialna za jej zapuszczenie była hierarchia wartości ukształtowana wcześniej wspólnymi siłami przez obydwu Starszych Panów. Zwróćmy teraz uwagę na charakterystyczną dla Białoszewskiego grę znaczeń: broda Przybory jest „zapuszczona" (tzn. jej posiadacz pozwolił jej wyrosnąć), zarazem jednak n i e jest „zapuszczona" (tzn. zaniedbana, niechlujna), na co wskazuje wyraźnie wykrzyknik „Ciach!", onomatopeicznie symbolizujący czynność systematycznego przystrzygania zarostu.

I jak po chiromancji drogą życia
wjechali in medias res.
Zaznaczy ich za to kres
wiśniowy. [ww. 4–7]

Przekształcenie utartego frazeologizmu „jak po maśle" w „jak po chiromancji" to jeden z rozsianych gęsto w tym tekście — a nie docenionych chyba przez Sławińskiego — zaszyfrowanych akcentów krytycznych pod adresem rzeczywistości PRL. W kraju, w którym notorycznie brak masła, szaremu człowiekowi pozostaje jedynie chiromancja, wskazująca mu złudnie jego „drogę życia" i zarazem (kolejny dwuznacznik, tu oparty na typowym dla Białoszewskiego mechanizmie „przesłyszenia się") niezdolna wywróżyć mu czegokolwiek lepszego niż dotychczasowe „drogie życie" (w sensie drożyzny, wysokich kosztów utrzymania; por. motyw podwyżki cen serków topionych w *Donosach rzeczywistości*).
Ale znacznie ważniejszą — wręcz kluczową dla zrozumienia właściwego sensu balladowej filipiki Białoszewskiego — porcję znaczeń serwuje nam słowo „medias". Sławiński analizuje to słowo — które za chwilę, jak pamiętamy, zmieni się w imię własne, nazwę fikcyjnego „miasta" — wyłącznie jako składnik łacińskiego zwrotu. Tymczasem jest to przecież przede wszystkim widoczna jak na dłoni aluzja do mediów, środków masowego przekazu, w których tryby dostają się nieuchronnie Starsi Panowie Dwaj z chwilą pierwszego pokazania się na ekranie telewizyjnym. Wprowadzenie tego słowa kieruje krytyczny impet Białoszewskiego na nowe tory. Do tego momentu wiersz mógł być odczytywany jako wyraz prywatnej zawistnej animozji poety piszącego bezkompromisowo „od rymu" wobec poety zdobywającego masowy poklask mistrzowskim, ale konwencjonalnym pisaniem „do rymu". Odtąd — ballada zmienia się w oskarżenie systemu. Systemu

kultury przeistoczonej w rozrywkę i systemu środków masowego przekazu tej rozrywki, tłamszącego i unicestwiającego naturalną niezależność, „samo-chodowość" najwybitniejszego nawet twórcy. Kto taki system umacnia, zasilając go produktami swego pióra czy występami na ekranie — przestrzega Białoszewski–moralista — tego „zaznaczy [...] kres / wiśniowy". Ten ostatni nieoczekiwany przymiotnik oznacza jednocześnie: 1) jak chce Sławiński krwawy, ale również: 2) jako kolor — mocniejszy, bardziej nasycony od „czerwonego", a zatem nic sobie nie robiący z osłony, jaką dla twórcy stanowi rzekomo jego uprzywilejowane miejsce w „czerwonym" systemie, 3) słusznie się należący człowiekowi moralnie splamionemu, nieczystemu (słowo „wiśnia", co nie może nie rzucić się w oczy czytelnikowi wiersza, jest anagramem słowa „świnia").

Medias — miasto zero trzy
rynek zdobny w pie-ękno,
w głębi idzenie muzułmanów
do synekdochy
raz na miesiąc — — —[ww. 8–12]

Fragment ten — znowu: zdumiewające, że dotąd tego nie zauważono — to w podstawowej warstwie swych znaczeń po prostu z lekka karykaturalny opis wnętrza ośrodka telewizyjnego. To „miasto mediów", które z niedawnego zupełnego nieistnienia („zero") zdołało podnieść swoje techniczne możliwości do trzeciej potęgi („trzy"), swoją filozofię sprowadza do prymatu sukcesu rynkowego („rynek"); wartości estetyczne jego produktów („pie-ękno") są drugorzędnym, dekoracyjnym („zdobny") przydatkiem. W interpretacji sensu zapisu słowa „piękno" jako „pie-ękno" znowu różnię się znacznie ze Sławińskim. Dla niego jest to zapis pijackiej czkawki; dla mnie — naśladowanie graficznego zapisu tekstu słownego w utworach wokalnych, w sytuacji, gdy jedna sylaba, taka jak „pię-", obejmuje dwie nuty różnej wysokości łączone *legato*. Nie beztroskie bekanie alkoholika odzywa się w takiej pisowni, ale raczej wysilone wysokie C staromodnego tenora. Tylko takie, konwencjonalne i wyzbyte spontaniczności „pie-ękno" jest w stanie osiągnąć — zdaniem Białoszewskiego — jego ideowy przeciwnik, poeta piszący „do rymu". „Rynkowość" (merkantylność) kultury „miasta Medias" pokazują już zupełnie brutalnie linijki 9, 6, 12, gdzie oczom naszym ukazuje się scena udawania się „raz na mie-

siąc" po odbiór pensji do „synekdochy" (= kasy Telewizji Polskiej; nie „synagoga" bynajmniej, jak odczytuje Sławiński, ale „synekura" stanowi tu słowo przekręcone przez autora w „synekdochę"!) „muzułmanów", tj. pracowników mediów bijących pokłony wszechwładnemu Allachowi systemu.

grzdyle
chamciucie
struple [ww. 13–15]

Mowa, naturalnie, o pracownikach Wydziału Kultury KC PZPR.

— to ci byli w tle
— to ci rzucali na nich spojrzenia
i nieludzkie strucle. [ww. 16–18]

Silne zmetaforyzowanie tego fragmentu i wynikająca stąd jego niejasność są konsekwencją zdawania sobie przez Białoszewskiego sprawy z czujności PRL-owskiej cenzury. Zaszyfrowane sensy można jednak przy pewnej dozie wysiłku odczytać następująco: „w tle" działalności Telewizji (jak i wszystkich innych „mediów") znajduje się wszechwładna Partia, kontrolująca („rzucająca spojrzenia na") swych pracowników i nieludzko ich zastraszająca („strucle" to, jak czytelnik z pewnością już się sam domyślił, kontaminacja „strucia", „strachu" i „struchlenia", tj. „takiego strucia ich strachem, że truchleją").

Wybiegli podeszli w wieku.
Odległość.
O Mekku! mekku!
Piętrzą się trudności!
We dwóch rynek pękł — ! —
O dwaj panowie nudności — — — [ww. 19–24]

Określenie „podeszli w wieku" kieruje ponownie naszą uwagę na, rzecz jasna, S t a r s z y c h Panów Dwóch, ale nie na tym kończą się jego sensy. Podobnie jak „wybiegli" obok swego neutralnego znaczenia czasownika ruchu jest jednocześnie oskarżycielskim „Wy, biegli" (biegli w sztuce artystycznego i moralnego kompromisu) oraz głównie oskarżycielskim „Wy, zdolni do wszelkich wybiegów" („wybieg — wy, wybiegli" na mocy analogii do np. „wyląg — wy, wylęgli"), tak i „podeszli w wieku" znaczy również „Wy, zdolni do wszelkich po-

dejść/podchodów, tak zgubnie znamiennych dla naszego wieku/epoki". Wykrzyknik „O Mekku! mekku!" w tę atmosferę sprzedajnego cynizmu wprowadza subtelnie poczucie winy: „Mekku" to obok Mekki, jaką dla telewizyjnych „muzułmanów" jest kasa, także zbitka pierwszych sylab nie dopowiedzianego, jakby urwanego ze strachu przed represjami, chrześcijańskiego *Mea culpa*.
Jednakże sukces, jaki wśród szerokiej publiczności odnosi dwójka Starszych Panów, powoduje — paradoksalnie z punktu widzenia zdrowego rozsądku, ale całkiem naturalnie w schizofrenicznym świecie komunizmu — że przed Przyborą i Wasowskim „piętrzą się trudności". Czuwający „w tle" aparat partyjnych „grzdyli" nie może przejść do porządku nad faktem, że Starsi P a n o w i e Dwaj to również „dwaj panowie nudności", tj. (przez analogię do np. „pan własnych popędów"), osobnicy zdolni do „zapanowania" nad nudą (i/lub mdłościami wywołanymi przez nudę), wzniesienia się ponad zwykły poziom — i przez to zdeprecjonowania — wytworów „miasta Medias". Stąd:

! Tatarzy! Bitwa! Kotleecnie!
Od synekdochy huk żyrandoli!!! [ww. 25–26]

— czyli przewidywana przez Białoszewskiego przypuszczalna reakcja neostalinowskich i sterowanych przez Moskwę („Tatarzy" — to czytelny eufemizm zagrożenia ze Wschodu, w słowie „ŻyrANDol" zaś pobrzmiewa fonetyczna aluzja do Żdanowa i żdanowszczyzny) elementów w aparacie partyjnej kontroli nad kulturą. Starszych Panów — ostrzega poeta — czeka prędzej czy później „Bitwa" czyli „Kotleecnie", które to obydwa słowa („bitwa" w kontekście „kotleecnia" nabiera jednostronnego sensu „robienia bitek" z kogoś) nawiązują oczywiście do znanego powiedzenia Ławrientija Berii *sdiełajtie iz niego kotletku* (zob. *Mój wiek* Aleksandra Wata). W żądaniu tych brutalnych represji wobec Starszych Panów aparat nie będzie zresztą osamotniony: może w tym względzie liczyć na poparcie kierownictwa Telewizji Polskiej, grubych ryb „w głębi" (w. 10) luksusowego akwarium tej instytucji, ryb utuczonych na pobieranych z „synekdochy" regularnych dochodach (w słowie „żyrandol" odzywa się jeszcze jedno fonetyczne echo i zarazem fałszywa etymologia, a mianowicie rosyjskie — właśnie rosyjskie słowo *żyr* = „tłuszcz"; odczytanie to zostanie dobitnie potwierdzone przez wzmiankę o „brzuchach" w w.

34, gdzie grube ryby przybierają z kolei postać tatarskich „lajkoników").

Dopiero tłum zza węgla wyłoni
bohaterkę sanskryckiego rodowodu:
ta cichaczem
na majchrze
podpełza
a opatrzona tradycją yogów
a na czarakach
lajkonikom brzuchy rżnąć!
w gazecie być sławną nazajutrz;
tam tytuł paneuropą
„tu padło sto tysięcy
kup loos". [ww. 27–38]

Przed ostatecznym „skotleceniem" przez ideologicznych wrogów zabezpiecza jednak Starszych Panów — doceńmy tu obiektywizm Białoszewskiego — autentyczna ludowa popularność („tłum") i silne osadzenie w uniwersalnej tradycji mitologii („sanskrycki rodowód") oraz w systemie wartości kultury europejskiej (etymologicznie rozumiana „paneuropa") głównej heroiny ich kabaretu, genialnej Ireny Kwiatkowskiej. „Sanskryt" ma w tym kontekście nie tylko znaczenie dosłowne: to również transliteracja francuskiego *sans-crit, sans critique* — Kwiatkowska to osobowość tak niezwykła, że nie ima się jej żadna krytyka. To właśnie ona, nie Starsi Panowie sami przez się, jest w stanie samotnie („loos" w ostatniej z cytowanych linijek to anagram słowa „solo" — cóż innego usprawiedliwiałoby jego podwójne „o"?) i „na czarakach" (tzn. zmuszona presją systemu do wegetacji „na czworakach", ale odnajdująca w tej pozycji zarówno swój „czar" osobisty, jak i ludową siłę oporu) wspomnianym „lajkonikom", tym tatarskim koniom trojańskim w oblężonym „mieście Medias" (gdzie wcześniej „padło sto tysięcy" mniej fortunnych obrońców), wspomniane utuczone „brzuchy" „rżnąć".
Wystarczyłoby samo pojawienie się tego ostatniego czasownika, tak bardzo nam znanego z najbardziej pamiętnych piosenek wykonywanych w Kabarecie przez Kwiatkowską („Szuja! / Cóż takiego uczyniłam mu ja, Żem jak tuja / Poderżnięta przezeń dzisiaj jest?"), aby dla czytelnika stało się absolutnie jasne, że „bohaterka sanskryckiego rodowodu" to nikt inny jak tylko ta aktorka. Z charakterystyczną przewrotnością — a może powodowany autocenzurą? może celowo

maskujący tożsamość Kwiatkowskiej „san-SKRYTEM" (jeszcze jedna możliwość odczytania drzemiących w tym słowie sensów) pseudonimu? — Białoszewski próbuje co prawda wmówić nam, że bohaterka nazywa się inaczej:

Mańka Szpryncer
— bo ona to była —
owoców nie myła
ona tępiła. [ww. 39–42]

Jakże czytelny jednak jest ten pseudonim! To po prostu kolejny w tym wierszu anagram. Wystarczy imię Mańka pozbawić zdrobnienia, a zeswojszczonej ortografii nazwiska przywrócić jego prawdopodobny zapis oryginalny, aby naszym oczom ukazało się rozwiązanie zagadki tożsamości tajemniczej bohaterki, a zarazem wymowny komentarz Białoszewskiego na temat jej rzeczywistej roli w Kabarecie Starszych Panów:

MANIA SPRINTZER —
IRENA, PAN-MISTRZ.

„Owoce", których „nie myła" tak scharakteryzowana Mańka Szpryncer, to, ma się rozumieć, słynne pomidory z piosenki *Addio pomidory*, o których „myciu" przez Kwiatkowską w Kabarecie istotnie nie ma nigdzie wzmianki, co potwierdza słuszność takiego właśnie odczytania. Zwróćmy w tym miejscu uwagę na ważkie konsekwencje semantyczne niespodziewanego podstawienia „pomidorów" pod inne oczekiwane w tym miejscu „owoce", a mianowicie wspomniane wcześniej „wiśnie". Jakkolwiek sosu pomidorowego używa się w kinematografii jako substytutu krwi, jest rzeczą wiadomą każdemu, kto choć raz w życiu usiłował wyprać obrus lub sztukę bielizny splamioną jednocześnie sosem pomidorowym i nalewką z wiśni, że ślady po tej ostatniej są do usunięcia znacznie trudniejsze. Zapowiedziany poprzednio dramatyczny „wiśniowy kres" Starszych Panów zostaje złagodzony i zbanalizowany swoją transformacją w cynobrową czerwień „pomidorów". Antycypując zakończenie ballady, powiedzmy od razu, że w tym świetle staje się ono w pełni zrozumiałe: pomidorowy „przelew krwi" to b l a d y („zbladł gorzej pestki") i łatwo się dający usunąć z pamięci publiczności („wypran") finał działalności dwóch idoli masowej kultury.

Gdy świt
blady jak kij
który ona chwyta
i po ścianach klip!
do wieczora
późnego jak abstrakcja. [ww. 43–48]

Zanim jednak ten finał nastąpi, uwaga Białoszewskiego koncentruje się na — obiecującej z natury rzeczy większą autentyczność działania — postaci Mani Sprintzer, czyli „Ireny — Pana i Mistrza". Jej funkcja rzeczywistego *spiritus movens* Kabaretu i stopień jej władczej dominacji nad Starszymi Panami ukazane zostają w scence, stanowiącej ironiczne odwrócenie o 180 stopni sytuacji zobrazowanej w innej słynnej piosence Ireny Kwiatkowskiej, *Tangu Kat*. Masochistyczne żądania „Katuj! Tratuj! [...] Męcz mnie! Dręcz mnie! Ręcznie! Smagaj! Poniewieraj! Steraj! Truj!" zastępuje tutaj sadystyczne „smaganie" „kijem" w wykonaniu samej bohaterki. (Atrakcyjną możliwością odczytania tej scenki wydaje się również osadzenie — chwilowe, jakby eksperymentalne — Ireny Kwiatkowskiej w roli telewizyjnego meteorologa, który od „świtu" do „późnego wieczora" wodzi „po ścianach" studia, tzn. po wyświetlanych na nich mapach, swoim „kijem", tzn. specjalną pałeczką–wskaźnikiem, nie bardzo jednak wiadomo, co by ta skądinąd sugestywna metafora miała oznaczać i w ogóle co z nią począć.)

Lecz oto we drzwiach dwaj witacze.
Proszą o nocleg i o jeść.
Jedzą muchami nadziewacze.
Ona im ściele z patosem
i mówi nawet nie tak pod nosem:
«pójdą w kimono w białą ściel
,«reinkarnacja savitri!
«zarżnę ich nożem jak woda po psie
«radża yoga savitri!
«dwa słoje z sokiem
wi-sien
wi-sznu
wi
-
sien — —»

I masz ci los:
Mańka Szpryncer
spełniła swoją kołysanicę.

Mucha nie kuca nic.
I jeszcze żyła Sanskrytka sto lat!!!
A po nich
przelew krwi
zbladł gorzej pestki
i wypran. [w. 49–72]

W tym, jak rozumiem sensy końcowej partii ballady, chyba najbardziej rozmijam się z interpretacją Sławińskiego. Przede wszystkim: nie ulega dla mnie wątpliwości, że jego odruchowo przyjęte założenie, iż „dwaj witacze" to po prostu „dwaj panowie stateczności" z wcześniejszych fragmentów, jest z gruntu mylne. Wystarczy umieścić tę scenkę w kontekście Kabaretu Starszych Panów, aby stało się jasne, że „dwaj witacze" to bynajmniej nie Starsi Panowie Dwaj, ale para innych zupełnie bohaterów, a mianowicie „tanie dranie" z piosenki pod tym tytułem w niezapomnianym wykonaniu Mieczysława Czechowicza i Wiesława Michnikowskiego. „Witać" to po niemiecku *grussen*, a *grussen* fonetycznie do złudzenia przypomina angielskie *gruesome*; Tanie Dranie są zaś właśnie *gruesome* (okropni, makabryczni): u Białoszewskiego „jedzą muchami nadziewacze", u Przybory ich specjalność to, podobnie, „Zakładanie myszy w torcie", że nie wspomnę „Obrzydzania cynaderką, / Usuwania śladów ścierką". Jednocześnie fragment ten przynosi kolejne potwierdzenie określonych nadziei, jakie Białoszewski wiązał — wbrew swemu ogólnemu pesymizmowi co do szans moralnej odnowy „miasta Medias" — z postacią Ireny Kwiatkowskiej. Oto bowiem zaszyfrowanie przeświadczenia o jej posłannictwie w formie kolejnego anagramu, tym razem z dodatkiem charakterystycznego inicjalnego zająknięcia (jak gdyby zuchwałe proroctwo nie chciało wręcz przejść mówiącemu przez gardło):

REINKARNACJA SAVITRI –
IR-IR-IRENA K.: SANACJA TV!

Zaledwie dwa wersy dalej pesymizm Białoszewskiego dochodzi jednak do głosu ponownie, aby pozostać dominującym nastrojem końcowej partii utworu: kolejny anagram uświadamia mówiącemu raz jeszcze zniewalającą i deprawującą funkcję, jaką w rozwoju nawet najbardziej autentycznego artysty pełni znamienne dla „miasta

Medias" ubóstwienie złotego cielca, tj. wypłacanych „raz na miesiąc" dochodów:

RADŻA YOGA SAVITRI!
JASYR RADIO, TV, GAŻA!

Użyty dla zmylenia pseudohinduski szyfr okazuje się całkiem dobrze osadzoną w lokalnych PRL-owskich warunkach przestrogą poety--moralisty (może wreszcie dostrzeżemy i docenimy ten zupełnie dotąd nie wydobyty na jaw przez krytykę aspekt osobowości Białoszewskiego?). To samo można powiedzieć o słowach „wi-sien" i „wi-sznu", na których pseudochińskość i pseudohinduskość zwraca uwagę Sławiński. Raz jeszcze zgadzam się, ale uzupełniam. Pod azjatyckimi pozorami kryje się tu europejskie w swej istocie przesłanie: „wi-sien" to zamaskowane francuskie *[la] vie [d'un] chien* (por. „jak woda po *psie*"), „wi-sznu" to *[la] vie chez nous...*
„Życie u nas to pieskie życie" — oto naczelna, choć zaszyfrowana, teza tego gorzkiego utworu. Genialna „Sanskrytka" może sobie żyć „jeszcze [...] sto lat", jej „kołysanica" — makabrycznie „kołysankowa" „obietnica" „zarżnięcia" własną wielkością „tanich drani", jakimi są występujący zwykle w „mediach" artyści *minorum gentium* — może zostać spełniona, ale cóż z tego? Powtórzmy — wyjątkowo się z nią zgadzając — obserwację Sławińskiego, w myśl której „Mucha nie kuca nie" miałoby stanowić anakolutyczne przetworzenie znanego zwrotu „Mucha nie siada, komar nie kuca" — wyprowadźmy jednak z tej obserwacji dalej idące wnioski. Jeśli „mucha nie kuca", to — symetrycznie — „komar nie siada": stwierdzenie to, nie wypowiedziane wprost, ale stanowiące logiczne dopełnienie przekręconego zwrotu, ma oczywiście sens głęboko ironiczny. To tylko Irena Kwiatkowska łudzi się — z naiwnością cechującą nawet największych artystów — że na jej miejscu „nie siądzie" ktoś taki jak mistrz w pchnięciu kulą, Władysław Komar. Smutną prawidłowością jest bowiem raczej to, że w „mieście Medias" atleta z największą łatwością „siada" całym swoim pokaźnym cielesnym ciężarem na miejscu uduchowionego artysty, i to „siada", nie sprawdzając nawet, czy artysta zdążył się z tego miejsca wynieść.
To, co napisałem powyżej, stanowiłoby znakomite zakończenie szkicu, i byłbym bardzo rad, gdybym nie musiał psuć go dodatkami: nie-

stety jednak — muszę. W ostatniej chwili przyszło mi bowiem do głowy, że może dla porządku powinienem sprawdzić, czy Miron Białoszewski, pisząc *Balladę od rymu* mógł w ogóle znać, choćby ze słyszenia, kogoś takiego jak Władysław Komar i jego sportowe osiągnięcia. Myśl ta z kolei pociągnęła za sobą myśl następną: „Rany boskie, a czy przypadkiem *Ballada od rymu* nie była też napisana i wydrukowana w roku, w którym Kabaretu Starszych Panów w ogóle jeszcze nie było na świecie? W takim razie cały artykuł na nic!".
Odsuwając na bok kłopotliwy, ale mniej ważny, problem popularnego pchacza i jego kuli, rzuciłem się, zmartwiały z przerażenia, do leksykonów oraz bibliografii literackich. Po ustaleniu podstawowych faktów mogę powiedzieć, że pesymista określiłby moje straszliwe podejrzenie jako, niestety, prawie całkowicie słuszne, natomiast optymista — jako, na szczęście, w znikomej, ale istotnej mierze niesłuszne. Tom Białoszewskiego *Rachunek zachciankowy*, w którym znajdowała się m. in. *Ballada od rymu*, ukazał się w roku 1959. Piosenka *Starsi Panowie Dwaj* została odśpiewana przez Przyborę i Wasowskiego po raz pierwszy w roku — uff, kamień z serca — 1958.
Oznacza to wprawdzie, że prawie wszystko inne, co wyszło spod piór Starszych Panów, pojawiło się na ekranie, czy w druku rzeczywiście po *Balladzie od rymu*, czyli że w samej rzeczy moja polemika ze Sławińskim jest niemal całkowicie pozbawiona sensu — ale zaraz, chwileczkę, czy ja nie za łatwo ustępuję z pola boju? Żyję przecież, jak się niedawno dowiedziałem z „Tekstów Drugich", w epoce postmodernizmu, który to termin oznacza, jak wyjaśnia Leszek Kołakowski, „że wszystko wolno". Dlaczego więc miałbym się przejmować czymś tak trywialnym jak chronologia i w ogóle fakty? Zamiast wyrzucać już napisany szkic, w który włożyłem sporo umysłowej pracy i który czytam teraz, podobnie jak i wszystkie wcześniejsze prace tegoż autora, z autentycznym i nie wymuszonym uznaniem — czy nie powinienem raczej dorobić do szkicu odpowiedniej metodologii (można by ją nazwać gdybizmem albo komparatystyką warunkową), która usankcjonowałaby moje nieortodoksyjne potraktowanie materiału i otworzyła innym badaczom drogę do podobnie ambitnych nadużyć?
Myślę, że rzeczywiście będę musiał zabrać się do tego, bo swój artykuł przeczytałem przed chwilą po raz drugi i uważam, że naprawdę szkoda byłoby, aby coś tak — nazwijmy rzecz po imieniu — błyskotliwego miało się marnować.

Zdzisław Łapiński

O pewnym filozofie, który chciał zostać (i został) literatem

Być znaczy tworzyć nieznane.
[Graf Franz von Telek]

Należy żałować, że dojrzała twórczość Richarda Rorty'ego przypadła na lata, gdy strażnicy socrealizmu i diamatu znajdowali się już w odwrocie. Cóż to za gratka trafić na taki okaz: na kogoś, dla kogo pojęcie prawdy w filozofii jest banalne i bezużyteczne, a rzeczywistość obiektywna — ułudą, kogoś, kto nauki nie odróżnia od sztuki i religii, w Ameryce zaś widzi najdoskonalsze społeczeństwo, jakie kiedykolwiek wymyślono, i otwarcie chełpi się swoim etnocentryzmem, za główną miarkę wartości na wszystkich polach kultury uznaje nowość, bardziej niż powagę ceni zmysł zabawy, a na koniec, by w pełni zadowolić swych krytyków, przedstawia się jako „burżuazyjny, liberalny ironista", czy nawet, o zgrozo, jako „liberalna ironistka" — na podobieństwo owych czarnych charakterów z dramatu elżbietańskiego, które wysługując się autorowi deklarują własną nikczemność. Tutaj także całą robotę wykonałby za niegdysiejszych doktrynerów sam obiekt ich ataku. Wystarczyłoby dodać tylko jeszcze jeden epitet zdobniczy i otrzymalibyśmy „zgniłego, burżuazyjnego" etc. Ale w czasach dzisiejszego upadku obycza-

jów Rorty witany jest w Chińskiej Republice Ludowej nie jako egzotyczny okaz niepoprawnego burżuja, na którego czekałaby błazeńska czapeczka, ale jako czcigodny partner mędrców z Chińskiej Akademii Nauk.

Potulnego stosunku zahukanych intelektualistów komunistycznych do Rorty'ego nie można jednak uznać za miarodajny wskaźnik jego pozycji w środowiskach filozoficznych i, szerzej, wśród humanistów. Treść i styl jego wystąpień budzi u wielu zrozumiałą irytację. Ma on duże grono entuzjastów, ale jeszcze większe przeciwników.[1] Zaczynał jako jeden z wyróżniających się przedstawicieli młodego pokolenia nadal uprawiającego filozofię analityczną. Swoją pierwszą książkę, obszerną antologię *The Linguistic Turn* (1967) poświęcił metodologii, sporom analityków z całą dotychczasową filozofią i rodzinnym kłótniom między spadkobiercami pozytywizmu logicznego a „szkołą oksfordzką", to jest między tymi zwolennikami likwidowania tradycyjnej problematyki filozoficznej, którzy chcieli budować nowy, idealny język środkami logiki formalnej, a tymi, którzy głosili pochwałę potocznej praktyki językowej, dostatecznie według nich sprawnej, by rozstrzygnąć to, co da się rozstrzygnąć, i odrzucić to, czego się nie da wypowiedzieć w sposób sensowny.

---

[1] Do grona entuzjastów w Polsce należy Adam Chmielewski, który może trafi kiedyś do kronik Rortiańskich jako ojciec chrzestny „kontyngentyzmu", antysystemowego systemu amerykańskiego filozofa. Por. A. Chmielewski *Kontyngentyzm*, w książce zbiorowej: *Szkice z filozofii współczesnej*, Wrocław 1992, s. 11–34. Z pewnością zaś w kronikach tych znajdzie się miejsce na informację o konferencji, jaka odbyła się w czerwcu 1992 r. w Toruniu (dwa referaty Rorty'ego, dziesięć wypowiedzi polskich uczestników oraz szczegółowe repliki bohatera konferencji na owe wypowiedzi drukuje „Ruch Filozoficzny" 1993 nr 2, s. 151–218).

Śledząc (niezbyt uważnie) polską recepcję Rorty'ego, udało mi się wynotować następujące pozycje tego autora w przekładach: 1) Habermas i Lyotard o postmodernizmie, tłum. M. Kaniowska, A. M. Kaniowski, „Colloquia Communia" 1986 nr 4–5 [wyd. 1987], s. 147–156; 2) *Wychowanie bez dogmatu*, „Ameryka" 1990 nr 236 (zima 1990), s. 44–47; 3) Nauka jako solidarność, tłum. A. Chmielecki, „Literatura na świecie" 1991 nr 5, s. 199–218; 4) *Pierwszeństwo demokracji wobec filozofii*, tłum. P. Dehnel, „Odra" 1992 nr 7–8, s. 22–30; 5) *Prywatna ironia i nadzieja liberałów*, tłum. E. Nowotka, „Twórczość" 1992 nr 12, s. 59–76 (jest to rozdz. 4, *Private Irony and Liberal Hope*, książki *Contingency, Irony, and Solidarity*); 6) *Zdeterminowanie przekładu i prawdy*, tłum. C. Cieśliński, w książce zbiorowej: *Filozofia języka*, wybór i wstęp B. Stanosz, Warszawa 1993, s. 140–156; 7) *Racjonalność i różnica w kulturze*, tłum. L. Witkowski, „Kultura współczesna" 1991 nr 1, s. 31–44; 8) *Moralna tożsamość a prywatna autonomia: przypadek Foucaulta*, tłum M. Kwiek, „Etyka" 1993 nr 26, s. 125–132; 9) *Edukacja i wyzwanie postnowoczesności*, w książce zbiorowej: *Spory o edukację.*, red. Z. Kwieciński, L. Witkowski, Warszawa 1993.

Pod koniec jednak swego drobiazgowego studium poprzedzającego wypisy, Rorty dochodzi do wniosku, że cały ten kierunek znalazł się w impasie:

Jeśli tradycyjna „widowiskowa" koncepcja wiedzy zostanie wywrócona, to nowa koncepcja, która ją zastąpi, doprowadzi do przeformułowania wszystkich pozostałych obszarów filozofii, zwłaszcza zaś metafilozofii. [...] Jeśli to nastąpi, większość rozpraw w tym tomie stanie się nieaktualna, ponieważ nieaktualny będzie ich słownik [LT, s. 39].[2]

Widowiskowa koncepcja wiedzy, o której pisze Rorty, to wiedza kogoś, kto patrzy na rozgrywającą się przed nim scenę, lecz nie bierze w niej udziału. Dla autora bardziej przekonującym obrazem jest metafora uczestnika, współtwórcy czy nawet twórcy (w pełnym znaczeniu tego słowa) — owej rozgrywającej się sceny zwanej rzeczywistością.

Następne lata Rorty poświęcił likwidowaniu kolejnych uświęconych zagadnień filozofii analitycznej, starając się dowieść, że filozofia ta w swym głównym nurcie nie różni się istotnie od zwalczanej przez siebie „metafizyki", bo pragnie stać się umiejętnością transcendentną wobec innych dyscyplin. Przeciwstawiając się tym dążeniom, Rorty przekwalifikował miejsce filozofii wśród innych dziedzin życia. Usuwając ją z wysokiej pozycji, którą jako dyscyplina akademicka zajmowała od czasów Kanta, wyznaczył jej dosyć podrzędną rolę jednej z uczestniczek toczącej się w kulturze „rozmowy". Jej głos, według niego, nie może być bardziej autorytatywny niż głos fizyki czy biologii, a nawet krytyki literackiej.

W latach tych Rorty pisze wiele polemicznych artykułów, dotyczących między innymi filozofii języka i nauki. Niektóre z tych polemik, np. wokół realizmu i relatywizmu, toczą się po dziś dzień i przyciągają

---

[2] Podaję tu wykaz skrótów, którymi posługuję się przy lokalizacji cytatów:

LT — *The Linguistic Turn: Recent Essays in Philosophical Method*, ed. by..., Chicago and London: The University of Chicago Press, 1967.

PMN — *Philosophy and the Mirror of Nature*, Princeton, NJ: Princeton University Press, 1979 (2nd print., with corrections, 1980).

CP — *Consequences of Pragmatism (Essays: 1972–1980)*, Minneapolis: University of Minnesota Press, 1982 (5th print., 1991).

CIS — *Contingency, Irony, and Solidarity*, Cambridge: Cambridge University Press, 1989.

PP I — *Objectivity, Relativism, and Truth*, Cambridge: Cambridge University Press, 1991 (*Philosophical Papers*, Vol. 1).

PP II — *Essays on Heidegger and Others*, Cambridge: Cambridge University Press, 1991 (*Philosophical Papers*, Vol. 2).

uwagę najwybitniejszych umysłów, jakimi może się obecnie poszczycić filozofia analityczna. Jednym z takich wieloletnich partnerów Rorty'ego jest Hilary Putnam z Harvardu, kierujący tam katedrą matematyki i logiki matematycznej, poprzednio profesor filozofii nauki w MIT. Otóż Putnam, którego dokonania w dziedzinie szczegółowych problemów filozofii języka i nauki są nieporównanie donioślejsze niż to, co kiedykolwiek na ten temat napisał Rorty, zdaje się mu ulegać — czy może jest to uległość wobec „ducha epoki" — gdy przeprowadza rewizję swoich wcześniejszych poglądów i przechodzi od „realizmu" do idei swoistego „realizmu wewnętrznego", przemianowanego później na „realizm pragmatyczny".[3]
Mocnym wsparciem dla prowadzonych przez Rorty'go polemik okazała się jego książka *Philosophy and the Mirror of Nature* (1979), śmiała synteza historyczna, usiłująca przedstawić rozwój filozofii nowożytnej jako jedną wielką omyłkę, wynikającą z Platońskiej jeszcze koncepcji wiedzy filozoficznej, domniemanego zwierciadła głębszej rzeczywistości, oraz z pogoni za językiem, który byłby adekwatny wobec języka, jakim przemawia sama Natura. Rorty pragnie zresztą nie tylko ukrócić nazbyt wygórowane ambicje filozofii, ale i unicestwić całe jej dziedziny, przede wszystkim epistemologię, którą chciałby zastąpić hermeneutyką.[4] Swoją wersję hermeneutyki, bardzo specyficzną, uznaje za filozofię kształcącą i budującą. Ma ona, jako „miłość mądrości", baczyć, by „rozmowa nie zwyrodniała w dociekania, w wymianę poglądów". I Rorty dodaje: „Filozofowie budujący nigdy nie zdołają położyć kresu filozofii, ale mogą chronić ją przed wejściem na bezpieczną ścieżkę nauki" (PMN, s. 372).
Fragment ten, jak wiele innych obrazów słownych Rorty'ego, należy czytać w sposób wypróbowany przy lekturze poezji. Wzięty dosłownie, przeczy całej dotychczasowej i późniejszej praktyce autora, który nic innego przecież nie robi, jak „wymienia poglądy".

---

[3] Najnowszą próbę uzgodnienia stanowisk przyniósł referat Rorty'ego *Putnam and the Relativist Menace*, przedstawiony przez niego na spotkaniu w Toruniu („Ruch Filozoficzny" 1993 nr 2, s. 163–176), spojrzenie z zewnątrz — artykuł P. D. Fostera *What Is at Stake Between Putnam and Rorty?*, „Philosophy and Phenomenological Research", Vol. LII No. 3 (September 1992), s. 585–603.

[4] Zamach na instytucjonalną pozycję filozofii w strukturze uniwersyteckiej wywołał wiele protestów. Por. ostatni głos w dyskusji: J. Stewart *The Philosophical Curriculum and Literature Culture: A Response to Rorty*, „Man and World", Vol. 27 (1994), s. 195–209.

Książka szybko jednak zyskała rozgłos i traktuje się ją teraz z czołobitnością należną klasyce współczesnej.[5] Dalsza zaś twórczość Rorty'ego nabrała jeszcze większej werwy, o czym można się przekonać, zaglądając do *Contingency, Irony, and Solidarity* (1989) i do dwu tomów obejmujących wybrane *Philosophical Papers* (1991).

W szkicach Rorty prowadzi dialog z tradycją, którą ceni i którą chciałby, po przedefiniowaniu, uznać za swoją. Składają się na nią dwa wątki. Jeden łączy się z różnymi odmianami hermeneutyki, drugi — z pragmatyzmem, zwłaszcza zaś z pragmatyzmem Deweyʼa (co nie przestaje dziwić wielu czytelników). W eseistycznym zaś traktacie, jakim jest *Contingency*, Rorty zarysowuje własny program mówienia o rzeczywistości językowej, osobowości ludzkiej i społeczności.

Autorzy o ustalonej już pozycji odnoszą się zwykle niechętnie do prób utożsamienia ich z określonymi zbiorami bliźnich. Inaczej Rorty, który chętnie podkreśla swą przynależność do różnych kategorii społecznych i kulturowych. „My, intelektualiści liberalni" (PP II, s. 175), „my, tragiczni liberałowie" (PP II, s. 184, 186), „my, aleksandryjczycy" (PP II, s. 179 , 181, 192), „my, faceci wpływowi, w dyskursach biegli" (PP II, s. 182), a nawet, by autoparodii stało się zadość: „my, mętniacy" (PP I, s. 38) — tak przedstawia się swoim rozmówcom Rorty. Jest to coś więcej niż tylko maniera stylistyczna. Kryje się za tym przekonanie, że tożsamość jednostki, podobnie jak przedmiotowość świata zewnętrznego, powstaje w wyniku interakcji. Dla Rortyʼego nie ma innej obiektywności niż intersubiektywna, czyli coś, co rodzi się dzięki uzgodnionym w danej społeczności zasadom współdziałania, przede wszystkim współdziałania słownego.

Kluczowy dla Rortyʼego staje się motyw przypadku, trafu, zdarzenia nieprzewidywalnego — konotacje, jakie niesie ze sobą tytułowe słowo *contingency*. Dla autora przygodne i nieesencjonalne jest każde „ja" ludzkie, podobnie każde społeczeństwo wraz ze swą kulturą. Są one bowiem wynikiem historii, historia zaś nie rządzi się żadnymi prawami ogólnymi i jej bieg nie zmierza do żadnego z góry wyznaczonego celu.

Rorty z tych przesłanek stara się wydobyć ton dziarski, wręcz „budu-

---

[5] Lokalnym dowodem uznania jest hasło poświęcone tej książce w *Przewodniku po literaturze filozoficznej XX wieku*, pod red. B. Skargi, Warszawa 1994, t. 1, s. 348–353 (autorstwa M. Hempolińskiego).

jący", kładąc nacisk na arbitralność, a więc wolność autokreacji. Słychać w tym pogłos niemieckiej tradycji idealistycznej, choć bez jakichkolwiek związków z historiozofią. Ową tradycję autor kojarzy z czymś dokładnie jej przeciwstawnym, z naukowym naturalizmem. Podobnie postępowali zresztą jego patroni, pragmatyści James, Mead czy Dewey, ale u Rorty'ego składniki te nie wchodzą ze sobą w związek organiczny, przeciwnie, zderza on je według reguł oksymoronu.
Osią rozważań Rorty'ego, jak przystało na myśliciela XX wieku, pozostaje niezmiennie język. Nie pociąga go jednak język sformalizowany, ani język potoczny, omija on też specjalistyczne języki nauk empirycznych, do spekulatywnego języka dawnej filozofii odnosi się, oczywiście, wrogo. Ekscytuje go natomiast język literatury, i w ogóle literatura jako instytucja życia kulturalnego i sfera doznań najbardziej osobistych. Chciałby „poetyzacji kultury" (PP I, s. 110 i CIS, rozdz. 3), woła: „więcej powieści i mniej teorii" (PP II, s. 80). Dzieła literackie mówią przecież rozmaitymi językami, nie odnoszą się w sposób jednoznaczny do tego, co jest na zewnątrz nich, i stanowią najlepszą ilustrację splotu tradycji, przypadku i woli twórczej.
Ewolucja poglądów Rorty'ego przebiegała równolegle do ewolucji jego własnej sztuki pisarskiej. Zaczynał jako sprawny analityk, ale proza, którą wówczas uprawiał, ustępuje prozie takich mistrzów jak Bertrand Russel, Gilbert Ryle, J. L. Austin, Willard Quine, H. P. Grice czy Nelson Goodman. Blasku jego styl nabrał dopiero wówczas, gdy autor zetknął się z pismami hermeneutów — Heideggera, Gadamera, później Derridy. Łatwo przekonać się o tym na podstawie *Philosophy and the Mirror of Nature*. Dopiero ostatnie dwa rozdziały tej książki, poświęcone tradycji i przyszłości hermeneutyki, dają próbkę prawdziwych możliwości pisarskich Rorty'ego. W pełni ujawniły się one w szkicach późniejszych.
W szkicach tych, podobnie jak w *Contingency*, autor wykorzystuje te właściwości angielszczyzny, które pozwalają mówić o sprawach filozoficznych językiem łudzącym swoim potocznym wyglądem. Impulsy płynące z tekstów hermeneutyków Rorty przepuszcza przez filtr — oświeceniowych w swej genezie — wzorców prozy analitycznej. Pod elegancką powierzchnią kryją się jednak u Rorty'ego celowe sprzeczności, metaforyczne skróty, wielopiętrowe ironie i wyzywająca przesada. Są to współczynniki bardzo przemyślanego programu.
Ale program ten zawiera pewien wstydliwy sekret. W szkicu z 1979 r.,

Problem about Fictional Discourse? (CP, s. 110–137), Rorty uchyla rąbka tajemnicy, która zresztą dla przeciwników tej orientacji intelektualnej nie jest żadną tajemnicą, ale którą jej przedstawiciele zdradzają niechętnie:

Od czasów Mallarmé'go i Joyce'a szereg pisarzy zacierało przedstawiającą funkcję języka, czyniąc słowa środkiem i równocześnie przedmiotem reprezentacji. Cała tradycja narratorów takich jak Borges i Nabokov polega na gwałceniu granicy proscenium. W ślad za Nietzscheańskim zakwestionowaniem „woli prawdy" i Heideggerowskim podważeniem „metafizyki obecności" wielu autorów (przede wszystkim Derrida) próbowało obejść się bez pojęcia „desygnatu", mówiąc na przykład, że „niczego poza tekstem nie ma". W tym wzmagającym się chórze głosów można widzieć zapowiedź końca metafizyki, sygnał rozpoczętego przez nas oswobadzania się od dziedzictwa Parmenidesowego. Można uznać, że Borges i Nabokov, Mallarmé, Valéry i Wallace Stevens oraz Derrida i Foucault wyprowadzają nas ze świata podmiotu-i-przedmiotu, słowa-i-znaczenia, języka-i-rzeczywistości oraz otwierają przed nami nowe i lepsze universum intelektualne, jakie nie śniło się nikomu od czasu, gdy Grecy dokonali owych brzemiennych w skutki rozróżnień między *nomos* i *physis*, *episteme* i *poiesis*, które prześladowały i nadal prześladują Zachód. Ale byłoby to, jak sądzę, poważnym błędem. Lepiej dostrzegać w działaniu wymienionych osób taki sposób wykorzystywania tradycji Parmenidesowej, który czyni z niej tło dialektyczne, bez tego zaś tła nie mieliby oni nic do powiedzenia. W kulturze, w której pojęcie „twardego faktu" — Parmenidesowe pojęcie przymuszania do prawdy przez rzeczywistość — zajmowałoby miejsce mniej ważne, cały rodzaj pisarstwa „modernistycznego" nie miałby sensu. Pojęcie „intertekstualności" nie budziłoby rozkosznie niezdrowego dreszczyku [CP, s. 135–136].

Ujawniona w powyższym fragmencie świadomość dialektycznego związku między skrajną formą relatywizmu a postawami realistycznymi w późniejszych pismach Rorty'ego ulega wyraźnie stłumieniu. Fragment ten rzuca jednak swój cień dwuznaczny na cały dorobek autora i wskazuje na nie dającą się usunąć aporię: jak z dobrą wiarą występować przeciw postawom, których przezwyciężenie podważyłoby jednocześnie pozycję, z jakiej przeprowadzona została polemika, i które były i są niezbędne w życiu kultury? Rorty przez pewien czas zakładał chyba milcząco, że społeczeństwo w swoim własnym interesie zawsze będzie produkowało licznych obrońców realizmu i że zawsze zatem, dla równowagi, potrzebni będą śmiałkowie, którzy zechcą podważać owe postawy, aby ruch umysłowy nie osłabł.

W ostatnich jednak rozprawach i książkach Rorty rozstaje się na dobre z wywołanym przez siebie samego duchem Parmenidesa i kreśli utopijny obraz społeczeństwa, które w całości przyjęłoby jego zasady „liberalizmu ironicznego".

Wspomniana aporia poznawcza znajduje w pismach zachodnich rady-

kałów swoją analogię ściśle polityczną: walczy się z tym, czego w skrytości ducha nie chce się bez reszty obalić. Tutaj jednak Rorty stanowi chwalebny wyjątek. Jego pochwała Stanów Zjednoczonych brzmi jak wyzwanie rzucone swemu najbliższemu otoczeniu.

Akceptując główny zrąb instytucjonalny demokracji parlamentarnej, Rorty stara się czasem zarysować kontury społeczeństwa doskonalszego, tym razem nie z perspektywy panującego w nim klimatu filozoficznego, ale od strony organizacji ekonomicznej. Szkoda tylko, że socjaldemokratyczna treść jego liberalnych (w znaczeniu amerykańskim) poglądów jest tak mglista, kiedy zaś się konkretyzuje, bywa rozbrajająco naiwna, jak wówczas na przykład, gdy w ślad za brazylijskim prawnikiem z Harvardu, Roberto Ungerem, Rorty usiłuje wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym dochody będą dzielone sprawiedliwie, to jest równo, bez względu na rodzaj pracy.[6]

Podobnie rozbrajająca jest jego wiara w literaturę jako narzędzie edukacji społecznej, przeświadczenie, że potrafi ona ugruntować niechęć wobec przemocy i okrucieństwa oraz wyrobić poczucie solidarnego związku z innymi istotami ludzkimi, z coraz szerszym kręgiem tych istot. Wątpliwości, jakie się nasuwają, dobitnie wyraził jeden z recenzentów książki *Contingency, Irony, and Solidarity*, proponując bardzo prosty sprawdzian: czy znawcy artystycznych subtelności, wykładowcy literatury, naprawdę są wrażliwsi na dolę swych bliźnich niż ich koledzy z pozostałych fakultetów?[7]

Dalsze zastrzeżenia budzi fakt, że Rorty równie chętnie przyjmuje zupełnie odmienną perspektywę w ocenie literatury, traktując ją jako główne źródło samorealizacji naszego „ja". W późniejszej fazie swej twórczości kreśli ostry przedział między domeną społeczną a indywidualną, między „ja" publicznym a „ja" prywatnym. W literaturze zaś, obok jej roli wychowawczej, widzi jeden z najsilniejszych bodźców wyzwalających naszą wolę autokreacji, głuchej na jakiekolwiek naka-

---

[6] Por. *Unger, Castoriadis, and the Romance of a Rational Future* (1988) (PP II, s. 177–192). Dla ścisłości podaję, że Rorty wprowadza pewną korektę do fantazji Ungera: „Nie musi to być zrównanie dochodów, choć musi to być coś p o d o b n e g o" (s. 192, podkr. R. R.).

[7] Por. B. Lang *Rorty Scrivener*, w: *The Anatomy of Philosophical Style: Literary Philosophy and the Philosophy of Literature*, Oxford 1990, s. 136. Oczywiście, ani pobieżne próby Rorty'ego, ani równie kawaleryjska refutacja w wykonaniu Langa, nie wyczerpują sprawy kształtowania przez literaturę „percepcji moralnej". Znacznie szczegółowiej zajmuje się tym obecnie wielu autorów anglosaskich.

zy społeczne. Sprzeczności te dałyby się pogodzić, gdyby autor jedynie opisywał różnorodne funkcje literatury. U Rorty'ego jednak opis stanu faktycznego przeniknięty jest na wskroś nastawieniem normatywnym, co zresztą wynika z przekreślenia przez niego granicy między faktem a oceną. Ostatnie jego książki i artykuły to rodzaj cyklicznego manifestu. Dowiadujemy się z nich, między innymi, po co mamy wytwarzać utwory artystyczne i jak mamy je użytkować. Otóż aspekt „solidarnościowy" i aspekt „autokreacyjny" źle się ze sobą godzą i nic tu nie pomoże kategoryczne odseparowywanie ich od siebie, jako przynależnych odmiennym dziedzinom aktywności. Dawniej nazwano by to „dysonansem poznawczym". Co więcej, oba te aspekty, wzięte razem, sprzeczne są z autoteliczną ideą języka, jaką skądinąd Rorty głosi.

Tropienie jednak u Rorty'ego sformułowań sprzecznych czy też wątpliwych ze względu na swoją jednostronność lub skrajność, przyszpilanie zdań w ich kształcie dosłownym, bez oglądania się na międzytekstowe nawiązania i różne formy ironii i samoironii — to pułapka, jaką Rorty–retor zastawia na swego czytelnika. Uciechę komentatorów, a jest ich bez liku, wynajdujących pozorne (i rzeczywiste) absurdy w jego prozie, autor psuje gestami, wskazującymi na działanie z premedytacją. Później zaś, gdy jego obraz jako „współczesnego sofisty" zaczyna się już utrwalać, dokonuje nagłego zwrotu i skarży się, że nie jest traktowany z należytą powagą. „To boli", powiada w szkicu autobiograficznym.[8]

Oczywiście, tego rodzaju taktyka nie jest obecnie rzadkością. Polscy czytelnicy Gombrowicza zetknęli się z nią w wersji niedoścignionej. W świecie znana jest ona z repertuaru postmodernistycznego, którego świadomym współautorem jest zresztą sam Rorty. Czy zatem paradoksy tego filozofa, którego urzekła rola literata, nie ulegną dewaluacji w czasach, gdy nastąpiła tak wielka ich podaż? Jeśli tak, to Rorty powinien przyjąć to mężnie. Przecież powiedział kiedyś:

> Chwała filozofa nie polega na tym, że początkowo jego myśl wszędzie trudności (choć jest to prawda), ale że w końcu przynosi wszystkim ułatwienia [PP II, s. 17].

---

[8] *Trocki i dzikie storczyki*, w tym n-rze „Tekstów Drugich".

Roztrząsania i rozbiory

Gatunki skrócone „oda–woda" i „Sonet zawichostski"

Idea skrótu, obecna w poezji co najmniej od czasu futuryzmu i Awangardy, mozolnie poszukuje w celu samookreślenia swego wroga, negatywnego punktu odniesienia, owego dna, od którego mogłaby się odbić. Znajduje go w zarzuconym systemie gatunków — z reguły „zbyt rozwlekłych", a więc bardzo różnych od dzisiejszej praktyki wypowiedzi poetyckiej i jaskrawo sprzecznych z gustami epoki pośpiechu i nadmiaru informacji.
Paradoksalnie największą wojnę tradycji genologicznej wypowiedziała fraszka, choć zdawać by się mogło, że akurat ten gatunek — od dawna wobec liryki autonomiczny i programowo „niepoważny" — ma najmniejsze powody zarówno do ostrych przeciwstawień i demonstracji buntu, jak też samousprawiedliwień. Jan Sztaudynger *Nauka*:

Ten biały obłok, co po niebie gania
Uczy mnie piękna przelotnego trwania
Każe mi lotne składać e p o p e j e
Które prozaik–wiatr znienacka zwieje.[1]

W twórczości Sztaudyngera takich odniesień do eposu czy ody znajdziemy mnóstwo. Służą one apoteozie formy krótkiej, syntetycznej,

---

[1] J. Sztaudynger *Nie tylko „Piórka". Fraszki, wiersze, bajki*, wybór A. Sztaudynger–Kaliszewicz, Łódź 1986. Stąd pochodzą wszystkie cytaty z tego autora.

która dzięki swej mocy streszczającej zastępuje rzekomo obszerniejsze wypowiedzi poetyckie. Utopia wszechmocnego „skrótu" łączy żart z naiwną wiarą w siłę rymowanego dystychu.

Dolej do fraszek wody,
Miast fraszek będą ody.
[*Awans*]

Tak, ale tylko zakładając, że będą to fraszki pochwalne — dzisiaj już bardzo rzadkie. Wartościowanie i deklaracja są tu jednoznaczne: fraszka — tak, oda — nie. I poeta przyjmuje tę kwalifikację jako oczywistość, uznając iż nie wymaga żadnych uzasadnień ani dowodów. Forma dłuższa — wyraźnie deprecjonowana przez fraszkopisarza — jest konsekwentnie kojarzona po prostu z „wodolejstwem", a nie np. z bogactwem treści. Spod ludycznej maski ironii przebija prawdziwa wiara w bezwzględną możliwość skrócenia każdej formy i każdej myśli. Jest to jednak także mimowolny sygnał redukcji zadań poezji, jaką zakłada fraszkopisarstwo.
„Polemika" Sztaudyngera obsesyjnie koncentruje się wokół rymu „oda–woda" — jako znaku ustabilizowanego systemu literackich antywartości:

Pytasz, dlaczego zwięzłe moje ody?
Wszakże je piszę w Łodzi — a Łódź nie ma wody.
[*Pytasz, dlaczego?*]

Tu, choć utwór pozornie odę akceptuje — wprawdzie jako formę skrajnie zredukowaną, pozostaje wciąż w mocy uparte twierdzenie, iż każdą odę musi wypełniać „woda" — co ją z góry przekreśla jako gatunek godny kontynuacji. W tym przykładzie asocjacja znajduje dodatkowe uzasadnienie w temacie: wielkie miasto, położone nad nieproporcjonalnie małą strugą, od lat cierpi na niedostatki wody. Koncept jest jednak o tyle chybiony, że zbiór *Piórka i łatki łódzkie*, z którego utwór pochodzi, raczej nie zawiera wierszy pochwalnych — w przeciwieństwie do słynnych *Krakowskich piórek*. Dlaczego więc uporczywie powraca właśnie „oda" — gatunek martwy, czasem ekshumowany przez nurty neoklasyczne, ale chyba ostatecznie skompromitowany większą falą panegiryzmu socrealistycznego? Fraszka zachowuje pamięć tego gatunku na ogół tylko w charakterystycznym przyimku „Do..." rozpoczynającym tytuł, ale ten jest raczej echem

wzorców staropolskiej fraszki niż nawiązaniem do ody. Fraszka odbiega zarówno od funkcji przywoływanego gatunku, jak i wysokiego stylu, choć nieraz istotnie wyraża najczystszą pochwałę: miasta, piękna natury, kobiecej urody. Wyjaśnienie może być bardzo proste: związek gatunków podpowiada rym. Dlatego ironiczny przepis na zniszczenie fraszki to właśnie „oda", a nie np. satyra czy poemat heroikomiczny — bo gatunki te, choć fraszce dzisiejszej bliższe ideowo, nijak z „wodą" zrymować się nie chcą. Oda reprezentuje zatem cały skostniały system genologicznej liryki.

Fraszkopisarz ma silne p o c z u c i e f o r m y; swoją twórczość podporządkowuje dość rygorystycznym kształtom (przeważnie jest to rymowany dystych) i dlatego szuka umownych granic. Wyznacza je anty-wzorzec, z którym podejmuje grę o zwięzłość — prawie sportową, choć przypomina ona wyścig z manekinem. Odwołania gatunkowe fraszki kierują się bowiem ku tradycji martwej, a milczą o współczesności literatury, gdzie gatunki krzyżują się i zanikają. Ta sztuczna świadomość opozycji świadczy o zagubieniu fraszki w zmienionym świecie zatartych poetyk i wielogłosu poezji.

Abstrahując od funkcji, jaką „polemika" spełnia w tym gatunku, musi też zastanawiać anachronizm, który narzuca rymopisowi misję walki z nieczynnymi wiatrakami w skansenie literatury. Przecież oda, epos, elegia nie stwarzają dziś żadnego zagrożenia dla swobodnej ekspresji lirycznej, a tym bardziej — dla humoru i satyry. Nie ma poetyk normatywnych, a rewolta romantyczna dokonała się w ubiegłym stuleciu. Przeciwnie, zainteresowanie budzą raczej marginesowe próby klasycystów — powrotu i odnowienia starych form. Skąd zatem ta polemiczna pasja? A może to rytualna kontestacja lirycznych kanonów? Albo urzędowy obowiązek zawodowego prześmiewcy: wykpiwanie koturnowych arcydzieł, ośmieszanie ich nie w imię awangardowych idei, ale z pozycji równie tradycyjnej satyry? Zadanie łatwe i wdzięczne, choć wiedzie donikąd.

Obok idei destruktywnych dla formy pojawiają się czasem zarysy programów konstruktywnych. Spod masek niepowagi wyziera tęsknota do słowa graniczącego z milczeniem, utopia wypowiedzi perfekcyjnie zredukowanej, a więc maksymalnie zwięzłej. W epoce wyczerpania artystycznych idei i związanej z nim programofobii, zamiast manifestów zdarzają się jedynie doraźne manifestacje, dokonywane na marginesie stateczniejszej twórczości: utwory-gesty, utwo-

ry–prowokacje, wreszcie anty–utwory. Są to próby, które czasem ogranicza żart, czasem — zatrzymanie w pół kroku ciekawego eksperymentu. Modyfikacja archetekstu z reguły pozostaje niedokończona i niekonsekwentna — jako zaledwie konceptualny zapis artystycznego marzenia. Julian Kornhauser, *Traktat poetycki*:

Wiele dałbym za to, żeby
ten wiersz był pudełkiem
zapałek, odkrytą lampką
na biurku, kwitkiem z pralni.
To marzenie czyni mnie
poetą.[2]

Sześciowierszowy *Traktat* ewidentnie narusza zwyczajowe rozmiary tego gatunku, a więc jest pomniejszeniem formy, którą znamy także z poezji współczesnej. Pierwowzorem jest raczej archetekst niż konkretne dzieło Miłosza o identycznym tytule. Polemika z gatunkiem w takich sytuacjach wynika z napięcia między rozmiarami tekstu a nieadekwatnym nagłówkiem. Miron Białoszewski, *Powieść międzyplanetarna*:

Budzę się
Rwetes
Wyglądam:
ustawianie pod mur.
Marsjanie wylądowali.[3]

Bez wątpienia ambicja dokonania „skrótu" formy znacznie dłuższej — w tym wypadku powieści fantastyczno-naukowej — ma charakter parodystyczny. Opisane zdarzenie może być zaledwie szkicem albo ekspozycją w powieści, ale w żadnym razie nie potrafi zastąpić sensacyjnej akcji. Podobne „streszczenia", obejmujące całą fabułę powieści, ballady czy eposu, są również domeną fraszki, choć zwykle wskazują na konkretne dzieło, od którego biorą tytuł. *Dzieje grzechu* w wersji Sztaudyngera:

Rozstanie z listkiem
i już po wszystkim

---

[2] J. Kornhauser *148 wierszy (1968–1979)*, Kraków 1982.
[3] M. Białoszewski *Odczepić się*, Warszawa 1978.

Liczne interteksty: aluzje, parafrazy i reminiscencje literackie to łatwo rozpoznawalne odwołania, zastępujące sławne oryginały — Horacego, Kochanowskiego czy Słowackiego. Tak jak karykatura graficzna jest redukcją do cech charakterystycznych podobizny lub sceny (np. Wyspiańskiego karykatura „Bitwy pod Grunwaldem"), tak miniatura „upraszcza" literacki pierwowzór. W metatekście pojedyńczy, wspólny z oryginałem motyw umożliwia identyfikację; pozostałe składają się na to, co teksty od siebie odróżnia i stanowi treść polemiczną. Ta sama zasada obowiązuje w czystych „cytatach struktury", wyizolowanych z tradycji historycznoliterackiej. Wówczas gra już nie z dziełem, ale z samym schematem staje się bardziej widoczna jako przedmiot polemiki z formą. Przypadki to niezmiernie rzadkie, a najciekawszy z nich znajdziemy znowu w twórczości Białoszewskiego.
Obiektem parafrazy stał się sonet: gatunek–strofa, który ewoluował od konkretnego modelu sytuacji lirycznej ku „czystej formie" — stając się z czasem „naczyniem na wszelkie treści" — tak pojemnym, że nieużytecznym. Wyczerpanie długowiecznego gatunku uzasadnia tęsknoty i próby powrotu współczesnych klasycystów. Oto Witold Zechenter próbował wskrzesić skostniały schemat wypełniając go treścią nową, ale pragnienie znalazło ujście głównie w manifeście, jakim był *Sonet na dziś* — wyrażający *expressis verbis* potrzebę formy po znużeniu dowolnością i amorfią wersyfikacji współczesnej. Białoszewski natomiast dokonał polemiki analitycznej, dając propozycję odważną, bo skrajną. I z pewną przesadą można powiedzieć, że obok znanych dotąd odmian gatunku, takich jak sonet włoski, francuski czy szekspirowski, umieścił model własny — raz tylko zaprezentowany — *Sonet zawichostski*.
Utwór stanowi część cyklu *Kabaret Kici Koci*, zamieszczonego w zbiorze *Rozkurz* (1980). Cykl ten przypomina sekwencję kabaretowych numerów, luźno powiązanych przez fantastyczną fabułę z ludową bohaterką — „Babą z Mostu Kierbedzia", którą przygarnęła ludność Zawichostu „słynna z mierzenia Wisły do radia". *Sonet zawichostski* trzeba usytuować na pograniczu parodii i eksperymentu. Oto on:

Siedzę
Chodzą
Rodzą
Siedzę

Siedzę
Płyną
Miną
Siedzę

Dziewięć
Dziesięć
Mieć chęć

Widzieć
Wiedzieć
Siedzieć

Forma została poddana skrajnej „redukcji fenomenologicznej" — sprowadzona tylko do cech, zdaniem autora, istotnych. Ocalał szkielet, który wyznacza obszar elementów zbędnych z punktu widzenia gatunku. Graficznie to jakby prawa część utworu, rymowe końcówki wersów. Czy jednak jest to kontur nie istniejącego wiersza, czy też pełny, „gotowy", choć bardzo pomniejszony sonet?
Niewątpliwym odstępstwem od reguł gatunku jest brak tradycyjnego trzynasto- lub jedenastozgłoskowca, a w miejsce jednego z tych formatów pojawia się „dwuzgłoskowiec". Ubocznym efektem kompensującym jest regularność większa niż zakłada plan sonetu: wszystkie wersy mają postać jednostopowca trocheicznego. To oczywiście raczej przypadek, podyktowany zasadą akcentu paraksytonicznego, jaki obowiązuje w polszczyźnie. Trudno zresztą przypuszczać, by celem modyfikacji sonetu było osiągnięcie perfekcji lub oryginalności w zakresie doboru akcentów i rymów, dominują bowiem rymy gramatyczne, czasownikowe (wyjątkiem jest jeden z przeniesieniem akcentu: „mieć chęć"); ponadto rymy okalające pierwszych dwóch kwartyn są identyczne; z kolei środkowe rymy z drugiej strofy są inne niż w pierwszej, co już narusza regułę gatunku.
Co pozostało z sonetu? Zaledwie 14 wersów i kompozycja — podział na część epicką (dwa czterowiersze) i liryczną, który zresztą bez nawiązań do sonetu występuje w wielu pozagatunkowych miniaturach refleksyjnych. Wydaje się jednak, że usunięcie wszystkich cech fakultatywnych i wariantowych nie powiodło się do końca. Układ rymów abba acca nie odpowiada żadnej z klasycznych postaci sonetu, nie uwzględnia także wariantu z rymami krzyżowymi, stosowanego m. in. przez Asnyka. W drugiej części (lirycznej) rymy układają się

w konfigurację rzadką, wręcz unikalną: ddd cce. Nie udało się więc sprowadzić formy sonetu do jej istoty, która pozostaje nieuchwytna, choć przecież został przywołany schemat łatwo rozpoznawalny w swym ogólnym zarysie i aluzja do gatunku jest czytelna — także w oderwaniu od tytułu. Dokonana redukcja poetyki ma charakter bardziej ilościowy niż strukturalny.

I wreszcie zaskoczenie: parodia formy nie jest jedynym planem utworu. Prócz żartu formalnego dziełko ma jeszcze inny sens. W kontekście „hydrologicznej" tematyki cyklu sonet staje się zupełnie zrozumiały. Nakłada się ona na plan ukrytej refleksji metapoetyckiej i motywuje dokonaną redukcję formy.

Podobnie jak Wisła pozostaje Wisłą, choć pomiar poziomu wody wykazuje zmiany, tak i ograniczona liczba słów — którą można tu określić jako „dolną strefę stanów niskich" — nie niweczy sonetu. W ścisłym powiązaniu z formą splatają się tu elementy parodii, ludycznego popisu kunsztu i głębszej refleksji. Rym identyczny „siedzę" (a) zarysowuje sytuację bohaterki wiersza. „Siedzę" — podczas gdy oni „Chodzą / Rodzą" (rym b) i „Płyną / Miną" (c). Częściowe naruszenie zasady powiązania rymowego dwóch pierwszych strof znajduje uzasadnienie: rym b opisuje ruch poprzeczny — na moście, rym c — ruch podłużny, po Wiśle. Może to znaczyć: przemija czas — wszak od Heraklita płynąca woda jest alegorią przemijania, toczy się życie (ruch na moście), a „ja" tkwię na skrzyżowaniu tych symbolicznych dróg. Paralela i zarazem antyteza „Chodzą / Rodzą" — „Płyną / Miną" nasuwa jeszcze na myśl generalną opozycję Życia i Śmierci. Pozostałe dwie strofki, tworzące część refleksyjną sonetu, zawierają wnioski wynikające z opisanej sytuacji i formułują autopostulat: „Dziewięć / Dziesięć — to prawdopodobnie beznamiętne informacje o poziomie wody, bo tylko z tego znany jest Zawichost. A więc to, co się tam dzieje, jest przymusem wyobraźni, od którego trudno się uwolnić. Trzeba zatem „mieć chęć". To nieprzypadkowo jedyny jamb, burzący monotonię trocheiów. Ostatnia strofka wyjaśnia cel owej „chęci": „Widzieć / Wiedzieć / Siedzieć". Znamienne, że warunkiem „widzenia" i „wiedzy" jest znowu „siedzenie" — opisane wcześniej jako stan zdeterminowany i beznadziejny. Teraz jednak — inaczej niż w punkcie wyjścia — to już apoteoza statyczności obserwatora (Baby z mostu), a więc „siedzenie" jako „uświadomiona konieczność".

Powyższa interpretacja nie wyczerpuje jednak sensu utworu. Jest on bowiem — w swej warstwie semantycznej — intertekstem, abstrahującym od archetekstu (gatunku). *Sonet zawichostski* to także parafraza słynnego liryku lozańskiego *Nad wodą wielką i czystą*. Przesłaniem Mickiewicza jest postulat ruchu — podążania za nurtem życia: „mnie płynąć, płynąć i płynąć". U Białoszewskiego pojawia się postulat przeciwny: bezruch.
Sonet zawichostski — równie zdawkowy jak komunikaty hydrologiczne — ujawnia, jakby im na przekór, bogactwo życia. Co ważne, toczy się ono inaczej niż w Mickiewiczowskim liryku, bo wyłącznie w płaszczyźnie horyzontalnej. Odnotowany nieznaczny przybytek poziomu wody nie zmienia poziomej dynamiki świata przedstawionego; może tylko kształtować uboczne, fraszkowe skojarzenia z „wodolejstwem". Zmniejszona forma opisuje lepiej coraz „większy" świat. A zatem — raz jeszcze manifestacja tylko na poły poważna.
Trudno znaleźć miniaturę, która byłaby do końca „korektą zwięzłości" innego tekstu lub gatunku. Brakuje zatem konstruktywnej polemiki metapoetyckiej, gdzie forma krótsza konkuruje z dłuższą; takiej co wykracza całkowicie poza żart, postulując zmodyfikowaną postać istniejącej już wypowiedzi. Gatunki wychodzą z tych prób rywalizacji niepokonane.

Piotr Michałowski

Nowe oblicze krytyki tematycznej?

Pora powrotów nadchodzi nieuchronnie dla teorii literatury. Coraz częściej w zachodniej refleksji teoretycznej rozpanoszonemu ponad miarę przedrostkowi „post", a zwłaszcza pojawiającej się ostatnio jego wersji zdublowanej „post–post"[1] towarzyszyć zaczyna magiczny prefiks „re" niosący w sobie zapowiedź ponownego odczytania, powtórnego zbadania, przemyślenia od nowa[2].
A zatem: powrót jako remedium. Mimo wszystko. Dobrze przecież wiadomo, że — jak to zwykle z lekami bywa — remedium czasami wprawdzie posiada moc uzdrowicielską, równie dobrze jednak okazać

---

[1] Najczęściej jako „post–post strukturalizm".
[2] By przypomnieć tu chociażby tytuł książki R. Freadmana i S. Millera *Re–thinking Theory. A critique of contemporary literary theory and an alternative account*, Cambridge 1992.

się może zwietrzałe i mało skuteczne. Ale też zarzut łatwej radości, czy taniego optymizmu nie byłby tu na miejscu. Spojrzeniu wstecz, towarzyszy bowiem jedynie nadzieja, jaką daje wykorzystanie koncepcji, które bądź usunięto na pobocze głównych traktów, bądź pojawiają się, ale w sposób zakamuflowany, bądź wreszcie zostały wyklęte przez swoich poprzedników.

Żadna z tych sytuacji nie ominęła krytyki tematycznej. Tak przynajmniej twierdzą rzecznicy jej powrotu. Po pierwsze, z pewnością nie była ona w ostatnich dekadach nurtem pierwszoplanowym.[3] Po drugie, co pozornie wydaje się sprzeczne z pierwszym stwierdzeniem, pewne zjawiska w literaturze, które — wprawdzie nie bez zastrzeżeń — można nazwać tematami, skupiają na sobie uwagę współczesnej nauki o literaturze stając się niejednokrotnie źródłem jej fascynacji, czy wręcz uzależnień. Rzadko jednak są przez badaczy określane mianem tematu. Po trzecie wreszcie — jak chcą Claude Brémond i Thomas Pavel — krytyka tematyczna jeszcze do niedawna nie tylko nie wzbudzała zainteresowania, ale wręcz obłożona była anatemą.[4] Dodatkowy kłopot sprawiają te teksty literackie, które, jak na przykład dzieje się to w pewnych przynajmniej powieściach współczesnych, same z premedytacją ogłaszają brak tematu.

O wzrastającym ponownym zainteresowaniu tematologią świadczą numery czasopism w całości jej poświęcone, jak na przykład *Poétique* 64 (Novembre 1985) pt. *Du thème en littérature* (*O temacie w literaturze*)[5] i wreszcie najbardziej wyraziste i dobitne świadectwo jej potęgującej się atrakcyjności — wydany w 1993 roku opasły tom zatytułowany tyleż znamiennie dla naszych czasów, co obiecująco: *The Return of Thematic Criticism* (*Powrót krytyki tematycznej*)[6]. Tom

---

[3] Jak skarżą się zwolennicy powrotu badań tematycznych „temat" nie zaistniał w elitarnym, bo przedstawiającym kilkanaście zaledwie pojęć, słowniku Franka Lentricchi i Thomasa McLaughlina *Critical Terms for Literary Study*, Chicago 1990 (mimo że opisane są tu tak tradycyjne pojęcia jak „narracja" i obarczone znamieniem powrotu jak „intencja" czy „autor"). Dodać tu też można, że nie uznał za stosowne umieścić tematu w obrębie terminów teoretycznoliterackich także Wendell V. Harris, autor znacznie obszerniejszego słownika *Dictionary of Concepts in Literary Criticism and Theory*, New York 1992.

[4] C. Brémond, T. Pavel *Fin d'un anathème* „Communications" 47 (1988).

[5] Z innych warto odnotować *New Comparison: A Journal of Comparative and General Literary Studies* 6 (Autumn 1988): *Literary Themes*, „Communications" 47 (1988): *Variations sur le thème*, „Strumenti critici" 80 (May 1989): *Pour une thèmatique*.

[6] *The Return of Thematic Criticism*, ed. by W. Sollors, Cambridge, Massachusetts, London 1993.

gromadzący ponad dwadzieścia artykułów badaczy różnych nacji i różnej proweniencji metodologicznej, zaopatrzony w obszerną, choć selektywną bibliografię, mimo że nigdzie tego wprost nie ogłasza, sytuuje się na antypodach myśli dekonstrukcjonistycznej.
Niechęć dekonstrukcjonistów wobec krytyki tematycznej nie powinna dziwić. Wszak w jej obrębie właśnie podejście totalizujące ujawnia się z całą siłą, a logocentryzm ma się znakomicie. Nic też nie wskazuje na to, żeby głosiciele jej odrodzenia chcieli zajmować się „wzajemną grą między sprzecznymi motywami"[7]. Trzeba przyznać, że nurt dekonstrukcjonistyczny obchodzony jest tu ostrożnie i z daleka, co — jak się okaże — nie oznacza, że zupełnie nie poruszył świadomości teoretycznej zwolenników badań tematycznych.
Przygotowując swoje pole działań, a więc szukając dowodów na „początek końca anatemy"[8] dostrzegają oni sygnały, wspomnianej już, wstydliwie zamaskowanej, kariery badań tematycznych właśnie w narastającej ostatnio fali tekstów poświęconych problematyce etnocentryzmu, tożsamości etnicznej, tożsamości kobiecej, homoseksualności, niewinności, małżeństwa, rodzaju płciowego, rasy, rasizmu, itd. w literaturze.
Otóż trudno się nie zgodzić, że w tej problematyce znaleźć można i „tematy", jednakże niektóre z nich, o czym rzecznicy powrotu tematologii nie chcą pamiętać, stają się czymś więcej, zbliżają się bowiem — jak na przykład ów słynny *gender* — „rodzaj płciowy", czy „płeć kulturowa" — do kategorii teoretycznoliterackiej, poprzez którą — jak chcą z kolei „teoretycy rodzaju płciowego", badać należy: podmiot wypowiedzi, wyznaczonego przez tekst odbiorcę, konstrukcję świata przedstawionego, zasady kształtowania dyskursu, w tym także sposoby jego rozbicia itd. Pozostaje tylko czekać, aż tak rozumiana „płeć kulturowa" znajdzie się w kanonie podstawowych terminów poetyki opisowej.
Tak więc krzewiciele krytyki tematycznej, obarczający współczesną naukę o literaturze grzechem zatajenia swych skłonności, też nie są bez winy. Zarzucić im bowiem można pewną dowolność w posługiwaniu się zalecanymi przez siebie pojęciami. Swobodzie tej towarzyszy usilne pragnienie, by zagarnąć pod skrzydła propagowanej orientacji

---

[7] Tamże, s. 124.
[8] Tamże, s. XV.

wszelkie niemal przejawy zainteresowania tematem. Gwoli sprawiedliwości trzeba podkreślić, że lansowana jest tu skrajna otwartość i brak ograniczeń natury metodologicznej. Hierarchia ustępuje miejsca wielości, dopuszcza się wzajemną równoległość koncepcji i swobodę w ich wykorzystaniu.

Deklarowany pluralizm nie likwiduje wątpliwości, które niezmiennie towarzyszą ogłaszanym oficjalnie powrotom. Pytania: co się zmieniło? Czy należy oczekiwać nowej propozycji, wspartej jedynie na filarach dawnych koncepcji, czy też oferuje się nam wierną kontynuację wcześniejszych przemyśleń? — jak zwykle domagają się odpowiedzi.

Najpierw zatem o podobieństwach. Przede wszystkim nic nie wskazuje na to, żeby krytyka tematyczna, niezależnie od swych wcieleń, czy zmian zachodzących w polu metodologii, była kiedykolwiek jakoś szczególnie hołubiona przez naukę o literaturze. Postawa obronna, poczucie ciężaru klątwy i konieczności jej zrzucenia, są tego znamiennymi dowodami. Dla przykładu: tytuł wspomnianego już artykułu z 1988 roku zapowiadający koniec anatemy koresponduje ze znanym polskiemu czytelnikowi tytułem pochodzącej z 1964 r. rozprawy Raymonda Troussona *Obrona Stoffgeschichte*.[9] Postawa obronna łączy się z retoryką perswazji i zachęty. Sam Trousson zamieszcza w przywoływanej tu zbiorowej książce z 1993 roku krótki tekst, tym razem zatytułowany *Reflections on Stoffgeschichte* głoszący w tonie bliskim manifestu odrodzenie badań tematycznych zwłaszcza na gruncie komparatystyki, a także przestrzegający przed ugrzęźnięciem w debatach nad zakresem znaczeniowym stosowanych terminów.

Jak widać, powraca nie tylko strategia obronna i zarazem wyzwalająca, powracają także nazwiska badaczy znanych z orientacji tematologicznej. Obok rozprawy Troussona pojawiają się teksty Harry'ego Levina, Leslie Fiedler i George'a Steinera. W mnogości tekstów wpisujących się we współczesny nurt dają się odszukać problemy także znane sprzed lat, dla przykładu pojęcie „tematu" uwikłane zostaje w te same zależności, o których blisko dwadzieścia lat temu pisała Elżbieta Sarnowska-Temeriusz[10], współtworzy bowiem pięciocie-

---

[9] R. Trousson *Obrona Stoffgeschichte*, przeł. J. Lalewicz, *Pamiętnik Literacki* 1972 z. 1, s. 287–299. (Przekład według wyd.: R. Trousson *Plaidoyer pour la Stoffgeschichte*, „Revue de Littérature Comparée" 1964 nr 1 s. 101–114.

[10] E. Sarnowska-Temeriusz *W kręgu badań tematologicznych*, w: *Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa*, red. H. Markiewicz i J. Sławiński, Kraków 1976, s. 145–175.

mentowy związek, w którego skład wchodzą zarazem topos — motyw — wątek — fabuła. Całości dopełnia zależność tematu od idei, czy pojęcia jako takiego.

Napotkać tu również można ponowne przezwyciężanie, zdawałoby się już dawno przezwyciężonej, opozycji między formą a tematem, gdzie ostatni identyfikowany bywa z zawartością treściową dzieła, lub też utożsamiany z formą w procesie historycznoliterackim. Wśród propozycji rozróżnień pojęciowych można się natknąć na takie, które od dawna zadomowiły się w słownikach, czy wręcz zdążyły już spowszednieć w swojej oczywistości (np. intersemiotyczny charakter tematu, paralela między motywem literackim a muzycznym). Nie oznacza to jednak, że odsłania się przed nami znane problemy w zupełnie nie zmienionym kształcie, a ogłaszany powrót ujawnia bezproduktywność i brak pomysłowości u współczesnych badaczy.

Pora w tym miejscu zastanowić się, co uległo zmianie na mapie prądów teoretycznoliterackich. Czy inaczej: jaką tradycję myślową przywołuje powracająca krytyka tematyczna? I przede wszystkim: kto chce ją ponownie krzewić? Obok wspomnianych już nazwisk tematologów, którzy nigdy swego pola działań nie opuścili, pojawiają się nazwiska np. Lubomira Doleżela, Claude'a Brémonda, Philippe'a Hamona, a więc badaczy w sposób luźny związanych z tym, co zwykło się obdarzać mianem krytyki tematycznej, lecz zazwyczaj łączonych z orientacją strukturalną. I wreszcie znaleźć tu można rozprawy pokolenia młodszego, np. Shlomith Rimmon-Kenan, Susan Rubin Suleiman, Georges'a Leroux, Davida Perkinsa, Geralda Prince'a[11], Thomasa Pavela[12], Marie-Laure Ryan[13].

Sam zestaw nazwisk — częściowo tylko przywołany — świadczy o znamiennych przesunięciach w obrębie powracającego nurtu. Otóż w zdecydowanej mniejszości znajdują się tu zwolennicy kierunku psychologizującego (zarówno w monotematycznym numerze „Poétique", jak i w reprezentatywnej dla całego nurtu książce). W latach sześćdziesiątych — jak doskonale wiadomo — dominujący, czy wręcz iden-

---

[11] Autora książki *Narrative as Theme: Studies in French Fiction*, Lincoln 1992.

[12] Jednego z animatorów odrodzenia krytyki tematycznej, autora kilku artykułów jej poświęconych, a także książki *The Poetics of Plot. The Case of English Renaissance Drama*, Minneapolis 1985.

[13] Autorki książki *Possible Worlds, Artificial Intelligence and Narrative Theory*, Bloomington 1991.

tyfikowany z krytyką tematyczną (Georges Poulet jest przecież autorem kolejnych nazw: „krytyka świadomości", później „krytyka genetyczna" i wreszcie „krytyka tematyczna"[14]), dzisiaj kierunek ten wyraźnie schodzi na drugi plan. W bibliografii zamieszczonej na końcu książki *The Return of Thematic Criticism*, wprawdzie — jak głosi tytuł — selekcyjnej, ale przecież zakrojonej na szeroką skalę, próżno by szukać nazwisk Jean Paula Webera, Charlesa Maurona, czy Jeana Starobinskiego. Umieszczony został wprawdzie Georges Poulet i Jean-Pierre Richard, lecz zabrakło już miejsca dla rozwijającej się w Grenoble szkoły inspirowanej przez Gilberta Duranda[15], brak odniesień do Pierre'a Guirauda, mimo że parokrotnie pojawia się pole tematyczne.

Ale trudno tu mówić o jakiejkolwiek wrogości czy deklarowanej niechęci. Raczej o innym — chociaż, jak się jednak okaże, znaczącym — rozłożeniu akcentów. Pewną przesadą byłoby też twierdzić, że nurt krytyki tematycznej, który zazwyczaj utożsamiany bywa ze wspomnianymi przed chwilą nazwiskami, został całkowicie wyeliminowany. Owszem, pojawiają się nawiązania do myśli Gastona Bachelarda, czy Georgesa Pouleta, jednak pozostają one w wyraźnej mniejszości.[16]

Wspomnieć tu wszak należy o dwóch rozprawach: Petera Cryle'a[17] omawiającej spory i polemiki między przedstawicielami francuskiej krytyki tematycznej lat 60. i 70. a zwolennikami orientacji strukturalnej i hermeneutycznej (rzecz znamienna: autor artykułu opowiada się po stronie tych drugich) i Leona Somville'a w całości poświęconej ukazaniu ewolucji poglądów Jean-Pierre'a Richarda. Somville'owi, mimo pewnych zastrzeżeń, też wyraźnie bliska jest orientacja semiotyczna[18].

---

[14] Na ewolucję nazw u G. Pouleta zwraca uwagę Henryk Markiewicz (H. Markiewicz *Rzut oka na współczesną teorię badań literackich za granicą*, w: *Współczesna teoria badań literackich za granicą. Antologia*, oprac. H. Markiewicz, Kraków 1973, t. 3, s. 382.

[15] Jako przykład niech posłuży wydana w 1992 książka Danièle Chauvin o Blake'u (D. Chauvin *L'oeuvre de William Blake. Apocalypse et Transfiguration*, Paris 1992).

[16] Np. L. Doleżel *Le triangle du double*, „Poétique" 1985 nr 64. Nawet umieszczony w przywoływanej tu książce artykuł znanego ze swych psychoanalizujących skłonności badacza Francesco Orlando niewiele z psychoanalizą ma wspólnego.

[17] P. Cryle *Sur la critique thématique*, „Poétique" 1985 nr 64, s. 505–516.

[18] L. Somville *The Thematics of Jean-Pierre Richard. The Return...*, s. 161–169. Somville dopatruje się tu korzyści płynących z postulowanego przez Richarda połączenia badań nad wyobraźnią autora z badaniami „wyobraźni tekstu". Koncepcje Richarda — zazwyczaj zresztą łączone z „tematologią kulturową" stają się bliższe i bardziej cenione, gdy traktują temat nie tyle jako wyraz świadomości autora, ile jako zasadę organizacji dzieła literackiego. — Końcowe

Nie ulega wątpliwości, że nowej krytyce tematycznej bliższa będzie tradycja semiotyczna, strukturalna i formalistyczna. *Morfologia bajki* Proppa (mimo, że jak wiadomo — wyrosła z opozycji do porównań tematycznych), *Teoria literatury* Tomaszewskiego to bodaj najczęstsze punkty odniesienia. Oczywiście pojawiają się też narratolodzy francuscy. Nieco paradoksalnie bowiem badania narratologiczne, poszukiwania uniwersalnej gramatyki narracyjnej, dla których zawartość tematyczna była kwestią co najmniej drugorzędną, stają się tu źródłem inspiracji. Rzecz jasna, sprawą podstawową okazuje się sam sposób rozumienia tematu. Jeśli bowiem, w zgodzie z Tomaszewskim, traktować temat jako zespół motywów, wówczas okaże się, że określaniu inwariantów tematycznych przysłużyć się może dotarcie do wyznaczników pewnego przynajmniej poziomu głębokiej struktury tekstów. Wszystko wskazuje więc na to, że dzisiejsza krytyka tematyczna lepiej się czuje w towarzystwie, które jej imienniczce sprzed lat było raczej obce, a czasami wręcz wrogie.

Obok zatem koncepcji Curtiusa i Panofskiego, (rzadziej Paula Van Tieghema, Nortropha Frye'a, czy Ericha Auerbacha), których obecność nie budzi zdziwienia, a nawet była oczekiwana, układ odniesienia (często zresztą także negatywny) tworzy właśnie „tematologia strukturalna" (*structural thematic*). Ale nie tylko. Tradycja — szeroko pojmowanej — myśli strukturalistycznej reprezentowana jest tu także przez np. Sergiusza Eisensteina czy Michela Foucaulta. Obok niej powraca również — choć znacznie częściej jako negatywny układ odniesienia — koncepcja *Stoffgeschichte* Elisabeth Frenzel.[19] Zasada *dowolności wyboru i pewnej swobody w poruszaniu się po obszarze* tradycji teoretycznoliterackiej pozwala uniknąć zamknięcia w skostniałym kształcie.

Po wielokroć podkreślane przez wskrzesicieli krytyki tematycznej równouprawnienie metodologiczne sugeruje, że jest ona zdolna wchłonąć bez jakichkolwiek zastrzeżeń każdą niemal propozycję, choćby dotykającą kwestii tematu. I rzeczywiście, trudno oprzeć się takiemu wrażeniu. Rzadko bowiem trafiają się tu teksty zdecydowa-

---

konkluzje Somville'a: „Richardiańska tematologia w swojej ostatniej fazie dokonała wyboru najlepszego z możliwych. Teraz pozostaje nam czekać, czy stanie się częścią ogólnej semiotyki" (s. 168) wyraźnie wskazują, w którą stronę nachylają się jego sympatie.

[19] Krytykowana np. przez Holgera Kleina w artykule *Autumn Poems: Reflections on Theme as „tertium comparationis"*, w: *The Return...*, s. 146–161.

nie polemiczne. Ostra krytyka koncepcji Elisabeth Frenzel przedstawiona przez Sander L. Gilman w istocie dotyczy kompromitującej nazistowskiej przeszłości badaczki. W takiej sytuacji jedynym godnym uwagi tekstem staje się rozprawa Thomasa Pavela[20] zwrócona przeciw nowemu historycyzmowi i, zarazem, przeciw krytyce politycznej, czy raczej upolitycznionej (*political criticism*).
Celem ataku staje się proponowana na jej gruncie analiza — jak chce Pavel — tematyczna właśnie, przykładów zaś dostarcza książka samego Stephena Greenblatta *Shakespearean Negotiations* (1988). Otóż w jednej z komedii Szekspira płomienne uczucie głównej bohaterki do mężczyzny, który okazuje się przebraną kobietą, po ujawnieniu tego faktu przekształca się w miłość do bliźniaczego brata zdemaskowanej i kończy małżeństwem. Greenblatt zestawia sztukę z wydaną parę lat później książką Jacquesa Duvala o hermafrodytyzmie, pozostaje w ten sposób w zgodzie z postulowanym przez nowy historycyzm rozszerzeniem tematycznych poszukiwań poza tekst literacki i z głoszoną przezeń równością dyskursów. Zrównanie takie pozwala mu mówić o uciśnionym homoerotyzmie i daje możność odkrywania „renesansowego dyskursu o seksualności głównie w kategoriach triumfu natury i społeczeństwa nad homoerotycznymi pragnieniami"[21].
To, co dla nowego historycyzmu miało być decentralizacją, czy odkrywaniem marginesu, dla Pavela — także badacza renesansu — jest zwykłym nadużyciem. Polemizuje zatem zarówno z zasadą zrównania w prawach wszystkich tekstów danej epoki, jak i ze sposobem szukania powiązań między nimi, a przede wszystkim z mało przekonującym narzucaniem im wspólnoty tematycznej. Uderza zarazem za jednym zamachem w neopragmatystyczne skrzydło *Reader Response Criticism* reprezentowane przez Stanleya Fisha.
Nasuwające się nieodparcie skojarzenie nowej orientacji tematycznej z biernym jamochłonem zdolnym połknąć wszystko co tylko z tematem się wiąże, zostało zatem dzięki Pavelowi odsunięte. Z kolei rozmaitość proponowanych czytelnikowi tekstów, pozornie — jak się okazuje — niekontrolowana, da się ująć w pewne kręgi i poddać zabiegowi wyznaczania głównych tendencji.
Już na wstępie trzeba zaznaczyć, że powrotowi tematologii nie towa-

---

[20] T. Pavel *Thematics and Historical Evidence*, w: *The Return of...*, s. 121–148.
[21] Tamże, s. 135.

rzyszy — przynajmniej jak dotąd — triumfalny powrót autora, wskrzeszonego przecież ostatnimi laty i coraz skuteczniej dającego o sobie znać w nauce o literaturze. By jednak dla spełnienia swych ambicji porządkujących nie popaść w przesadę godzi się tu wspomnieć rozprawy poświęcone: tematom u Szekspira (H. Levina), Wagnerowskiemu *Parsifalowi* (Ziolkowski), miejscom u Balzaca (J. Jallat), pornografii u Bataille'a (S. R. Suleiman), tworzą one jednak zdecydowaną mniejszość. A zatem, choć brak tu jakichkolwiek konkretnych deklaracji, już na pierwszy rzut oka widać, że krytyka tematyczna raczej nie została przywrócona po to, by badać twórczość pojedynczego autora, a już na pewno nie po to, by badać jego wyobraźnię. Jeśli autor powraca, to przede wszystkim jako podmiot sygnalizujący poprzez konstrukcję tekstu metody deszyfracji tematu (Brémond, Levin, Prince).

Problemem skupiającym uwagę badaczy jest — jak należało się spodziewać — samo pojęcie tematu. Stąd liczne podsumowania i klasyfikacje dotychczasowych jego zakresów znaczeniowych i definicji.[22]

Obok ujęć rekapitulujących dotychczasowe koncepcje pojawiają się teksty, których ambicją jest ponowne przyjrzenie się badanemu pojęciu i sprecyzowanie jego zakresu znaczeniowego.[23] Nie wdając się w zawiłości i zróżnicowania w obrębie proponowanych przez autorów definicji, należy zaznaczyć, że temat staje się tu terminem w swym zakresie, by tak rzec: niesamowystarczalnym i domagającym się zróżnicowań. Obok zatem „tematu" pojawia się tu podtemat i metatemat, tematyzacje, manifestacje i wariacje tematyczne, pole tematyczne, tematyzowanie i, co bodaj najważniejsze: tematyzujący.

---

[22] Wyróżnia się tu na przykład definicje „w terminach struktur lingwistycznych", „w terminach intencji i interesów mówiącego", „statusu informacji" (temat — remat), „w terminach *à-propos-de (aboutness)* o czymś" (Van Dijk, Goodman), i wreszcie dwa ostatnie znaczenia: temat jako etykieta i temat jako „znaczenie globalne, homologiczne względem zróżnicowanych aspektów formalnych", S. Rimmon-Kenan *Qu'est-ce qu'un thème?*, „Poétique" 1985 nr 64, s. 397–407.

[23] Chwiejny status tematu jako terminu teoretycznoliterackiego podkreślają zgodnie wszyscy, najtrafniej jednak uchwycił jego niestabilny (jako pojęcia) charakter Philippe Hamon, według którego temat nieustannie oscyluje między „znakiem (intratekstualnym, kreującym różnicę, a więc sens w immanentnym systemie dzieła), sygnałem (intertekstualnym, odsyłającym do gatunku i repertuaru poszczególnych motywów), hasłem (dla autora określającym ograniczenia, dla odbiorcy — horyzont oczekiwań), symptomem infra-tekstualnym [...] uobecniającym się poprzez nieobecność, lub symbolem (metatekstualnym elementem) konstruowanym dla teorii [...] dzieła", P. Hamon *Thème et effet de réel*, „Poétique" 1985 nr 64, s. 495.

Jak się łatwo domyśleć za tego typu inwencją terminologiczną kryje się brak zaufania do pojęć sugerujących niezmienność zjawisk, których dotyczą i udających zarazem niezależność od podmiotu poznającego. I rzeczywiście. We wszystkich niemal tekstach kładzie się nacisk na szeroko rozumianą zmienność i relatywność analizowanego pojęcia.

Na taką właśnie sytuację składa się kilka czynników. Otóż przede wszystkim, w centrum uwagi znajduje się tu zazwyczaj czytelnik tekstu, i to niezależnie od tego, czy temat identyfikowany będzie z imieniem własnym (Graal), pojęciem (poszukiwaniem), zespołem pojęć (dziewczyna i śmierć), sądem (życie jest snem), zespołem motywów — zdaniem narracyjnym — głównym wątkiem (dzieje miłości Wokulskiego), metonimią czy synekdochą całego tekstu. Gdyby zatem dokonać przekroju blisko trzydziestu rozpraw, których autorzy głoszą powrót krytyki tematycznej, okazałoby się, że mimo wspomnianych już różnic: pokoleniowych, rodowodowych itp. niemal wszyscy w ten czy inny sposób wiążą temat z odbiorcą. Zależność ta uwidacznia się zarazem w sposobach traktowania tematu, jego definicjach np.: „Literacki temat jest (...) punktem spotkania między odniesieniem tekstu do własnego świata, światem poza tekstem a uwagą odbiorcy"[24], ujmowaniem tematu w kategoriach deszyfracji, odkrywania, znajdowania itp. w bezpośrednich nawiązaniach do *Reader Response Criticism*, czy wreszcie dzięki rozprawom, dla których podmiot działań tematyzujących staje się bohaterem pierwszoplanowym, jak ma to miejsce na przykład w artykule Geralda Prince'a *Thématiser*[25], czy Menachema Brinkera *Theme and Interpretation.*[26]

„Temat" uzależniony od „tematyzujących" posunięć czytelnika staje się pojęciem naznaczonym piętnem relatywizmu, co nie oznacza jednak, że całkowicie się w swej względności zatraca (jakby chcieli pragmatyści), wyraźnie widać tu z kolei wpływ późnej myśli Wittgensteina. Dla niektórych badaczy jego inwariantowość nie jest kwestią całkowicie wątpliwą, dla innych okazuje się wyraźnie problematyczna (Brémond).

Natomiast we wszystkich niemal proponowanych podejściach do tematu wyraźnie widać zwrot w stronę historii. (Krytyka tematyczna wręcz

---

[24] T. Pavel *The Return of* ..., s. 128.
[25] „Poétique"1985 nr 64, s. 425–435.
[26] M. Brinker *The Return of*..., s. 21–38.

zalecana jest tu historykom literatury, a także komparatystom.) Tym samym temat — z konieczności niejako — obsuwa się w sieć ruchomych kontekstów, ujawnia swą zmienność dziejową, zależność od dyskursu epoki, jej kanonu arcydzieł, czy repertuaru gatunków. (Rozprawy o mniejszych ambicjach teoretycznych także poświęcone są tu głównie historycznej zmienności tematu.)

Przy tak zdecydowanym nastawieniu historycznym — dla krytyki tematycznej oczywiście nie nowym, by przypomnieć chociażby cały nurt tematologii kulturowej z Curtiusem na czele, przy ciągłym zatem podkreślaniu uwikłania tematu w sieć tekstów (historia i komparatystyka) i zarazem uwidacznianiu jego uzależnień od rzeczywistości zewnętrznej sprawą wydawałoby się nie podlegającą kwestii staje się połączenie powracających badań tematycznych z konstatacjami intertekstualistów. Zwłaszcza instruktywne byłoby sięgnięcie do Riffaterre'a. Tymczasem powiązań tego typu, jak dotąd, jest niewiele.

Przesadą byłoby twierdzić, że sugestii takich, czy bezpośrednich odniesień, w ogóle nie da się znaleźć. Owszem, pojawiają się tu i ówdzie, ale raczej na zasadzie poręcznej w danej chwili terminologii (Hamon, Steiner), czy w sferze wstępnych i mało zobowiązujących postulatów (Ziolkowsky, Klein — w sposób zdecydowany, Ziolkowsky — wymienia jedynie Riffaterre'a). Czy postulaty te zostaną wykorzystane pokaże najbliższa przyszłość, na razie pozostaje jedynie stwierdzić, że to intertekstualiści bardziej zainteresowani są badaniem tematu, niż neotematycy intertekstualnością.

Perspektywie historycznej towarzyszy zatem wyraźna świadomość zależności badanych zjawisk od podmiotu poznającego. Taki właśnie — by tak rzec — uzależniony od działań tematyzujących temat staje się pojęciem wykraczającym poza literaturę. Jeśli przyjąć, że tematy krążące w społeczeństwie przyjmują w dziele literackim jedno ze swoich wcieleń czy manifestacji, okaże się, że sposób ich ekstrapolowania z tekstów zależy zarazem od sposobów „tematyzowania" świata, te z kolei od danego socjolektu (tu także przydatna byłaby teoria Riffaterre'a). A więc: akcentując niemożność uwolnienia się od językowego pośrednictwa, można by powiedzieć, że aktywność tematyzująca zależy od sposobu poznania świata, nakładania nań kategorii poznawczych.[27]

---

[27] Nie wnikając w zasady jej fortunności — a tylko wskazując na pewne korzyści, które mogłyby tu dać niektóre przynajmniej koncepcje formułowane na gruncie pragmatyki, np. teoria relewancji.

Taki punkt wyjścia da się dostrzec w rozprawie Menachema Brinkera[28], który sięga bezpośrednio do Wittgensteinowskich kategorii, czy w tekście M. L. Ryan.[29] Badaczka określając narracyjne tematy wychodzi od kategorii kognitywnych służących pojmowaniu zdarzeń fabuły i właśnie określaniu tematu, otwiera w ten sposób drzwi do takiego nań spojrzenia, które — jak się zdaje — bliskie byłoby wielu neotematykom.

Oczywiście, można byłoby przecinać teksty głosicieli powrotu krytyki tematycznej wzdłuż wielu płaszczyzn, aby następnie w obrębie tego, co wspólne szukać wewnętrznych zróżnicowań. Oto dla przykładu kilka takich cięć: gdyby interesował nas problem inwencji metodologicznej należałoby powiedzieć, że dla jednych ważna jest tradycja (np. teoria toposów F. Orlando), inni szukają nowych rozwiązań (teoria sztucznej inteligencji — M. L. Ryan).

Gdyby z kolei przekroić teksty wzdłuż osi, którą można by nazwać zaangażowaniem emocjonalnym autorów zobaczylibyśmy z jednej strony zachętę, aprobatę, czy nawet entuzjazm, z drugiej jednak (czasem u tych samych autorów) ostrzeżenia i wątpliwości. Obok głosów popierających badania tematyczne dają się słyszeć przestrogi.[30] Znamienne wydają się te, które opisuje Philippe Hamon w artykule *Thème et effet de réel*.[31] Otóż analizuje on literackie sposoby kontestowania, odrzucania tematu, bada „nieużyteczne detale" potęgujące efekt realności (oczywiście w sensie tego pojęcia według Barthesa) w dyskursie realistycznym. Przy okazji jednak uwydatnia „opresywny" i „totalizujący" charakter wszelkiej praktyki tematyzującej.

Nie podlega zarazem kwestii, że na wszystkich działaniach nazywających kładzie się dziś cień sceptycyzmu. Propagatorzy powrotu krytyki tematycznej też nie mają złudzeń, iż poprzez tematyzowanie, badanie tematów dotrą do prawdy.[32]

---

28 M. Brinker *Theme and Interpretation*, w: *The Return...*

29 M. L. Ryan *In Search of the Narrative Theme*, w: *The Return...*, s. 169–191.

30 Jak na przykład u Davida Perkinsa, który w artykule *Literary Histories and the Themes of Literature* podkreślając niezinstytucjonalizowany charakter tematu i pewną swobodę w jego interpretacji dostrzega zarazem zgubne skutki skrajnie pojmowanej wolności badacza, w: *The Return...*, s. 109–121.

31 Ph. Hamon *Thème et effet de réel...*

32 Bezpośrednio daje wyraz temu przekonaniu Sander L. Gilman w tekście *Themes and the Kernel of Truth*, w: *The Return of...*, s. 294–297.

Renesans krytyki tematycznej ogłaszany po wielokroć przez jej zwolenników zmusza do namysłu nad dziejami koncepcji teoretycznoliterackich. Tytułowy „powrót" każe się zastanowić, czy aby nie rządzą nimi prawa, które dałoby się ująć za pomocą metafor „koła" lub „spirali" łączonych zazwyczaj z „powrotem". Ale zawarta w metaforze koła sugestia bezproduktywnego powrotu do punktu wyjścia byłaby niesprawiedliwa. Powracająca tematyka krytyczna nie oszałamia wprawdzie nowatorstwem, raczej w wielości i różnorodności szuka swej siły, jest wszakże w wyraźny sposób inna od swej poprzedniczki. Z kolei metafora spirali nęcąca dzięki swej funkcji terapeutycznej, z pewnością bowiem poprawiłaby samopoczucie teoretyków literatury, obarczona jest jednak grzechem nadmiernego optymizmu. Pozostaje więc jedynie cieszyć się stanem współistnienia wielu koncepcji, któremu powroty właśnie mogą się przysłużyć.
Zmieniając zatem krąg metafor z przestrzennych na czasowe dodać należy, że każdy powrót utrudnia mówienie o schyłku, czy zmierzchu teorii, a już na pewno nie pozwala orzekać jej śmierci.

Anna Łebkowska

Kilka uwag o *Studiach i rozprawach* oraz Pani Profesor

Wydanie zbioru[1] prac Marii Renaty Mayenowej stanowi dogodny pretekst do przypomnienia postaci i dorobku literaturoznawczego Pani Profesor, jak się zwykło Ją nazywać w prowadzonej przez Nią Pracowni Poetyki Teoretycznej i Języka Literackiego IBL. Książka gromadzi prace często trudno dostępne, rozproszone po czasopismach i tomach zbiorowych. Jest to przede wszystkim wybór tekstów z dojrzałego okresu twórczości Autorki, gdy zajmowała się zagadnieniami stylu, językiem poetyckim, spójnością tekstu, strukturą i funkcją form wierszowych. Czytelnik znajdzie tu też omówienie rosyjskich propozycji teoretycznych w zakresie form poetyckich, analizę koncepcji literaturoznawczych Koła Praskiego,

[1] M. R. Mayenowa *Studia i rozprawy*, oprac. A. Axer, T. Dobrzyńska, Wydawnictwo IBL i Ossolineum, Warszawa–Wrocław 1993.

wypowiedzi o perspektywach rozwoju współczesnej poetyki oraz o jej ograniczeniach. Dołączona do tomu obszerna bibliografia prac Mayenowej (267 pozycji) daje wyobrażenie o naukowych osiągnięciach autorki, która — jak mawiała — całe swoje życie poświęciła wiedzy o literaturze i języku.

Wielkość dzieła i jego powszechnie znana wartość dla polonistyki i literaturoznawstwa w niczym nie ułatwia pracy recenzenta, przeciwnie, raczej ją utrudnia. Wydaje się bowiem, że nie sposób powiedzieć o Mayenowej niczego nowego, o czym nie wiedzieliby jej liczni współpracownicy, uczniowie i przeciwnicy — ci także przecież istnieli, gdyż Pani Profesor jako człowiek o wyrazistej osobowości naukowej prowokowała spory, czasem wzbudzała nawet zawiść. Nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko odważyć się i wypowiedzieć kilka subiektywnych uwag o Osobie i Dziele w taki sposób, w jaki te dwa dopełniające się byty zaistniały w mojej pamięci.

Maria Renata Mayenowa, która przez całe życie z niezmiennym zapałem podejmowała coraz to nowe prace badawcze, pozostała wierna orientacji naukowej obranej już w latach studiów na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Podstawowym przedmiotem Jej badań był język w swych różnorakich postaciach, zatem polszczyzna XVI wieku i język tekstów literackich z różnych epok i gatunków. Poetyka, którą się zajmowała, znajdowała podstawę i oparcie w lingwistyce, co w naturalny sposób wynikało z założenia, że język sztuki jest mową osobliwego rodzaju, nadbudowaną nad językiem etnicznym i konwencjami komunikacji potocznej. Takie myśli formułowała Mayenowa wielokrotnie:

> Podstawowym systemem znaków funkcjonujących w tekście jest język naturalny: gramatyka języka w Saussure'owskim sensie tego słowa jest przedmiotem językoznawstwa w ogólnie przyjętym i utartym znaczeniu. Natomiast wszelkie sposoby funkcjonowania języka w określonych typach tekstów są przedmiotem zainteresowania poetyki. Ponieważ poetyka musi posługiwać się kategoriami językoznawczymi dla opisu szeregu interesujących ją zjawisk, musi ona operować z pełną swobodą rezultatami językoznawczego opisu.[2]

Poetyka Mayenowej kieruje się w stronę strukturalizmu. W swych badaniach Autorka korzystała z osiągnięć uczonych związanych z tą orientacją i przetwarzała różne wątki ich myśli, w upodobaniach tych nie była jednak ortodoksyjna. Korzystała z prac formalistów rosyj-

---

[2] M. R. Mayenowa *Badania w dziedzinie poetyki*, „Biuletyn Polonistyczny" 1977 z. 3, s. 114.

skich i z idei strukturalizmu praskiego, przede wszystkim zaś czerpała inspiracje badawcze z dzieła Romana Jakobsona, któremu pozostała intelektualnie wierna. Mayenowa nie należała do tych, którzy swoje fascynacje trzymają w ukryciu przed światem, i był to chyba jeden z powodów spopularyzowania w Polsce, przy wyraźnym udziale Pani Profesor, rosyjskiego i praskiego strukturalizmu, później zaś tartusko-moskiewskiej semiotyki kultury. Dzięki Mayenowej ukazały się w końcu i u nas tłumaczenia najważniejszych chyba artykułów Jakobsona z 7-tomowej edycji *Selected Writings*. Swój stosunek do tego uczonego wyraziła Mayenowa najpełniej we wstępie do polskiego, 2 tomowego wydania jego pism, w którym przedstawiła zasługi badacza dla lingwistyki i poetyki.[3] Mayenowa skłonna była bez zastrzeżeń podpisać się pod wypowiedzianą przez Jakobsona formułą: *Linguista sum et nihil linguistici a me alienum esse puto*, powtarzając za nim mówiła o sobie, że po prostu jest „filologiem". Wstępy do dzieł naukowych mają to do siebie, że nie znajdujemy tam na ogół osobistych wyznań autora, warto więc może powiedzieć, że Jakobson istniał w intelektualnym życiu Pani Profesor (i jej otoczenia) na specjalnych prawach. Przede wszystkim był postacią, której raczej nie należało krytykować, każdy bowiem kto starał się w jakikolwiek sposób podważać jego autorytet, z miejsca sam narażał się na krytykę. Był też Jakobson tematem powtarzanych co pewien czas anegdot i opowieści, przez co, dla tych, którzy go osobiście nie znali stawał się postacią istniejącą realnie, nie zaś legendarnym autorem, żyjącym w niedostępnych komnatach lingwistycznego zamczyska. Można dodać, że także inne „wielkie osobowości" ze świata nauki w otoczeniu Marii Renaty Mayenowej przybierały zupełnie konkretną postać, przeważnie wówczas, gdy pojawiały się w sposób jak najbardziej rzeczywisty w mieszkaniu Pani Profesor. I wreszcie — poprzez dzieło Jakobsona można było dotrzeć do całej lingwistyki światowej, gdy bowiem np. przeczytało się to, co miał do powiedzenia na temat Peirce'a, trudno było nie sięgnąć po samego Peirce'a.

Kolejnym ważnym źródłem inspiracji badawczych były z pewnością dla Mayenowej pomysły z zakresu semiotyki sztuki i teorii kultury wypracowane przez szkołę tartuską i ośrodek moskiewski. Pani Pro-

---

[3] R. Jakobson *W poszukiwaniu istoty języka*, wybór, red. naukowa i wstęp M. R. Mayenowa, Warszawa 1989, t. 1–2.

fesor wysoko ceniła prace Łotmana, Uspienskiego, Iwanowa, Toporowa, z którymi również osobiście (dzięki stypendium Fundacji Forda) mogła nawiązać kontakty i wymieniać poglądy. Odnosiło się zresztą wrażenie, że Mayenowa znała wszystkich uznanych w świecie badaczy języka i kultury, co, oczywiście, nie mogło być do końca prawdą. O tym, jak ważne i wybitne były jej zdaniem prace powstałe w kręgu semiotyki z Tartu, świadczyć może fakt, że poglądom na temat semiotyki poezji, które powstały wśród tych właśnie uczonych, poświęciła osobny rozdział *Poetyki teoretycznej* oraz wielokroć nawiązywała do nich w oddzielnych artykułach. Inspiracje semiologiczne sprawiły, że Mayenowa zapuszczała się chętnie poza granice sztuki słowa po to, aby zanalizować i opisać swoistości takich tekstów semiologicznych jak mapa, diagram czy rysunek alegoryczny. Ci, którzy znali Panią Renatę wiedzieli, że była umysłowością otwartą i chłonną, zawsze gotową do uczenia się wszystkiego, co dałoby się wykorzystać w pracy badawczej. Trafnie napisał o Niej przed laty Janusz Sławiński w artykule wstępnym do „Tekstów":

Jej postawę cechuje optymizm poznawczy: wiara, że istnieje — schowane gdzieś — źródło wiedzy niespornej, dającej szansę ostatecznego wytłumaczenia zjawisk poddawanych oglądowi i ustalenia, czym naprawdę są. Gdyby się przypadkiem okazało, że dla określenia kryteriów spójności tekstu wielozdaniowego miałaby znaczenie znajomość jakichś (powiedzmy) procesów biochemicznych, być może wpływających — poprzez niezliczone poziomy pośrednie — na ową spójność, Pani Mayenowa niezawodnie zwróciłaby się z nadzieją w stronę biochemii. Rozpoczęłaby od gorliwego uczestnictwa w cotygodniowych seminariach prowadzonych przez wybitnego przedstawiciela tej dyscypliny — w odległym mieście, do którego dojazd jest wysoce uciążliwy...[4].

Pamiętam z rozmów z Panią Profesor, że ta opinia bardzo się Jej spodobała.

Inspiracja lingwistyczna i podniety intelektualne płynące z badań semiotycznych przyczyniły się z pewnością do skrystalizowania szczególnie Jej bliskiej problematyki badawczej. Trzeba w tym miejscu wspomnieć o teorii spójności tekstu i koncepcji dzieła literackiego jako monologu. Problematyka spójności tekstu wielozdaniowego, a w szczególności zagadnienie spójności tekstów artystycznych, pojawiły się w pracach Mayenowej jako efekt zajęcia się sprawami związanymi z funkcjonowaniem w wypowiedzi struktur ponadzdaniowych,

---

[4] J. Sławiński *M R M*, „Teksty" 1980 nr 2, s. 6.

a dalej, pragmatycznymi aspektami komunikowania, nie tylko literackiego. Ten typ zainteresowań doprowadził do ponownego przemyślenia i opisu mechanizmów wymiany informacji pomiędzy nadawcą a odbiorcą w procesie komunikowania oraz do sformułowania głównych tez z zakresu spójności tekstu literackiego. Podstawowe przemyślenia na te tematy zawarła Mayenowa w wypowiedziach z lat 70.; myślę tu o artykułach *Spójność tekstu a postawa odbiorcy* oraz *Teoria a tradycyjne zagadnienia poetyki*. Teoria spójności zakładała, że wypowiedź wielozdaniowa (pisana) jest tekstem spójnym, jeżeli realizuje zasadę „trzech jedności": tematu, nadawcy i odbiorcy (oczywiście chodzi tu o tożsamość ról komunikacyjnych). Taka koncepcja spójności stała się podstawą sformułowania „przytoczeniowej" koncepcji dzieła literackiego. Upraszczając całe zagadnienie, przypomnę jej główne założenia. Utwór literacki jest zwykle tekstem, którego mechanizmy spójności nie są do końca podane w sposób eksplicytny, a więc jest obiektem gry komunikacyjnej, toczącej się między nadawcą a odbiorcą. Nadrzędną strukturą tekstu literackiego jest monolog, zaś sam tekst literacki to tekst, „który nie może się oprzeć bezpośrednio na niejęzykowej rzeczywistości widocznej dla nadawcy i odbiorcy".[5] Skoro monolog jest nadrzędną strukturą tekstu literackiego, to wszelkie innorodne struktury wchodzące w skład utworu, takie jak dialog, rozmowa, mowa zależna czy niezależna, powinny być traktowane jako przytoczenia wprowadzane do tekstu na zasadach cytatu. Sądzę, że zainteresowanie zagadnieniami spójności i koncepcja monologowej natury tekstu literackiego wyznaczają swoiste cechy prac teoretycznych Pani Profesor, wyróżniają Ją przy tym z grona innych przedstawicieli polonistyki zorientowanej strukturalnie, czy szerzej — semiologicznie.

Pani Profesor była nieustannie ciekawa wszelkich interdyscyplinarnych nowości, nic zatem dziwnego, że w jej gościnnym mieszkaniu można było spotkać znanego lingwistę, początkującego semiologa, a folklorysta z filologiem klasycznym i specjalistą z dziedziny afazji rozprawiali o interesujących ich aktualnie tematach. Miejsce zajmowane w tzw. świecie nauki było w tym wypadku sprawą mało ważną, istotne było, co nowego miał ktoś do powiedzenia.

Maria Renata Mayenowa podejmowała różnego rodzaju inicjatywy,

---

[5] M. R. Mayenowa *Poetyka teoretyczna. Zagadnienia języka*, Wrocław 1974, s. 290.

prace edytorskie i redakcyjne, których wielość trudna jest do wyobrażenia. Za jej sprawą pojawili się w Polsce uczeni tej miary, co Benveniste, Apresjan, Uspienski, Daneš. Pani Profesor toczyła boje o publikację *Dzieł wszystkich* Jana Kochanowskiego.
W *Studiach i rozprawach* zawarte są wszystkie najważniejsze wątki zainteresowań badawczych Mayenowej, ciągle też obecne w świadomości różnych pokoleń literaturoznawców, pomimo zmieniających się mód i koniunktur. Sądzę, że powinna to być książka z repertuaru podstawowych lektur polonisty. Mayenową znać bowiem trzeba, choć niekoniecznie ze wszystkim, co napisała należy się zgadzać.

Zbigniew Kloch

Literatura a ideologia. Debata w Ameryce

Zajmowanie się ideologią jest jedną z najbardziej w ostatnich latach dominujących praktyk w krytyce i teorii literatury w Stanach Zjednoczonych. Twierdzenia, że każda wypowiedź zostaje ukształtowana przez ideologiczne poglądy jej autora i że nie istnieje nic takiego, co można by nazwać absolutnym, bezstronnym stwierdzeniem faktu, gdyż każdy punkt widzenia jest zdeterminowany splotem społecznie uwarunkowanych okoliczności, są dla wielu badaczy niepodważalne. Twierdzenia tego typu wyznaczają sposób rozumienia literatury i podejścia do zjawisk literackich.
Zainteresowanie ideologią w odniesieniu do literatury jest w dużej mierze wynikiem określonej sytuacji społecznej. Spory i dyskusje na temat literatury i ideologii są bowiem częścią powszechnej debaty wokół sytuacji kryzysu politycznego, ekonomicznego, społecznego, moralnego i umysłowego, który ogarnął dzisiejszą Amerykę. W toczącej się debacie biorą udział przedstawiciele różnych dyscyplin, wypowiadający się bardzo często również na temat literatury. Prowokuje ich do tego postawa wielu krytyków, którzy podważając autonomiczność literatury czynią ją narzędziem własnej kampanii ideologicznej. Ich dość powszechna praktyka poszukiwania w tekście literackim doraźnych odniesień do rzeczywistości ma dla refleksji o literaturze zubożający raczej skutek. Każda wypowiedź staje się ideologicznym

wystąpieniem wykraczającym najczęściej daleko poza ramy konkretnego utworu literackiego lub wpisującym weń obce znaczenia. Takie traktowanie przedmiotu przez krytyków, teoretyków i historyków literatury budzi niepokój. Może mniejszy, gdy się myśli o zawsze żywej na Zachodzie socjologicznie i historycznie ukierunkowanej krytyce marksistowskiej — większy, gdy się zauważa, że poszukiwanie ideologii w literaturze jest głównym trendem w wielu innych nurtach badań literackich. W istocie krytyka marksistowska w Stanach Zjednoczonych jest bardzo prężna i stale się rozwija, jest jednak tylko częścią wielkiego ruchu propagującego „zideologizowane" podejście do literatury. Cały ów ruch jest mniej lub bardziej lewicujący i wykorzystuje założenia i osiągnięcia krytyki marksistowskiej. Jest jednak bardziej niż ona zróżnicowany i ma o wiele szerszy zasięg. Częścią tego ruchu będzie przede wszystkim tzw. krytyka lewicowa z jej różnymi odcieniami — tymi, które zbliżają ją do radykalnego marksizmu (jak np. neomarksizm o europejskich korzeniach) i tymi, które bronią jej humanistycznego, bardziej tradycyjnie nastawionego podejścia do literatury (np. „postmarksistowska" krytyka kultury). Do omawianego ruchu należeć też będą odłamy czy też całości dawno już ukształtowanych, odrębnych lub dopiero zdobywających swe miejsce nurtów badań literackich: psychoanaliza, poststrukturalizm, dekonstrukcjonizm, *New Historicism*, feminizm, „czarna estetyka".

Burzliwy i kontrowersyjny ton wystąpień wszystkich stron ruchu lewicowego zmusił do wypowiedzi przedstawicieli innych szkół krytyczno- i teoretycznoliterackich. Sytuując się z dala od ideologicznych uwikłań i występując w obronie autonomiczności literatury, reprezentanci — przykładowo — hermeneutyki, strukturalizmu czy fenomenologii sami stali się przedmiotem częstego ataku. Ich kontrargumenty stanowią ważny głos przypominający uczestnikom debaty o ideologii i literaturze o tym, co jest właściwym przedmiotem refleksji krytycznoliterackiej i jaka jest jej rzeczywista natura.

Przyczyn powstania owej debaty należy szukać — co zrozumiałe ze względu na jej problematykę — w sferach daleko wykraczających poza zjawiska literackie, a sięgających w głąb stale zmieniającej się struktury społeczeństwa amerykańskiego. Rosnące zróżnicowanie etniczne i kulturowe, coraz większą aktywność grup reprezentujących rozmaite mniejszości, domagające się specjalnych uprawnień — czy to dla kobiet, czy ludności murzyńskiej, dla homoseksualistów czy

ludzi niepełnosprawnych, to tylko przykładowe zjawiska ilustrujące charakter tych zmian. Kryzys, który ogarnął Amerykę, jest między innymi wynikiem zaostrzających się sprzeczności interesów różnych grup społeczeństwa. Zróżnicowanie kulturowe, etniczne, rasowe, klasowe, grupowe w coraz większym stopniu staje się wartością ujemną. Idea, która miała potężne państwo demokratyczne scalać i umacniać, przybiera formę siły odśrodkowej, która społeczeństwo dzieli i osłabia. Podważona zostaje amerykańska tradycja współdziałania wszystkich obywateli na rzecz wspólnie dzielonych ideałów. W konflikcie interesów różnych grup zachwianiu ulegają również inne tradycyjne wartości. Ideologia wielokulturowości i zróżnicowania etnicznego, kwestionuje przede wszystkim ideały tworzące podstawy demokracji amerykańskiej. Twierdzenia o równości i jednakowej ważności różnych kultur, o potrzebie „dowartościowania" wszystkich grup narodowościowych i etnicznych, wiodą do swoistego relatywizmu, a w konsekwencji do podważenia kultury, która jest rzeczywistą podstawą egzystencji państwa i narodu. Stawiane są bowiem pytania o sensowność „zasług" cywilizacji Zachodu i ukształtowanych przez zachodnią tradycję kulturową systemów wartości. Podaje się w wątpliwość funkcjonujące w tej tradycji od wieków pojęcia racjonalności i prawdy, odrzuca się ustalone sposoby poznawania i rozumienia rzeczywistości. Negacja, jaką głosi ideologia wielokulturowości, umożliwia jej rzecznikom sformułowanie najbardziej nawet skrajnych wniosków: kultura zachodnia to system opresyjny białych mężczyzn, którzy w imię postępu i rozumu zdominowali całą Ziemię; cywilizacja zachodnia jest przestarzałym, a nawet reakcyjnym produktem europejskim, reprezentującym siły nacisku i dominacji nad innymi kulturami, narodowościami, rasami, klasami.

Ideologiczna kampania skierowana przeciwko kulturze Zachodu jest częścią sporu o kształt społeczeństwa amerykańskiego. Spór ten dotyka wszystkich sfer życia, a skoro jest — ogólnie mówiąc — debatą o wartościach, to w szczególnie jaskrawy sposób przejawia się w humanistyce. Problemy, jakie się tu stawia, dotyczą potrzeby zrewidowania roli edukacji i uniwersytetu w społeczeństwie oraz konieczności wprowadzenia innego rozumienia nauki i sztuki. W krytyce i teorii literatury te kwestie są sprowadzane do dość radykalnego sformułowania, że w etnicznie zmieniającym się społeczeństwie nie

można tekstów czy to dawnych, czy współczesnych odczytywać na stare sposoby.

Zdaniem znacznej części krytyków – przedstawicieli krytyków ruchu lewicującego[1] – owe „stare" sposoby, pomijając „ustosunkowanie się" tekstów do rzeczywistości społecznej, fałszują literaturę. Widoczne jest to, na przykład, w ignorowaniu tak ważnego dla jej istnienia zjawiska, jakim jest obecność autora. Pomijanie zawartych w tekście odniesień do autora – twierdzą ci krytycy – uniemożliwia dostrzeżenie tego, że literatura jest odbiciem wartości wyznawanych w danym społeczeństwie, stosunków w nim panujących i jego struktury władzy. Autor jako przedstawiciel tego społeczeństwa jest bowiem wyrazicielem jego systemu wartości – i to nawet wówczas, gdy owemu systemowi się przeciwstawia.

Rzeczników zideologizowanego podejścia do literatury interesuje w dziele wyłącznie to, co pozwala widzieć w nim przekaz idei. Odniesienia do autora to jeden z tych właśnie elementów. Inny – to oczywiście sama tematyka utworu. Ona bezpośrednio odsyła do świata idei i do kontekstu pozaliterackiego. Zainteresowanie tematyką, przy pominięciu problemów struktury czy środków artystycznego wyrazu zastosowanych w dziele, pozwala krytykom posłużyć się tekstem literackim dla przeprowadzenia dociekań kulturowych, społecznych, politycznych, ekonomicznych. Zasadność takiego podejścia może i w dużym stopniu byłaby słuszna, gdyby nie błędne założenie, że ów tekst da się czytać w taki sam sposób, jak każdy inny rodzaj pisarstwa. Literatura w praktyce krytyków zostaje bowiem zrównana z tekstami gazet, czasopism, dokumentów, reklam, poradników seksuologicznych. Typowe tylko dla dyskursu literackiego spiętrzenie znaczeń zostaje sprowadzone do publicystycznej jednoznaczności i jest odczytywane literalnie. Poszukiwanie idei przez krytyków wydaje się przy takim podejściu możliwe, problem tylko w tym, że wielce zubożające dla tekstu literackiego.

W postawie krytyka zainteresowanego ideologicznym aspektem literatury można zauważyć stale eksponowane „rewizjonistyczne" nastawienie. Wyrażają je twierdzenia typu: właściwym tematem danej

---

[1] Spośród bardzo wielu nazwisk przedstawicieli ruchu warto wymienić choćby kilka: Gerald Graff, Jonathan Goldberg, Stephen Greenblatt, Frederic Jameson, Frank Lentricchia, Barbara Johnson, Paul Brown.

powieści, wiersza czy dramatu nie jest to, co za temat ten powszechnie się uważa, ale zupełnie coś innego. Poddając więc literaturę swoistej „rewizji" i dostosowując ją do własnych przekonań i potrzeb, krytycy podkreślają wagę takich problemów, jak rola płci, koloru skóry i przynależności klasowej bohatera, autora i czytelnika dzieła, jak funkcja przedstawień niesprawiedliwości społecznej czy elementów rasizmu, mizoginii, kolonializmu w konkretnym utworze literackim. W większości ujęć krytycznych okazuje się, że są to centralne zagadnienia nawet dla tych dzieł, które trudno raczej podejrzewać o tak ideologiczną jednostronność tematu, mowa bowiem o dialogach Platona, dziele historycznym Tucydydesa, sztukach Szekspira, prozie Prousta. Tendencyjność i rewizjonistyczna postawa popycha krytyków do wyciągania bardzo czasem niespodziewanych wniosków. Kierowani przekonaniem, że literatura utrwala ideologiczne poglądy jej twórców i że jest odbiciem warunków społecznych, w których żyli, potrafią stwierdzić, iż Joseph Conrad był rasistą (patrz: *Jądro ciemności*), a Szekspir apologetą ekonomicznej eksploatacji kobiet i społecznej dominacji mężczyzn nad nimi (rzekomy temat *Burzy*). Uwaga o Szekspirze ujawnia główny przedmiot zainteresowania przedstawicieli krytyki feministycznej. Definiując literaturę jako wyraz politycznej dominacji jednej grupy społecznej (tu: mężczyzn) nad drugą (kobiet) i jako narzędzie utrwalania interesów grupy panującej, krytycy ci — wydaje się — tworzą nieświadomie fałszywie jednostronne, spłycone, a nawet wulgaryzujące interpretacje. W poezji Emily Dickinson przepełnionej obrazami pączkujących kwiatów doszukują się zakodowanego feministycznego przesłania o gniewnym odrzuceniu dominacji seksualnej mężczyzn i o triumfie aktu masturbacji łechtaczkowej. Pogodny ton prozy Jane Austin ma ukrywać bezgraniczne oburzenie na patriarchalny układ ról w społeczeństwie, którego niesprawiedliwość rzekomo ilustrują drugoplanowe negatywne postaci powieści. Natomiast przy lekturze *Wichrowych wzgórz* Emily Brontë nie należy przeoczyć jakże ważnej dla feministycznej interpretacji sceny pogryzienia bohaterki przez buldoga–psa, a nie buldoga–sukę. Zainteresowanie literaturą jako przekazem idei, zrównanie jej z innymi rodzajami dyskursu, tendencyjne i rewizjonistyczne podejście do niej i definiowanie jej jako odzwierciedlenia warunków społecznych pokazuje, jak jedynie ważne w refleksji teoretycznoliterackiej zagadnienia estetyki mogą zostać wyparte przez obce sztuce problemy poli-

tycznego zaangażowania. Kwestie estetycznej oceny i wartości dzieła literackiego są przez krytyków podawane w wątpliwość. Liczy się nie oryginalność wypowiedzi, nowatorstwo stylu, doniosłość tematyki czy jej ponadczasowość, ale waga dzieł ze względu na ich historyczne znaczenie, społeczne oddziaływanie, kulturową odrębność i polityczną ortodoksyjność. Dlatego też rzecznicy zideologizowanego podejścia do literatury sięgają po rzekomo „zaniedbanych" dotąd autorów, których dzieła z estetycznego punktu widzenia często nie przedstawiają dużej wartości, ale stają się ważne, gdy weźmie się pod uwagę ich społeczną „pozycję". Pisze się więc rozprawy i wygłasza wykłady na temat utworów pisarzy z krajów Trzeciego Świata, autorów wywodzących się z mniejszości etnicznych, twórców reprezentujących rozmaite ugrupowania społeczne, skrajne orientacje polityczne i obyczajowe. Najwięcej uwagi poświęca się literaturze murzyńskiej i kobiecej oraz pisarstwu homoseksualistów i lesbijek. Wraz z zainteresowaniem takimi autorami sięga się po specyficznie określoną problematykę. Powieść gotycka okazuje się gatunkiem szczególnie podatnym na rewizjonistyczną analizę psychoanalityczną i feministyczną. Literaturę romansową i sensacyjną czyni się atrakcyjnym tematem prac krytyki lewicowej, stawiających sobie za cel przywrócenie refleksji wokół pewnych „zaniedbanych" zagadnień społecznych literatury. W tym szczególnym doborze autorów i problematyki trudno o miejsce dla zagadnień oceny i estetycznej wartości dzieła literackiego. Estetyczna wartość — twierdzą krytycy zainteresowani ideologicznym aspektem literatury — nie jest cechą immanentną dzieła. Jest natomiast stwarzana przez określone grupy społeczne, które — posługując się wyznaczonymi przez siebie kryteriami — wykorzystują dzieła literackie dla własnych celów. Oznacza to, że wartość jest pojęciem względnym i uzależnionym od historycznych okoliczności. Tak rozumując, krytycy w swej praktyce odrzucają ostatecznie kwestie oceny i wartości. W problemach estetyki widzą narzędzia walki politycznej uprzywilejowanych grup społecznych. Skoro wartość literatury jest kwestią umowną i zależy od tego, kto sprawuje władzę lub kto pełni inną podobną rolę w społeczeństwie, celem estetyki musi być utrwalanie starych struktur politycznych służących dalszemu wymuszaniu posłuszeństwa od tych, którzy nie należą do uprzywilejowanych grup społecznych. Owo uczynienie z estetyki zagadnienia lewicowo pojmowanej polityki i traktowanie

literatury nie jako zjawiska estetycznego, ale materialnego świadectwa rejestru walki politycznej, jest szczególnie ostro widoczne w krytyce feministycznej i częściowo w krytyce dekonstrukcyjnej.
Każda próba lektury dzieła literackiego według takich założeń przedstawia się jako akt polityczny — dla przykładu: wyzwolenie kobiet–pisarzy z rzekomej opresji patriarchalnych standardów literackich. Potępienie i odrzucenie definiujących literaturę powszechnie uznanych i sprawdzonych norm prowadzi do sytuacji, w której estetyczna ocena i krytyka jakiegoś tekstu podjęta przez przedstawicieli innych szkół krytycznych jest interpretowana jako atak polityczny grupy panującej. Gdy tak się zdarzy, że autorem krytykowanego tekstu jest kobieta, wtedy jednoznacznie taki atak jest działaniem, które pod hasłem „estetyka i normy literackie" broni struktur politycznego zniewolenia ustalonych przez mężczyzn. Demaskowanie tych struktur jest jednym z zadań, które wyznacza sobie krytyka feministyczna. Tego samego pojęcia trzeba użyć, gdy mowa o praktyce dekonstrukcjonistów. Wprawdzie jest tu odnoszone częściej do inaczej sformułowanych problemów, staje się jednak równie podstawowym zabiegiem dekonstrukcyjnym. Zajmowanie się problemem znaczenia tekstu, pokazywanie, że tekst nie jest koherentną całością gdy chodzi o jego semantykę, dowodzenie błędności założeń o niezmienności znaczenia przypisanego tekstowi otwiera drogę do swoistego politycznego „odszyfrowywania" literatury. Podważenie jej autorytetu przez krytyków dekonstrukcjonistów zezwala czy to im, czy przedstawicielom innych nurtów krytycznoliterackich — w szczególności tym, którzy próbują godzić założenia dekonstrukcjonizmu, marksizmu, feminizmu i psychoanalizy — na rewizję i odrzucenie ustalonych pojęć, kryteriów i norm. Zarazem próby użycia innych narzędzi myślenia o literaturze nie przynoszą udanych rozwiązań. Oponenci rzeczników zideologizowanego podejścia do literatury słusznie wskazują, że oni wszyscy są zbyt zaabsorbowani problemami polityki i ideologii, aby móc wysunąć nowe, wiarygodne pojęcia, kryteria i normy, które dałyby się odnieść do literatury. Odrzucenie dotychczas sprawdzonych narzędzi i brak nowych ogranicza w większości przypadków możliwość sensownej wypowiedzi na temat literatury. Postawienie obok siebie, na przykład, *Ulissesa* i *Narrative of the Life of Frederick Douglass, an American Slave* i próba ich porównawczej ewaluacji staje się dla zainteresowanych ideologią krytyków sytuacją nie do przyjęcia. Zastosowanie tych

samych kryteriów literackości do obydwu utworów jest — ich zdaniem — bulwersującym nadużyciem; tekst Douglassa należy bowiem ująć w innych, właściwych tylko takiemu tekstowi, kategoriach. Najdalej w swoim definiowaniu krytycy posuwają się, gdy zaczynają mówić o tak niejasnych i dalekich od literatury pojęciach, jak historyczne znaczenie, kulturowa odrębność, polityczna ortodoksyjność. Rewizjonistyczne nastawienie krytyków przyczynia się do zaognienia dyskusji wokół problemu kanoniczności dzieł literackich. Pytania, jakie się tu stawia, są następujące: dlaczego arcydzieła czy wielkie dzieła literatury są uznawane za takie? Czy ustalony kanon dzieł klasycznych nie ma na celu utrwalenia dominującej w społeczeństwie ekonomicznej i politycznej roli przedstawicieli określonej klasy, płci i rasy (czytaj: białych mężczyzn pochodzenia europejskiego)? A skoro kanon literacki, a z nim cała kultura, ma charakter opresyjny i jest instrumentem dominacji, czy nie należy przeciwstawić się temu stanowi rzeczy poprzez zwrócenie się do tekstów dotychczas nie zauważonych i świadomie pomijanych, tekstów będących z całą pewnością ofiarą niesprawiedliwego systemu społecznego? W twierdzących odpowiedziach na to ostatnie pytanie wymienia się jednogłośnie teksty autorów należących do mniejszości etnicznych — kobiet, przedstawicieli skrajnych ugrupowań społecznych, homoseksualistów i lesbijek. W takim doborze autorów ma wyrażać się sprzeciw krytyków wobec idei kanoniczności dzieł literackich, a co za tym idzie — wobec „opresyjnego" charakteru istniejącej struktury społecznej.
Rewizja kanonu jest jednym z naczelnych punktów programu ideologii wielokulturowości. Domagając się „dowartościowania" wszystkich grup etnicznych i ich zróżnicowanych kultur, jej rzecznicy są przekonani, że muszą stale rewidować idee stojące u podstaw kultury dominującej. Zwracają się zatem przeciwko książkom w cywilizacji zachodniej uznanym i podziwianym, żywym i stale wywierającym wpływ. Czynią wszystko, ażeby te książki zdyskredytować, prowadzą na przykład, wielką kampanię na uniwersyteckich wydziałach literatury przeciwko umieszczaniu na listach lektur i w programach nauczania wyłącznie dzieł wielkich klasyków. Poszukują ideologicznego przesłania w każdej powieści, w każdym dramacie i wierszu. Jeśli takiego przesłania dany utwór nie zawiera lub jeśli jego „ideologia" jest sprzeczna z koncepcją wielokulturowości, wówczas poddają go surowej krytyce. To, jak takie podejście do literatury spłyca ją i zuba-

ża, jest widoczne w tych wypowiedziach krytyków, które są wynikiem lektury wielkich dzieł klasyków z perspektywy dnia dzisiejszego. Ich wnioski sprowadzają się do tego, że autor–klasyk nie potrafił przed stuleciami przewidzieć sytuacji ludzkości w końcu XX wieku i jego dzieła dziś odczytywane „rażą" ideologiczną niedojrzałością, wrogością i uprzedzeniami. Stąd biorą się początki twierdzenia rzeczników wielokulturowości oskarżające Miltona i Szekspira o „seksizm", Conrada o rasizm, a Shawa o radykalizm.

W dyskusji o kanoniczności dzieł literackich, jak i w całej debacie o literaturze i ideologii, ważną kategorią jest pojęcie politycznej poprawności czy słuszności. Przyjmowanie takiej opcji w dyskusji jest tylko słabym odbiciem zdumiewającej kariery podejścia ideologicznego w życiu publicznym Ameryki. „Polityczna poprawność" rodzi się z bardzo szlachetnych, humanistycznych przesłanek o obronie praw wszystkich grup społecznych, a zwłaszcza mniejszości etnicznych i obyczajowych. Występując w obronie „pokrzywdzonych" mniej wzniośle jednak nakazuje potępianie „ciemiężców". Powszechną praktyką staje się śledzenie najmniejszego ruchu oponenta, wychwytywanie każdego jego słowa, które „obraża" przedstawicieli grup mniejszościowych. Jako kategoria typowa tylko dla praktyk cenzuralnych, pojęcie politycznej poprawności w skrajnych przypadkach ogranicza, jeśli nie eliminuje, możliwość swobodnej wymiany myśli. Zaś jako kategoria odnoszona do problemu kanoniczności literatury jest zręcznym narzędziem w ustalaniu przez krytyków, czy dane dzieło spełnia wymagania ideologii wielokulturowości. Sprzeniewierzenie się tym wymogom klasyfikuje dzieło jako politycznie czy ideologicznie „niepoprawne", a jako takie nie może być ono uznane za arcydzieło literatury.

Zanegowanie prawideł estetyki i sprzeciw wobec kanoniczności dzieł literackich pokazuje drastyczność stanowiska krytyków zainteresowanych literaturą i ideologią. Przedmiot, którym się zajmują, nie budziłby sprzeciwu – jednak sposób jego traktowania i prezentacja stanowisk wywołuje kontrowersje. Burzliwy charakter krytycznych wystąpień decyduje oczywiście o kształcie toczącej się debaty. To, że do dyskusji poza literaturoznawcami przyłączają się przedstawiciele innych dziedzin, świadczy o rozmiarze kontrowersyjności wystąpień. Najcenniejszym głosem w dyskusji są oczywiście wypowiedzi krytyków, teoretyków i historyków literatury, którzy stają w obronie auto-

nomiczności literatury. Jako narzędzia obrony mają po swojej stronie sprawdzone i przekonujące teorie i metodologie, które umożliwiają traktowanie dzieła literackiego w kategoriach estetyki — a nie ideologii czy polityki. Ich obrona nabiera szczególnej wagi zwłaszcza teraz, gdy wydaje się, że problemy literatury i ideologii stały się naczelnymi kwestiami i przybrały takie rozmiary, że nie podobna mówić o jakimś dziele bez odwołania czy to do ideologii wielokulturowości, czy jakiegokolwiek innego zagadnienia ideologicznego. Podważenie autonomiczności literatury zrodziło szczególnego rodzaju sytuację, w której wypowiadający się o literaturze, niejednokrotnie zniechęceni ideologicznymi uwikłaniami, coraz częściej zwracają się przeciwko teorii literatury i kwestionują znaczenie roztrząsań teoretycznych. Swoją niechęć do teorii uzasadniają prostym stwierdzeniem, że „skażenie" ideologią badań literackich jest wynikiem nadmiernego rozwoju różnych teorii i powstania zbyt wielu teoretycznoliterackich koncepcji. To, że debata wokół problemu „literatura a ideologia" przyczyniła się do powstania swoistego trendu antyteoretycznego, wskazuje, jak wielkie w ostatnich latach panuje zamieszanie w amerykańskiej refleksji nad literaturą.

Główny zarzut wysuwany pod adresem teorii literatury, dotyczy jej użyteczności. Padają twierdzenia, że teoria niewiele wnosi do myślenia o konkretnych dziełach literackich. Z kolei, że jej obecność na uniwersytetach i sposób jej edukacyjnego wykorzystania nie przyczyniają się do niczego innego poza odwracaniem uwagi od właściwego przedmiotu studiów — literatury. Bardzo znamienne w atakach na teorię (a i na krytykę, skoro na gruncie języka angielskiego w badaniach literackich terminy *theory* i *criticism* są tożsame) jest przesadne oddzielanie jej od innych dziedzin literaturoznawstwa, a zwłaszcza od samej literatury. Co ważniejsze — padają źle stawiane pytania — teoria czy konkretne dzieła literackie? Co należy czytać: teksty Barthesa i Greimasa czy też Platona i Cervantesa? Pytający (wśród nich na szczęście osoby nie zajmujące się profesjonalnie przedmiotem) są nieświadomi tego, że nie można wypowiadać się na dany temat bez dysponowania środkami (terminami, pojęciami) umożliwiającymi wypowiedź. Takie pytania mogą być jednak stawiane w obecnej sytuacji, gdy znaczna część głosów krytycznych demonstruje odchodzenie od zagadnień estetycznych literatury ku problemom ideologii i zaangażowania politycznego oraz gdy wypowiedzi o literaturze służą

jedynie ujawnianiu rewizjonistycznych postaw, dekonstrukcyjnych stanowisk i ideologicznych nastawień czy póz krytyków.
Przeciwko podważaniu autonomiczności literatury, przeciwko antyteoretycznemu trendowi, a zwłaszcza przeciwko ich konsekwencjom, tj. zamieszaniu w badaniach literackich, występuje wielu krytyków. Do nich należy Robert Alter, który w książce *The Pleasures of Reading in an Ideological Age*[2] opublikowanej w 1989 roku postawił sobie za cel przypomnienie, jaka jest rzeczywista natura dzieła literackiego, czym jest jego lektura i co jest właściwą nad nim refleksją. Autor opiera swe wywody na prostym założeniu, że aby przeciwstawić się powstałemu zamieszaniu, należy powrócić do samego tekstu literackiego i do jego lektury jako do źródła przeżyć estetycznych. Ubolewając nad konsekwencjami ideologicznego podejścia do literatury Alter posługuje się formułą „zanik lektury", która — jego zdaniem — trafnie ujmuje powstałą sytuację. Posługiwanie się tekstem dla poszukiwania w nim wcześniej przygotowanych tez, podobnie jak odchodzenie od niego w kierunku odległych kontekstów historycznych i ideologicznych, nie świadczą o niczym innym, jak tylko o zmniejszonym zainteresowaniu samą literaturą i o zaniku jej czytania.
Głos Altera, mimo że nie odosobniony nie przeszkodzi praktykom poszukiwania ideologii w literaturze. Jako prężny trend będzie dalej dominowała w wielu nurtach badań literackich w Ameryce — jej obecność bowiem jest uzależniona od sytuacji społecznej i politycznej. Wzrastające zróżnicowanie etniczne i kulturowe społeczeństwa amerykańskiego może tylko pobudzić jeszcze większe zainteresowanie problemami ideologii wobec literatury.
Można sądzić, że tocząca się obecnie debata wpłynie w decydujący sposób na kształt przyszłych sposobów podejścia do literatury w ogóle. Mimo kontrowersyjności i zubożającego traktowania literatury, krytyka o nastawieniu ideologicznym ma swoje racje. Przekonujące są twierdzenia, że nie należy — na przykład — pomijać w jakimś dziele tematyki społecznej czy politycznej, jeśli jest ona wyraźnie obecna. Lewicowo nastawiony krytyk, czołowy przedstawiciel *New Historicism*, Stephen Greenblatt ma słuszność, gdy twierdzi, że nie można do końca zrozumieć *Burzy* Szekspira bez uwzględnienia tkwiących w dramacie problemów rasizmu, mizoginii, czy kolonializmu. Drąże-

---

[2] R. Alter *The Pleasures of Reading in an Ideological Age*, New York 1989.

nie tych problemów jest dla niego „docieraniem do prawdy", a nie podważaniem wartości dzieła czy ignorowaniem jego strony estetycznej. Twierdzi on, że „nie można pomijać bolesnych zmagań o prawa i wartości, o polityczne, etyczne i dotyczące różnic między płciami dylematy, które wielka sztuka wzięła na siebie, by siłując się z nimi próbować je wyartykułować". I dalej: „nasza wielka tradycja kulturowa jest przesiąknięta okrucieństwem, niesprawiedliwością, bólem", i nie należy — kontynuuje Greenblatt — unikać czy porzucać mówienia o tej stronie dziedzictwa kulturowego.[3] Zgadzając się z tego typu twierdzeniami trzeba jednak pamiętać, w jakim kierunku ma zmierzać poznawanie tego dziedzictwa. Interpretacja utworu literackiego podejmowana wyłącznie dla udowodnienia ideologicznego stanowiska — czy też autora, czy krytyka — niewiele, jak widać na podstawie toczącej się debaty, pomaga w owym procesie poznania. Ma więc rację profesor anglistyki na Pennsylvania State University, Christopher Clausen, który jako obrońca autonomiczności literatury twierdzi, że w istniejącej sytuacji nie literackich, lecz raczej politycznych sporów z korzyścią dla wielu byłoby zajęcie się samą ideologią i pozostawienie problemów krytyki, teorii i samej literatury tym, którzy wciąż pamiętają o właściwym przedmiocie refleksji literaturoznawczej.[4]

Andrzej Karcz

O poetyce inaczej

Teoria literatury według dość rozpowszechnionej opinii nie ma się dziś najlepiej. Dyscyplina, rozwijająca się dość burzliwie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, przeżywa obecnie wyraźny kryzys. Po latach „tłustych" nadeszły „chude": mało nowych idei, mało (w porównaniu z wymienionymi dekadami) publikacji teoretycznoliterackich. Badacze, którzy w tamtych czasach kształtowali oblicze nauki o literaturze, nadawali jej ton, teraz nad rozprawy teoretycznoliterackie i metodologiczne przedkładają „lżejsze" gatun-

---

[3] S. Greenblatt *Literary Politics: A Response* [Kserokopia maszynopisu].

[4] Ch. Clausen *It Is Not Elitist to Place Major Literature at the Center of the English Curriculum*, „The Chronicle of Higher Education", 1988, Vol. 34 (z. 13. 01).

ki krytycznoliterackie. Umiejscawiają się bliżej literatury samej niż nauki.

Na osłabienie impetu teoretycznoliterackich poszukiwań w Polsce w latach osiemdziesiątych duży wpływ miały, by tak rzec, czynniki obiektywne. Po roku 1981 trudno było fascynować się zagadnieniami teorii wiersza. Inne sprawy zaprzątały umysły. Nie był to też najlepszy czas sprzyjający aktywnemu śledzeniu przemian w dyscyplinie i kultywowaniu międzynarodowych kontaktów. Faktem jest, że kiedy nastały jako tako normalne warunki do uprawiania nauki, w światku literaturoznawczym zapanowała lekka konsternacja. Janusz Sławiński, wyjaśniając powody swego *désintéressement* udziałem w redagowaniu „Tekstów Drugich" wymienił brak wyrazistego „systemu orientacyjnego" w postaci „miarodajnego paradygmatu". Takim systemem orientacyjnym był niegdyś paradygmat strukturalistyczno-semiotyczny, który się jednak już zużył, zaś na jego miejscu nie pojawił się nowy, równie solidny i płodny poznawczo system metodologiczny. Według Janusza Sławińskiego humanistyka (w tym także nauka o literaturze) przedstawia dziś sobą „bezładne złomowisko, na którym walają się resztki jej dawniejszych instrumentariów". Wydaje się, że u podstaw tego rodzaju opinii tkwi szereg przyczyn, z których dwie spróbujmy tu określić bliżej. W niemałym stopniu zaważyła na tym ogólna atmosfera ostatniej „martwej dekady": doszło wówczas do zakłócenia ciągłości rozwojowej dyscypliny, wytworzenia się luki pomiędzy jej „krajowym" stanem a tendencjami rodzącymi się w różnych ośrodkach zagranicznych, ograniczenia — i tak przecież nie najbujniejszych — form instytucjonalnych i organizacyjnych życia naukowego (zanik konferencji naukowych, zwiększające się trudności wydawnicze itd.). Wszystko to wywołało poczucie pewnej dezorientacji i zagubienia. W tej sytuacji czymś naturalnym jest ujawnianie się swoistych „mechanizmów obronnych", których działanie polega między innymi na marginalizacji i deprecjacji nowych zjawisk. Nową rzeczywistość postrzega się jako chaos. Odmawia się jej znamion racjonalności, wewnętrznego porządku, „Formy" — by jeszcze raz powołać się na wypowiedź Janusza Sławińskiego. Znamienny pod tym względem jest odbiór dekonstrukcjonizmu w polskich kręgach akademickich: owszem, informuje się o nim dość szczegółowo, pisze się, ale w tonie na ogół niechętnym. Nie zbywa się go milczeniem, ale spycha na peryferie, traktując jako ekscentryczny twór znudzonych

(i zmęczonych) pogonią za naukowością zachodnich literaturoznawców.

Druga okoliczność, która tłumaczy negatywny charakter diagnozy postawionej obecnej sytuacji przez Janusza Sławińskiego, wiąże się z ujmowaniem przemian w naukach humanistycznych jako zmian Kuhnowskich paradygmatów. Jest wielce problematyczne, czy model, zadowalająco tłumaczący zmiany obrazów świata w fizyce teoretycznej, równie dobrze wyjaśnia proces zmian koncepcji metodologicznych w naukach humanistycznych. Humanistyka jest raczej wiedzą kumulatywną i jej rozwój nie układa się jednoznacznie w serię mniejszych lub większych rewolucji naukowych. Pojmowanie procesów rozwojowych w tej sferze w kategoriach paradygmatów przypomina rozważania formalistów na temat ewolucji literackiej. Dominujący w danym okresie język mówienia o literaturze powszednieje, z wolna przemienia się w zlepek literaturoznawczych komunałów, interpretacyjnych sztamp — słowem „automatyzuje się". Zatem powinno się go zastąpić innym, świeżym, w jakiś sposób „uniezwyklonym" językiem, zdolnym rozwiać nudę rozsiewaną przez swego poprzednika. Paradygmaty (by się trzymać tego pojęcia) w humanistyce jednak nie wywracają się mechanicznie i nie odchodzą bezpowrotnie w przeszłość, stając się mało już kogo obchodzącym faktem z historii doktryn naukowych. Rzecz wydaje się bardziej złożona. Zapewne w jakiejś swojej warstwie zużywają się i schematyzują. Z drugiej jednak strony zachowują żywotność, wykazują zdolność do — jeśli się można tak wyrazić — samoregeneracji, samoodnowy. Jest rzeczą charakterystyczną, że dla każdego „post-" można odnaleźć odpowiednie „neo-". Przykładowo, mamy „poststrukturalizm", ale istnieje też i „neostrukturalizm" (tego rodzaju par da się przytoczyć więcej).

Dobrym przykładem, świetnie ilustrującym to ostatnie zjawisko, jest książka Jerzego Faryny *Wstęp do literaturoznawstwa*[1], której chcę poświęcić tu parę słów. Pisana (w swoim drugim wariancie) w latach osiemdziesiątych lokuje się — generalnie rzecz biorąc — w nurcie strukturalistyczno-semiotycznym. Świadczy o tym aparatura pojęciowa (terminy: „znak", „komunikat", „kod", „system modelujący", „plan wyrażenia", „plan treści"), wskazuje na to także przywoływana litera-

[1] J. Faryno *Wwiedienije w litieraturowiedienie* [*Wstęp do literaturoznawstwa*], Warszawa 1991, PWN.

tura naukowa. Jest to jednak kontynuacja poprzez rewizję podstawowych nieraz założeń wspomnianego kierunku, zmianę akcentów, odejście od niektórych aksjomatów z jednoczesnym wykorzystywaniem tych możliwości, które niejako latentnie tkwią w doktrynie. Książka Faryny imponuje nie tylko swymi rozmiarami (ponad 53 arkusze wydawnicze), zawiera nie tylko wiele szczegółowych pomysłów teoretycznoliterackich, lecz także przynosi generalnie nowe ujęcie dzieła literackiego.

Zacznijmy od zagadnienia dzieła literackiego — jego funkcji i struktury. W najnowszej tradycji badań literackich, ukształtowanej po wystąpieniach formalistów rosyjskich, zwyciężył pogląd, zgodnie z którym dzieło literackie pojmuje się jako wypowiedź językową z dominującą funkcją poetycką (estetyczną). Ta ostatnia była definiowana przez Romana Jakobsona w jego znanej formule z lat sześćdziesiątych jako „nastawienie (*Einstellung*) na komunikat jako taki, skoncentrowanie uwagi na komunikacie dla niego samego". Inaczej mówiąc, funkcja poetycka to funkcja autoreferencyjna, „samozwrotna" (w terminologii U. Eco). Jeśli chodzi o strukturę dzieła, to zdecydowanie przeważało ujęcie warstwowo-poziomowe, aczkolwiek u poszczególnych badaczy dadzą się zauważyć pewne różnice, dotyczące na przykład ilości warstw czy poziomów, sposobu wyodrębniania jednostek poszczególnych poziomów, rozwiązywania kwestii tzw. związków wertykalnych, itd.

Jerzy Faryno porzuca ten — jak się niegdyś wyraził Janusz Sławiński — „tektoniczny" model utworu. Jego zdaniem model „tektoniczny" grzeszy nadmierną statycznością, przedstawia utwór literacki w postaci hierarchicznego układu poziomów (od fonetycznego po fabularny). Znaczenie jakiegoś elementu ujawnia się w ramach tej całości, jest funkcją miejsca, jakie w niej zajmuje. Podejście Faryny jest zasadniczo inne, nie pyta on o funkcję jakiegoś motywu w zamkniętej strukturze utworu, lecz o to „skąd jakiś motyw danego utworu został wyprowadzony i w co się on w nim transformuje, jak ewoluuje" (s. 433). W ogóle mamy tu do czynienia z innym spojrzeniem na utwór literacki. Przywykliśmy do ujmowania go przede wszystkim w kategoriach językowych. Również badania teoretycznoliterackie w dużej mierze obracały się wokół pytania: w jaki sposób z ogólnojęzykowych, „typowych" elementów powstają unikatowe w swej budowie i znaczeniu wypowiedzi lite-

rackie. W centrum uwagi znajdowała się — by się odwołać do znanego sformułowania — „struktura utworu na tle struktury języka".
Faryno proponuje zgoła odmienną wizję dzieła literackiego. Nie jest ono „komunikatem", nawet „komunikatem estetycznym". Pojęcie komunikatu zakłada istnienie pewnej uprzedniej treści, która ma być zakomunikowana. Tymczasem w przypadku dzieła literackiego trudno jest mówić o jakiejś preegzystującej treści, którą ono ma komunikować. W referowanej koncepcji utwór literacki jest charakteryzowany jako źródło informacji, przy czym zarówno „ilość", jak i „jakość" tej informacji nie jest raz na zawsze ustalona. Jej objętość i charakter zależą od wielu czynników, niemałą rolę odgrywa tu kompetencja literacka odbiorcy.
Szczególność budowy dzieła literackiego, z grubsza rzecz biorąc, zawiera się w użyciu różnych materiałów i posługiwaniu się kilkoma porządkami konstrukcyjnymi, kilkoma „językami" naraz. Przykładowo, wypowiedź literacka, jak każda wypowiedź językowa musi się liczyć z normami ogólnojęzykowymi. Ale oprócz nich w grę wchodzą jeszcze kryteria innego rodzaju, reorganizujące podziały lingwistyczne, przebudowujące tekst ufundowany jedynie na ogólnojęzykowych podstawach. One to sprawiają, że dzieło literackie — nie będąc indeksem w stosunku do realnego świata — staje się aksjologiczną interpretacją rzeczywistości pozatekstowej, waloryzuje i objaśnia świat, słowem — jest jego artystycznym, niepowtarzalnym modelem. Utwór literacki w stosunku do rzeczywistości pozaliterackiej spełnia „wyjaśniającą" funkcję. „Rzeczywistość zajmuje w tej relacji miejsce «nieznanego», zaś utwór — miejsce «znanego», wyjaśniającego. W rezultacie to nie rzeczywistość jest treścią dzieła, lecz utwór treścią rzeczywistości" (s. 40–41).
Faryno mówi również o poziomach dzieła. Ale, po pierwsze, nie są one tożsame z poziomami językowymi, odsłanianymi w trakcie analizy lingwistycznej tekstu i, po drugie, nie tworzą one żadnej struktury hierarchicznej. Także ich ilość i charakter (mogą się one składać zarówno z cech dyferencjalnych materiału językowego, jak i z wszelkich niejęzykowych zjawisk, wprowadzanych do tekstu werbalnie, graficznie lub fonicznie) mogą ulegać zmianie. Cechy dyferencjalne, będące istotnym tworzywem dzieła, same w sobie nie posiadają samodzielnego i stałego znaczenia, mają one tworzyć jedynie system, a więc podlegać określonej organizacji. Semantyzują się poprzez korelację z innymi poziomami dzieła i konfrontację ze zjawiskami świata zewnętrznego. Głównym ich zadaniem jest systematyzacja zna-

czeń i wartości, ustanawianie pomiędzy nimi relacji ekwiwalencji, przeciwstawności, gradacji. Utwór literacki w perspektywie, jaką rysuje książka Faryny, odznacza się zasadniczą niejednorodnością. Zostaje tu bardzo wyraźnie zakwestionowana teza, będąca swoistym aksjomatem współczesnej nauki o literaturze, o jednotworzywowości dzieła literackiego. Materiał, z którego jest ono zbudowane, to nie tylko język z całym jego bogactwem struktur formalnych i znaczeniowych, lecz także świat (natura i kultura). Przedmioty i zjawiska świata pozatekstowego pojawiają się w utworze oczywiście za pośrednictwem języka. Słowo utrwala w tekście (poprzez nazywanie) zjawiska przyrody i wytwory ludzkie, które prócz swoich „naturalnych" instrumentalnych funkcji zdołały w trakcie długiego trwania nabrać wtórnych, symbolicznych znaczeń. Literatura wykorzystuje te semiotyczne aspekty przedmiotów, przekształcając cały byt w swoisty język.

Autor przedstawianej pracy skupia się na dwóch zespołach zagadnień: właściwościach postaci literackiej (bohatera) i świata przedmiotowego. W pierwszym przypadku nosicielami znaczeń mogą być liczne cechy postaci: imię, wygląd zewnętrzny, ciało i jego „mowa", gesty, styl zachowania — by wymienić tylko niektóre. W drugim — właściwości przyrody, światło–ciemność, dźwięk–cisza, kolorystyka, zapach, forma, faktura przedmiotów, ruch, przestrzeń i czas świata, sztuka jako odrębna sfera rzeczywistości. Bliższe i dalsze otoczenie człowieka nie jest jedynie biernym tłem dla jego działań. Jest to raczej jego dopełnienie, aktywnie współtworzące uniwersum znaczeniowe dzieła literackiego. Naturalnie, nie wszystkie obszary świata przedmiotowego są jednakowo podatne na semantyzację, z równą łatwością ulegają semiozie. Na przykład, sfera kolorów z jej bogatym zróżnicowaniem i łatwością tworzenia opozycyjnych szeregów w każdej kulturze obleka się całą otoczką symbolicznych znaczeń, podczas gdy, dajmy na to, zapachy nie posiadają takiej wyrazistej semantyki. W zasadzie nie ma jednak obszarów rzeczywistości, które byłyby całkowicie neutralne, aksjologicznie i semantycznie obojętne. Wszystko, co daje się różnicować, potencjalnie może być nosicielem sensu.

Jerzy Faryno, mówiąc o „języku świata", spożytkowywanym w dziele literackim, rozwija pewne konstatacje Jurija Tynianowa i Romana Jakobsona, dotyczące specyfiki dzieła filmowego. Badacze ci sformułowali w okresie międzywojennym tezę, która mówi, że wszelkie zjawiska świata zewnętrznego przemieniają się na ekranie w znaki. Jakobson

(*Czy upadek kina?*, 1923) już wówczas przenikliwie zauważył, iż w dziele filmowym tworzywem jest rzecz przekształcona w znak. Faryno, rozszerza to stwierdzenie także na literaturę, utrzymując, że również i ona przemienia obiekty świata zewnętrznego w zespoły znaków. Między dziełem filmowym a literackim występują pod tym względem także oczywiste różnice: w filmie przedmioty są dane na ekranie optycznie i akustycznie. Natomiast w utworze literackim są one ewokowane poprzez słowo, są utrwalane poprzez środki językowe.

Warto tu zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment, związany z przemianą przedmiotów i ich atrybutów w język dzieła sztuki. Chodzi mianowicie o to, że przedmioty i zjawiska świata posiadają swoje stałe kulturowe, nieraz bardzo archaiczne, znaczenia. Do dzieła sztuki wchodzą one z tymi inherentnymi znaczeniami, współtworząc w nim warstwę motywów. W dziele to pierwotne, archaiczne znaczenie może być rozmaicie reinterpretowane, aktualizowane, dostosowywane do egzystencjalnej sytuacji twórcy. Ale zachowuje więź ze swoją odległą przeszłością i kompetentny odbiorca jest w stanie ją odsłonić. Przykładowo, w późnym wierszu Fiodora Tiutczewa pojawiają się sanie („słyszę świst płóz na śniegu"). Ich znaczenie jest wielorakie: wskazują na porę roku, ale zarazem kojarzą się ze światem chtonicznym (były niegdyś używane w obrzędach pogrzebowych niezależnie od pory roku). Lansowane przez Farynę podejście do dzieła literackiego każe uwzględniać — jak już wspomniano — pochodzenie motywu, jego „głęboką" strukturę znaczeniową oraz transformacje, ewolucje, jakim podlega w kontekście danego utworu.

Książka Jerzego Faryny wymownie świadczy, że z poetyką nie jest jeszcze tak źle, jak się o tym ostatnio pisze. Być może, niektóre jej nurty (na przykład, arystotelesowski) są już wyczerpane (ale czy na zawsze?). Inne pozostają żywe. Rozprawa Faryny otwiera dla niej nowe horyzonty poznawcze.

I jeszcze jedna sprawa. Omawiana praca została napisana i opublikowana w języku rosyjskim. Ogranicza to jej odbiór (przynajmniej krajowy). Trzeba namówić autora do przygotowania polskiej wersji, bo rzecz jest tego warta.

Bogusław Żyłko

SYTUACJA
LIRYCZNA

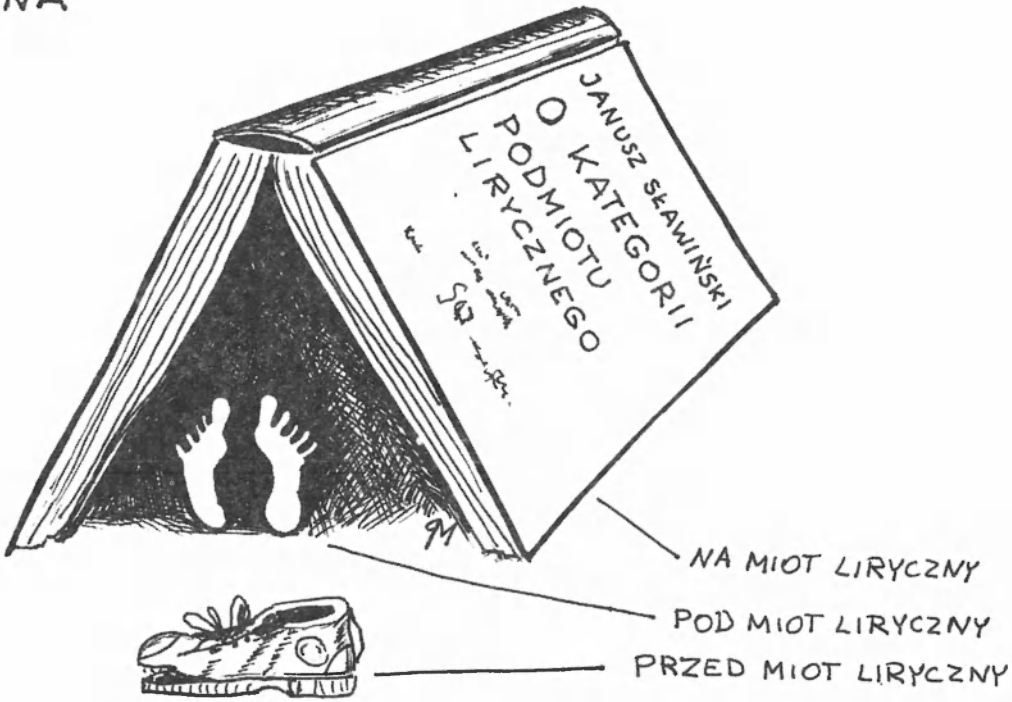

Rys. Piotr Michałowski

SPORNE POSTACI POLSKIEJ LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ

Pod redakcją Aliny Brodzkiej

Wydawnictwo IBL. Warszawa 1994, s. 208.

Wiedza o polskiej literaturze współczesnej od kilku lat ulega gwałtownym przemianom. Upłynie sporo czasu, zanim rezultaty takich krytycznoliterackich zabiegów zostaną uwzględnione przez opracowania historyków literatury. W książce *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, będącej pokłosiem sesji zorganizowanej w 1993 r. przez Instytut Badań Literackich PAN i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, autorzy jedenastu szkiców przedstawiają sylwetki i twórczość **Jerzego Andrzejewskiego, Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Borowskiego, Władysława Broniewskiego, Witolda Gombrowicza, Jarosława Iwaszkiewicza, Czesława Miłosza, Juliana Przybosia, Tadeusza Różewicza, Aleksandra Wata** i innych pisarzy. Tom został zalecony przez MEN do użytku szkolnego jako książka pomocnicza do nauki języka polskiego w wyższych klasach szkoły ponadpodstawowej. Jego kontynuacją będzie zbiór głosów krytycznych z tegorocznej sesji, zatytułowanej *Sporne postaci literatury współczesnej: następne pokolenie*.

Pracę zbiorową *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej* można kupić w księgarniach prowadzących sprzedaż książek naukowych. Większe ilości można zamówić w Domu Księgarskim Stowarzyszenia Wolnego Słowa, 00-567 Warszawa, ul. Nowolipie 9/11 lub w siedzibie Wydawnictwa IBL, 00-330 Warszawa, Nowy Świat 72 (Pałac Staszica pok. 129, 131), tel. (0-22) 26-21-78 lub 26-52-31 w. 80, 106, tel./fax (0-22) 26-99-45.

Opinie

Janusz Sławiński

Jakiej historii IBL-u nam potrzeba?

1. Ale najpierw: jakim n a m ? Kogo obejmuje owo „my" w tytule tej wypowiedzi?
Ogarniam nim tych wszystkich — tak umarłych, jak żywych, tak sędziwych, jak jeszcze nie-starych, tak intelektualnie już zużytych, jak znajdujących się w intelektualnym rozkwicie — których losy splotły się kiedykolwiek w ciągu ostatniego czterdziestopięciolecia z Instytutem Badań Literackich, stając się pasemkami jego dziejów. To im przede wszystkim, a więc n a m, potrzebna jest Historia Instytutu jako jeden z kontekstów tłumaczących ich, to znaczy n a s z e , biografie zawodowe, oświetlających to, co zrobili, co mogli zrobić, co robią i co mają do zrobienia, jako swego rodzaju rama wzbogacająca o szerszy sens ich indywidualne poszukiwania i zdobycze.
A przecież, co niezrozumiałe na pierwszy rzut oka, nikt takiej historii nie spisał, ani nawet nie przymierza się do tego zadania. Oczywiście wielce kłopotliwego już u samych podstaw, gdyż opracowanie wiarygodnej historii IBL-u wymagałoby przekopania się przez góry rozproszonych materiałów źródłowych — ich uporządkowania i krytycznej analizy. Przygotowana przed pięciu laty pod zwierzchnictwem Jadwigi Cza-

---

Od redakcji:
Tekst ten był wygłaszany na konferencji „Instytut Badań Literackich: ludzie, lata, prace. 1948 – 1993", która odbyła się 9–10 listopada 1993 w Warszawie.

chowskiej *Kronika Instytutu Badań Literackich PAN. 1948–1987*, opierająca się na bardzo szczupłym zasobie źródeł, uprzytamnia, jak wielka musiałaby to być robota. Trudno zresztą nie snuć smętnych raczej przypuszczeń na temat stanu, w jakim znajdują się iblowskie archiwalia. Jeszcze do niedawna w pokoju 128 Pałacu Staszica, który jest moją małą ojczyzną, walały się pod biurkami i po kątach sterty papierów, które bez wątpienia należały do instytutowego archiwum. Nieraz znajdowałem pod nogami całkiem ciekawe dokumenty z różnych lat: korespondencję Dyrekcji z władzami Akademii, zarządzenia, sprawozdania, plany pracy, memoriały Rady Naukowej, recenzje, opinie... Papiery te ulegały stopniowemu rozdeptywaniu, gdyż ruch w pokoju 128 na ogół jest dość duży, i w końcu zapewne znalazły spokojniejsze miejsce w składnicy makulatury.

Nie sądzę wszakże, by istotnym powodem niespisywania historii Instytutu mogły być kłopoty związane z brakiem lub trudną dostępnością materiału źródłowego, gdyż i tak jest go w istocie — jak wszystkiego — za dużo. Podejrzewam, że chodzi o powód znacznie głębszy: oto ci, którzy takiej historii najbardziej by potrzebowali — wcale nie pragną, częściowo świadomie, częściowo pozaświadomie, aby powstała; im bardziej miałaby być wiarygodna, tym mniej by jej, potrzebując, chcieli. Jest to ambiwalencja dość powszechnie dziś występująca — wszędzie tam, gdzie pojawia się zadanie opanowania przez historiografię dziejów środowisk intelektualnych i instytucji, które były wytworem peerelu. Ludzie tak czy inaczej wrośnięci w instytucje i środowiska „nowego typu" (jak się je kiedyś nazywało) odczuwają dotkliwą przykrość, gdy dochodzi do rozpamiętywania genezy i przeszłych losów takich organizmów; mają poczucie, że były one skażone jakąś nieprzyjemną — czy może nawet kompromitującą — dwuznacznością, która komplikuje im samoocenę i nie pozwala zachować krzepiącej pewności, że ich własne biografie pozostały od tego rodzaju dwuznaczności wolne. Nawet prawdziwie przywiązani do swoich instytucji, dumni ze wspólnych osiągnięć, wyraźnie nie lubią detalicznych wglądów w historię tego, co im skądinąd tak bliskie; wiedzę o przeszłości odczuwają jako nieokreślone zagrożenie — teraźniejsze.

Łatwo to spostrzec we wszystkich właściwie dyskusjach owijających się wokół dzisiejszych spraw Polskiej Akademii Nauk. Zwolennicy jej dalszego, pomyślnego prosperowania w kształcie możliwie najmniej

różniącym się od tego, jaki przybrała przed czterdziestu laty, gdy implantowano ją na polski grunt, nader nieżyczliwie odnoszą się do wszelkich retrospekcji, uważając je za niefunkcjonalne, czy wręcz szkodliwe, gdyż odwracają uwagę zainteresowanych od zasadniczego zadania, jakim jest przeprowadzenie dzisiejszej Akademii w fortunną przyszłość. Nie przychodzi im — co ciekawe — do głowy, że pomiędzy teraźniejszością PAN a jakąkolwiek możliwą przyszłością, którą napotka, rozciąga się cała jej przeszłość — i to ona właśnie stanowi główną przeszkodę na drodze ku szczęśliwemu futurum...

Bardzo pouczająca była dla mnie rezerwa, z jaką spotkały się, u bliskich nawet kolegów, moje opinie, gdy raz czy drugi próbowałem co nieco powiedzieć o mechanizmie dotychczasowej ewolucji IBL-u. Wątpliwości budziło zwłaszcza nazwanie po imieniu genezy Instytutu: wydawało się, że krzywdzę jego założycieli, mówiąc, co nimi naprawdę kierowało, gdy IBL lepili, chociaż odpowiadało to dokładnie temu, co sami po wielekroć deklarowali; że nie potrafię bezstronnie ocenić znaczenia marksizmu, którym iblowcy obdarowali ongiś polskie literaturoznawstwo; że w ogólności — i to rzecz najważniejsza — najniepotrzebniej w świecie wyciągam odległe „grzechy" IBL-u, a tak naprawdę zostały one definitywnie zmazane jego późniejszym, olbrzymim i wartościowym, dorobkiem naukowym.

Takie stanowisko, niezależnie od jego źródeł, uruchamia pułapkę, przed którą warto każdego przestrzec. Można bowiem bez trudu przewidzieć, że objawiona niechęć jednych do wspominania spraw, które dziś wydają się im przykre — musi natychmiast znaleźć negatywne odbrzmienie w usiłowaniu innych, by właśnie tamtych rozjątrzyć, by drążyć głównie to, co ich boli: pokazać, że odwracają się od przeszłości, ponieważ kryje jakieś ich winy, które pragnęliby na zawsze zataić. Oczywiście tego rodzaju supozycje nie mogą pozostać bez odpowiedzi. Toteż obwinieni będą się czuli zmuszeni do gromadzenia dowodów swojej niewinności; będą wykazywać, że pożal się Boże oskarżyciele dostrzegają jedynie pozory rzeczy, a nie jej istotę, że nie rozumieją przeszłych uwarunkowań, że nie potrafią docenić przemyślności i wysiłku, jaki trzeba było w t e d y inwestować, aby to, co dziś wydaje się złe — nie było jeszcze gorsze. I tak dalej, i tak dalej. Ale to woda na młyn demaskatorów: bronicie się, a więc nasze zarzuty trafiły, gdzie należy; najlepszy to dowód, że dotknęliśmy prawdy, od której chcecie uciec!

To jest właśnie pułapka historii rozliczeniowej, aż nadto dobrze znana wielu środowiskom podobnym do naszego. Kto w nią niebacznie wpada, traci zdolność odróżniania procesu ustalania prawdy o przeszłości od procesu sądowego. Ma wtedy do wyboru już tylko dwa symetrycznie karykaturalne tryby praktykowania historiografii: bezwzględnie prokuratorski lub rozpaczliwie obrończy. Jeśli historia IBL-u miałaby być spisywana w obrębie owej pułapki, to nikogo bym na nią nie namawiał; raczej przeciwnie.

2. Jak taka historia mogłaby wyglądać i co powinna w sobie niezbędnie zawierać?

Wydaje się, że należałoby przede wszystkim wyodrębnić w dziejach IBL-u trzy dopełniające się wzajem wątki i każdy rozpatrywać inaczej — stosownie do ich swoistości. Chodzi o:

A. Dzieje IBL-u jako tworu instytucjonalnego w obrębie nauki.

B. Historię literaturoznawstwa iblowskiego, a więc kształtowanie się jego dorobku poznawczego — zakresów zainteresowań, orientacji metodologicznych, programów i koncepcji badawczych.

C. Dzieje IBL-u jako środowiska ideotwórczego oddziałującego na stan ducha polskiej inteligencji, w szczególności dzieje uczestnictwa Instytutu w życiu literackim.

Jak w porządnie zbudowanej fabule powieściowej, te wątki powinny w różnych miejscach krzyżować się i splatać, wspierać się wzajemnie i tworzyć dla siebie konteksty objaśniające. Niemniej muszą być opowiadane oddzielnie, ponieważ odmienny jest charakter tworzywa każdego z nich.

A. Gdy skupiamy się na pierwszym z tych wątków, rozważamy *eo ipso* dzieje IBL-u jako cząstkę dziejów Polskiej Akademii Nauk. Jedyną właściwie jego osobliwością w ramach owej nadrzędnej historii było to, że swoim powstaniem wyprzedził o cztery lata Akademię, gdyż stanowił jedno z poletek doświadczalnych, na których wypróbowywano możliwości jej przyszłego działania, tak by potem mogła jak najlepiej spełniać wymogi Wzoru, jaki jej przyświecał, to znaczy — Akademii sowieckiej. Pionierskie doświadczenia Instytutu były wysoko szacowane przez władze polityczne organizujące Akademię, okazywały się bowiem bardzo przydatne w pierwszym okresie jej

istnienia. Wtedy też w gronie najwyższych dostojników PAN znajdowali się założyciele naszego Instytutu.

Jednakże na tej roli forpoczty kończy się cała osobliwość. Od 1952 roku Instytut pozostawał najzupełniej typową w swojej strukturze i sposobach funkcjonowania placówką panowską w dziedzinie nauk społecznych. To jak najmocniej podkreślam, ponieważ można się nieraz dowiedzieć, że IBL był jakimś dziwem natury na tle PAN — i stąd miałaby się brać jego wyjątkowo burzliwa i pełna dramatycznych napięć historia. W rzeczywistości jako instytucja miał charakter tuzinkowy, a więc odpowiadał dokładnie warunkom, jakie były przewidziane dla całego gatunku pokrewnych mu instytucji. A do takich warunków zaliczyć trzeba przede wszystkim:

— pełne uzależnienie od sekretariatów i biur Akademii we wszystkich właściwie żywotnych dla placówki sprawach, takich jak obsada stanowisk kierowniczych i w ogóle wszelki ruch kadrowy, programy badań i ich obsługa wydawnicza, organizowanie konferencji i sympozjów, kontakty z uczonymi z innych krajów, wyjazdy zagraniczne pracowników;

— niezmiernie rozbudowany, drobiazgowy i uciążliwy system planistyki i sprawozdawczości, przeniesiony w obręb działalności badawczej (a więc w znacznej mierze twórczej) z zakładów produkcyjnych, fabryczny — można powiedzieć, który bez wątpienia stanowił element socjotechnicznej tresury, jakiej byli poddawani ludzie zajmujący się pracą intelektualną;

— wszechobecność partyjnego nadzoru nad życiem instytutowym — we wszystkich jego zakresach i przejawach. Działała tu wielopiętrowa hierarchia instancji partyjnych (od wewnątrzinstytutowej, poprzez wydziałową, akademijną, do wydziału nauki KC PZPR), która stanowiła główne źródło tak decyzji dotyczących podejmowanej tematyki badań, awansów, stopni i tytułów naukowych pracowników, jak miarodajnych ocen rezultatów prac, a w ogólności — pozytywnych lub negatywnych notowań placówki;

— zmultiplikowaną kontrolę cenzuralności tekstów przeznaczonych do publikowania („produkcji" naukowej instytutu). W tej kontroli urzędowa cenzura była zaledwie ostatnim ogniwem w całym łańcuchu cenzurowania (i autocenzurowania), któremu nieprzerwanie podlegały powstające prace — na wszystkich właściwie poziomach organizacji instytutu, wydziału Akademii czy wydawnictwa.

W istocie, taki model instytucjonalny placówki panowskiej w dziedzinie dyscyplin humanistycznych przetrwał w ogólnych zarysach od początków istnienia PAN aż po sam schyłek komunizmu w Polsce. Stanowił w swoich konstytutywnych elementach niezmienną matrycę możliwości — i ona to w przeważającej mierze wyznaczała i ukierunkowywała historię IBL-u jako instytucji. Trzeba powiedzieć, że tego typu instytut po prostu nie mógł dorosnąć do własnej, zindywidualizowanej historii, ponieważ wszystko, co się z nim z biegiem lat działo, nie zależało od jego wewnętrznej jakości, ale było pochodną ewolucji, jakiej podlegała cała struktura Akademii. Ewolucji, jak wiadomo, niewiarygodnie powolnej, najczęściej na granicy znieruchomienia. Wszelkie w niej poruszenia były za każdym razem jedynie ospałym refleksem chwilowych przyspieszeń, czy — jak się mówiło — „zakrętów" w makroskali życia politycznego PRL. W sumie więc ten wątek historii Instytutu, o jakim teraz mowa, jest pozbawiony indywidualnej wyrazistości — zarazem typowy i dość statyczny.

Oczywiście nikt nie zaprzeczy, że IBL przechodził w swoich dziejach przez rozmaite koniunktury: bywał przez władze polityczne faworyzowany i nagradzany, ale bywał też w niełasce, a nawet w poważnych opresjach; że kierowali nim nieraz ludzie mądrzy i dalekowzroczni, ale stawiano też na jego czele osoby mierne i bez wyobraźni, za to posłuszne zwierzchności; że ciśnienie owych typowo panowskich ram instytucjonalnych i politycznego nadzoru na życie wewnętrzne IBL-u nie było przez cały czas jednakowe: miało fazy wzmożenia, ale i słabnięcia, wyraźnie odczuwalnego (tak było w miesiącach Solidarności). W okresie między 1956 a połową lat 80. Instytut trzykrotnie, a może czterokrotnie, stawał wobec niebezpieczeństwa likwidacji, które za każdym razem straszyło jako nieodwołalne.

W istocie jednak wszystkie te koniunkturalne wzloty i upadki, pomyślności i zagrożenia, przyjazne i nieprzyjazne zbiegi okoliczności – – przysłaniały sytuację ponad wszelką wątpliwość stabilną. IBL trwał, choć nieraz wydawało się to dziwne i politycznie nieuzasadnione. Dlaczego musiał istnieć? Dziś sądzę, że sekret jego instytucjonalnej trwałości może znaleźć zupełnie trywialne objaśnienie. Otóż takie placówki, jak IBL, musiały niezmiennie istnieć, ponieważ ich likwidacja oznaczałaby, że Akademia traci w jakiejś mierze coś, czego nie wolno było jej stracić, a mianowicie kompatybilność w stosunku do Akademii sowieckiej i innych należących do tej samej rodziny. Relac-

je między akademiami demoludów opierały się na całym systemie braterskich symetrii: czy mogło gdzieś zabraknąć ośrodka literaturoznawczego, jeśli gdzie indziej takie ośrodki istniały i działały? Co by się wtedy stało z kooperacją, więzią, wymianą idei i uczonych, wspólnymi tematami badań — i tak dalej?

B. Drugi wchodzący w grę wątek — dzieje literaturoznawstwa iblowskiego — musi zajmować, rzecz jasna, centralne miejsce w jakkolwiek pomyślanej historii Instytutu. Jego dotyczyły wszystkie wczorajsze wypowiedzi na tym spotkaniu i w znacznej mierze go wyczerpywały.*
W przeciwieństwie do wątku poprzedniego — instytucjonalnego — gdzie bieg czasu stosunkowo niewiele zmieniał w układzie wyjściowym, tu mamy do czynienia z procesem przemian w całym tego słowa znaczeniu. Można by ów proces oglądać i opowiadać o nim z różnych punktów widzenia, biorąc za każdym razem pod uwagę inny z jego przekrojów. Najważniejsze byłyby takie:
— Ewolucja założeń i koncepcji metodologicznych — od początkowej ortodoksji marksistowskiej, poprzez tzw. otwieranie się marksizmu na odrzucane przedtem tradycje wiedzy o literaturze i na impulsy współczesnej humanistyki zachodniej, do pluralistycznej zgody na różne obocznie występujące ideały uprawiania literaturoznawstwa, do uznawania metodologicznej wielojęzyczności naszej dyscypliny za stan właściwy i przeto wymagający usilnego podtrzymywania.
Sam ten pluralizm dążeń był zjawiskiem wyraźnie dwufazowym. Początkowo oznaczał aktywną komunikację, wzajemne zainteresowanie, dialog między nurtami czy stylami myśli naukowoliterackiej, wymianę idei, pomysłów, chwytów interpretacyjnych. Natomiast w późniejszej fazie stawał się po prostu sposobem współistnienia zobojętniałych wzajem dążeń...
— Z innego punktu widzenia ten wątek historii IBL-u dałby się traktować przede wszystkim jako proces stopniowego wyłaniania się i rozrostu obszaru przedmiotowego obejmowanego przez badania

* Mam tu na uwadze referaty: Barbary Otwinowskiej, Teresy Kostkiewiczowej, Marii Żmigrodzkiej, Grażyny Borkowskiej, Ryszarda Nycza, Zbigniewa Jarosińskiego, Teresy Dobrzyńskiej, Włodzimierza Boleckiego, Krzysztofa Dmitruka, Jadwigi Czachowskiej, Bogdana Zakrzewskiego, wygłoszone w pierwszym dniu konferencji.

prowadzone w Instytucie. Trzeba by więc zapytać o to, w jakiej kolejności, z jakimi motywacjami i z jakim sprzętem poznawczym przystępowano do interpretacyjnego podboju poszczególnych okresów w dziejach literatury narodowej. Dlaczego w różnych latach pracy IBL-u faworyzowano pewne epoki, inne na czas jakiś pozostawiając odłogiem? Czy była jakaś logika naukowego rozwoju w tym przesuwaniu się dominant? Takie samo pytanie dotyczyłoby twórczości poszczególnych pisarzy, na których skupiała się chwilowo uwaga iblowskich komentatorów. Co to była za konstelacja i wedle jakich zasad, czy może zbiegów okoliczności, powstawała? Zresztą podobnym pytaniem objąć by trzeba wszelkie duże tematy i kręgi problemowe — w teorii dzieła, w teorii procesu historycznoliterackiego, w teorii komunikacji literackiej, w badaniach nad kulturą literacką, językiem literatury i wierszem.

— Jeszcze inny punkt widzenia kazałby spojrzeć na kształtowanie się dorobku IBL-u poprzez pryzmat przedsięwzięć — nazwijmy je tak — „mamucich": wielkich, długofalowych, zespołowych prac, których charakter, zakres i fundamentalne znaczenie dla całej dyscypliny sprawiały, że traktowano je nieraz jako *raison d'etre* Instytutu. Myślę o uniwersyteckiej syntezie dziejów literatury polskiej i o wielu robotach o szerokim zasięgu — dokumentacyjnych, bio-bibliograficznych, edytorskich, encyklopedycznych i słownikowych. Zawiłe losy tych przedsięwzięć, z których tylko nielicznym udało się osiągnąć kształt pełny, a większość pozostała w rozmaitych stadiach niedokonania, niczym budowle pięknie rozpoczęte, potem przez budowniczych zaniedbywane czy porzucane, mogą stanowić przypadek szalenie ciekawy dla historyka nauki, a pouczający dla planistów i menedżerów.

— Dzieje literaturoznawstwa iblowskiego można by wreszcie ująć tak, ażeby stało się widoczne, jak osadzały się w nim doświadczenia intelektualne, gatunki zainteresowań i upodobań kolejnych pokoleń współtworzących dorobek Instytutu. Jakiego rodzaju nacechowania, rysy znamienne, wrażliwość na problemy, a nawet gusta literackie wniosło każde z nich do parogeneracyjnej polifonii badań? Czy w relacjach między nimi dominował (i kiedy) duch współzawodnictwa, czy raczej duch kooperacji? Jak przystosowywały się do siebie i co sobie nawzajem zawdzięczały?

— A na koniec warto by przyjąć i taki punkt widzenia, który oddawałby sprawiedliwość najwybitniejszym indywidualnościom iblow-

skim, osobom ogniskowym w historii Instytutu, ludziom, którzy dawali początek całym nurtom problematyk czy szkołom uprawiania różnych specjalności badawczych. To ich twórczości, a i wysiłkom organizatorskim, Instytut zawdzięczał swoje długotrwałe ukierunkowania, dynamikę wewnętrznej komunikacji, swoje miary i standardy osiągnięć.
Dopiero honorując te wszystkie punkty widzenia, można będzie wytłumaczyć historyczną — by tak rzec — nieuchronność występujących w IBL-u form organizacji pracy, a także ewolucję owych form: zespołów, pracowni, zakładów, kręgów przyjacielskich, doraźnych bądź trwalszych miejsc dyskusji, a nawet poszczególnych pokojów w Pałacu Staszica, z którymi związane są nie tylko osoby skazane na ich ciasnotę, ale też określone typy literaturoznawczych zagadnień, a także różne dialekty iblowskiego języka.

C. Trzeci z zapowiedzianych wątków, to dzieje IBL-u jako środowiska ideotwórczego, które rozmaitymi drogami i sposobami promieniowało na zewnątrz, poza krąg literaturoznawstwa akademickiego: przede wszystkim w sferę literatury, ale też w sferę edukacji szkolnej, i generalnie — w sferę świadomości inteligencji humanistycznej. Przedmiotem uwagi byłby tu Instytut niejako poza jego własnymi granicami; chodziłoby o coś w rodzaju zewnętrznej historii IBL-u, czy też historii jego recepcji i oddziaływania. Myślę, że jest wystarczająco bogata i wymowna, by się nią zająć, chociaż wielorakość i wielomówność wchodzącego w grę materiału mogą się okazać kłopotliwe i będą wymagać od historyka dużej zręczności przy układaniu i semantyzacji świadectw. Pewne kawałki tej historii są wyraziste i dobrze udokumentowane, a więc stosunkowo łatwe do opisania. Na przykład rola iblowskiej kuźni krytyki we wdrażaniu i teoretycznym ugruntowywaniu socrealizmu w latach 50., czy też udział IBL-u w indoktrynacji szkolnej humanistyki w tychże latach. W przeważającej większości wypadków mamy jednak do czynienia ze świadectwami oddziaływań znacznie mniej jednoznacznymi, które domagają się dopiero uwyraźniającej problematyzacji.

3. Ale samo wyodrębnienie wątków (jakichkolwiek) to zaledwie połowa konceptualnego wysiłku, jaki należało by włożyć w zaplanowanie historii IBL-u. Drugą stanowi — oczywiście

— projekt periodyzacji dziejów instytutowych. Jakże moglibyśmy się bez niej obejść?
Czterdziestopięcioletnia historia Instytutu dzieli się — tak ją postrzegam — na trzy okresy o wyraźnie odmiennych obliczach:
A. Pierwszy — IBL w okopach „frontu ideologicznego" — od 1948 do końca lat 50.
B. Drugi — nazwałem go kiedyś „złotymi latami" IBL-u — rozciąga się między początkiem lat 60., a schyłkiem następnej dekady.
C. Trzeci — okres duchowego dryfowania IBL-u — od końca lat 70., po dzień dzisiejszy (a i jutrzejszy zapewne także).
Jeśli tego rodzaju periodyzację nałożymy krzyżująco na porządek trójwątkowy, otrzymamy w wyniku układ dziewięciu pól, a więc całkiem zgrabną kompozycję. (Wtedy na pytanie: jakiej historii IBL-u nam potrzeba? — możemy odpowiedzieć: to całkiem jasne — złożonej z dziewięciu rozdziałów.)
A. Nie ulega kwestii, że najdogodniejszy dla historycznej prezentacji pozostaje pierwszy okres. Był on najbardziej jednorodny w swoim charakterze, pozbawiony dramatyzmów i jak gdyby jednopłaszczyznowy.
IBL został powołany do życia jako instytucja *stricte* ideologiczna, chociaż uzasadnienia, jakie temu towarzyszyły, nawiązywały maskująco do retoryki scjentystycznej (jeszcze przedwojennego chowu). Powstał, aby zrównoważyć niepewną ideologicznie polonistykę uniwersytecką. Program, który mu przyświecał, był prosty i jednoznaczny: miał gromadzić i szkolić kadrę badaczy marksistowskich zdolnych do podjęcia dzieła pełnej reinterpretacji dziejów literatury ojczystej — za pomocą języka ideologicznego, który właśnie w IBL-u byłby wytwarzany. Ów język powinien tłumaczyć się i definiować swoją tożsamość jako wyspecjalizowana odmiana dyskursu partii komunistycznej. W dziedzinie pracy teoriotwórczej główne zadanie sprowadzało się do „twórczej" egzegezy — oraz adaptacji — pojęć i formuł, jakie uczeni sowieccy wywiedli przedtem z pism klasyków marksizmu-leninizmu, a więc teorii odbicia rzeczywistości w sztuce, teorii dwóch nurtów w kulturze, teorii bazy i nadbudowy, teorii realizmu socjalistycznego, etc. Jej konstytutywnym składnikiem pozostawała nieprzerwana walka z urojeniami, fałszami i ogólnie — antynaukowością burżuazyjnej wiedzy o literaturze — rodzimej i zagranicznej. W dziedzinie pracy interpretacyjnej (historycznoliterackiej) za zadanie

numer jeden uznawano wybór postępowych tradycji w obrębie magazynu literackiej przeszłości; postępowych, czyli takich, które można było — po odpowiednich zabiegach dostosowujących — traktować jako genealogię komunistycznej teraźniejszości: plebejskich, antyreligijnych, antyszlacheckich, materialistycznych (od Biernata z Lublina po dziewiętnastowieczny realizm powieściowy).

Zarówno produkty pracy teoriotwórczej, jak i wzory działań interpretacyjnych, miały być — i były — forsownie upowszechniane w literaturoznawczym nauczaniu uniwersyteckim, w polonistyce szkolnej i normatywnej krytyce literackiej. Wszystko razem nosiło nazwę marksistowskiego przełomu w badaniach literackich. Biegun na pozór nieideologiczny stanowiły w obrębie owoczesnego IBL-u prace — zresztą od samego początku bardzo szeroko zamierzone — nad budową tzw. warsztatu polonistycznego: bibliograficzne, materiałowe, filologiczno-edytorskie, nieco później także leksykograficzne. Jednakże historia takich zwłaszcza przedsięwzięć, jak *Nowy Korbut* czy *Polska bibliografia literacka*, dostarcza aż nazbyt wielu dowodów na głębokie upolitycznienie również tej dziedziny aktywności, podległej doktrynalnym wytycznym i ani przez moment nie wolnej od drobiazgowej kontroli politruków.

Stopniowe wyłamywanie się IBL-u ze sztywnych ram instytucji ideologicznej, jakie się dokonywało w wyniku odwilży 1956 roku (bo przecież, jak wszędzie w pobliżu, dokonywać się musiało), bynajmniej nie oznaczało, że jednoznacznie przestawał nią być. W oficjalnych uzasadnieniach i programach działalności dalej akcentowano wierność zasadom doktryny, która legła od początku u podstaw Instytutu. Ale takie deklaracje miały coraz bardziej charakter retoryczny — w zestawieniu z faktycznymi jego przeobrażeniami. Pełniły więc analogiczne (choć zarazem przeciwstawne) zadania, co uprzednio retoryka scjentystyczna, maskująca dominację treści ideologicznych.

Stosunkowo najszybciej IBL uwolnił się od służebności bezpośrednio propagandowych. Porzucił — już na zawsze — instrumentalne traktowanie języka badań jako swego rodzaju protezy języka partyjnego. Równolegle jednakże wzbierał w Instytucie nurt zatroskania o pryncypia prawdziwego (tzn. nie zwulgaryzowanego doraźnymi potrzebami politycznymi) marksizmu jako uniwersalnej metody interpretowania tworów humanistycznych. Zatroskanym szło o to, by przodująca metoda, ustawicznie ulepszana i wzbogacana elementami

pochodzącymi spoza marksizmu, otwarta na dawność i dzisiejszość humanistyki światowej, dialogująca, sublimowana i szlifowana w sporach — mogła trwale zachowywać swą kierowniczą rolę w literaturoznawstwie, już nie jako coś narzucanego, ale jako swobodnie wybierana możliwość.
Nurt ten, bez wątpienia dominujący w IBL-u po 56 roku, zamykał w pewien sposób pierwszy okres dziejów Instytutu, stanowiąc zarazem przejście do następnego. Miał zresztą spore znaczenie również w tym drugim okresie; w wielu swoich przejawach (bo wcale nie był jednorodny) należał zrazu do zjawisk politycznie akceptowanych, a nawet popieranych, ale jego późniejsze losy nie układały się całkiem idyllicznie. Wola uszlachetniania marksizmu poprzez kolejne „otwarcia" prowadziła nieraz na manowce błędów i odchyleń — nie tolerowanych przez partyjny nadzór. Końcowe lata 60. pozbawiły ostatecznie ten nurt znaczenia. Wprawdzie troska o pomyślność marksizmu w wiedzy o literaturze (i szerzej: w humanistyce) przewija się jeszcze później to tu, to tam, jednakże już nigdy nie miała osiągnąć dawnej siły ekspresji; włączana była niejako z poczucia zadawnionego obowiązku i wyrażała się w gestach rytualnych.

B. Drugi okres historii IBL-u jest znacznie trudniejszy do przedstawienia, ponieważ nie spaja go — jak w poprzednim wypadku — wyraźnie ukierunkowana jedność programu i dążeń, jedność przyjętego kursu (choć był to krótki kurs) i stylu działania.
IBL lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to instytucja policentryczna, wielokierunkowa i wielospecjalistyczna. Wszystko to oczywiście wymagałoby detalicznego opisu: i rodzaje ożywiających środowisko iblowskich zainteresowań, i pluralizm metodologiczny, i formy wewnątrz- i międzydyscyplinarnej komunikacji, i najważniejsze dokonania i główne niedokonania... Jednakże z najbardziej nawet szczegółowego i sumiennego opisu nie wywiedzie się żadnej jedności, która by to wszystko razem trzymała i tłumaczyła; każdy taki opis prowadzi raczej ku bogactwu trudno zrozumiałego rozproszenia.
A przecież nie da się zaprzeczyć, mamy poczucie jedności owego okresu — i chyba nie jest ono złudne. Sądzę, że jedność rodziła się na innym poziomie niż ten, na którym możemy obserwować same zjawiska podlegające opisaniu. Czynnikiem scalającym stawała się szczególna sytuacja, w jakiej Instytut znajdował się w tamtych dziesię-

cioleciach, zresztą pospołu z innymi pokrewnymi placówkami polskiej humanistyki — bynajmniej nie wszystkimi. Próbowałem już kiedyś mówić o niej jako o egzystencji rezerwatowej i nie chciałbym teraz powtarzać dawniejszych rozpoznań. Jakkolwiek więc przedstawiały się polityczne przyczyny takiego zjawiska, faktem empirycznym pozostaje istnienie i działanie w czasach Gomułkowskich, a potem Gierkowskich, humanistyki tolerowanej w jej akademickiej niby-niezależności. To była nisza, w której rozwijała się iblowska nauka o literaturze.

Jak trzeba rozumieć ową akademicką niby-niezależność? Oznaczała ona przede wszystkim uznanie prawa badaczy do samodzielnych inicjatyw problemotwórczych — bez konieczności każdorazowego ich relatywizowania do oczekiwań politycznego nadzoru nad nauką (choć oczywiście takie oczekiwania były wyrażane i pozytywna na nie odpowiedź mogła się wiązać z określonymi gratyfikacjami dla badacza czy instytucji). Ktoś zajmujący się zawodowo historią czy teorią literatury nie odczuwał przymusu orientowania swoich poczynań wobec preferencji tematycznych i ideologicznych partyjnego zwierzchnictwa. Pole swoich dociekań mógł samowolnie zakreślać, znajdując inspiracje dla konceptów czy metod interpretacji wszędzie tam, gdzie kierowały go własne upodobania i skłonności. Nie wymagano od niego tłumaczeń, o ile tylko to, co czynił, dawało się przedstawiać w kategoriach fachowości, potrzeb warsztatu badawczego, rzemiosła, i tym podobnych — a więc w terminach swoiście „produkcyjnych", a nie broń Boże ideologicznych.

Tak wyglądała jedna strona medalu: niezależność. Druga sprowadzała się do tego, że ową niezależność ustawicznie i bacznie kontrolowano — między innymi poprzez wielostopniową cenzurę — oraz w licznych wypadkach z góry, niejako ramowo, ograniczano. Każdy z nas wiedział na przykład, że istnieją zakazane sfery tematyczne, w które oczywiście można sobie prywatnie wkraczać, ale bez żadnych szans, aby swoje nimi zainteresowanie publicznie zamanifestować. Słowem: nie doświadczając nakazów, na każdym kroku mogliśmy doświadczać zakazów i restrykcji. Byliśmy w swojej pracy, ideologicznie nieprzydatnej, tolerowani, ale zarazem — czujnie obserwowani, czy przypadkiem nie wychodzimy poza przyznane swobody. Nie mieliśmy żadnych złudzeń co do natury przyzwoleń; wiedzieliśmy (każdy to w sobie uwewnętrznił), że są one warunkowe, że tak, jak je przyzna-

no, tak też mogą być w dowolnej chwili cofnięte. A na dodatek gdzieś tam w tle majaczyła złowroga możliwość powrotu sytuacji, w której od akademickich humanistów znów będzie wymagany czynny udział we „froncie ideologicznym", wraz ze wszystkimi tego, znanymi już, konsekwencjami. Że nie była to ewentualność czysto teoretyczna — świadczyły ówczesne losy humanistyki w innych krajach komunistycznych.

W całą tę dwuznaczność niby–niezależności iblowska wiedza o literaturze umiała wpisać się dość zręcznie i w sposób, który pozwolił jej na wypracowanie dorobku, zachowującego wartość i znaczenie również poza pierwotnym układem współrzędnych — a więc poza ową dwuznacznością, w jaką była nieuchronnie wplątana. Potrafiła znaleźć się tak, jak gdyby niewątpliwie pozostawała n o r m a l n ą wiedzą akademicką, skupioną bez reszty na swoistych dla niej zadaniach poznawczych, na kształtowaniu własnej problematyki i na usprawnianiu metodologicznego wyposażenia.

Wyrażało się to przede wszystkim w ostentacyjnym podkreślaniu związków łączących jej poszukiwania dzisiejsze i tutejsze — z tradycją badań oraz z tymi ich nurtami, które współcześnie dominowały zagranicą. Ożywiała ją wola przyswajania wszystkiego, co godne uwagi. Nie trzeba przypominać, jak ważną rolę spełniały wtedy liczne tłumaczenia obcojęzycznego piśmiennictwa naukowego, antologie tekstów przekładanych, wszelkiego rodzaju przeglądy, omówienia i sprawozdania. Ta rozwinięta działalność angażowała wcale niemałą grupę ludzi zawodowo uprawiających literaturoznawstwo. Dziś powiedziałbym, że byliśmy wręcz ponad miarę ciekawi wszystkiego, co nowe: zachłannie przyjmowaliśmy wszelkie idee, pojęcia, terminy, nawet i takie, które miały charakter efemeryczny, sezonowy. Wchodziły one natychmiast do naszego uzbrojenia; znajdowały zastosowania w naszych pracach — usilnie staraliśmy się wycisnąć z nich jakieś pożytki. Wzmożona aktywność recepcyjna miała dowodzić — również nam samym — że jesteśmy dobrze zadomowieni w ponadlokalnym porządku nauki. Jakoż problematyka iblowskiego literaturoznawstwa lat 70. stosunkowo niewiele odbiegała od problematyki cieszącej się wzięciem na zachodnich uniwersytetach. Te same sprawy budzące zaciekawienie, te same autorytety, na które się powoływano, te same modne słówka, którymi się przerzucano. Znamienne przy tym, że w odbiorze owych impulsów nie przywiązywaliśmy wię-

kszego znaczenia do faktu, że płyną one z bardzo rozmaitych źródeł — trudno nieraz uzgadnialnych; nasza zachłanność z góry jakby wykluczała obiekcje metodologicznego puryzmu: wcale nie lękaliśmy się niejednorodności języka badań i osobliwych scaleń pojęciowych.
Czy taka mało selektywna recepcja mogła być dla wiedzy o literaturze funkcjonalna i pożyteczna? Co usprawiedliwiało eklektyzm metodologiczny, któremu bez wątpienia sprzyjała? Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: funkcjonalne i pożyteczne okazywało się wtedy wszystko, co pozwalało dyscyplinom humanistycznym skutecznie podtrzymywać o d d a l e n i e od języka pozostającego w dyspozycji władzy komunistycznej — manifestować na jego nieusuwalnym tle swoje różnorodne obcojęzyczności. Na tym właśnie między innymi polegała szansa niby–niezależności: wiedza akademicka mogła ją utożsamić z prawem do pielęgnowania autonomii praktykowanego języka — poprzez takie jego kształtowanie i sytuowanie, aby stawał się nieosiągalny dla dyskursu ideologicznych nadzorców. Im bardziej był bogaty i zróżnicowany, a nawet eklektyczny, tym mniej podatny na inspekcję. Tej motywacji nie wolno przeoczyć: gra o niezależność w ramach niby–niezależności toczyła się także o to, aby chytrze uniedostępnić dyskurs badawczy, uczynić go odpornym na kontrolne wglądy.
Dlatego też, rozważając owoczesne literaturoznawstwo iblowskie, jego energiczne aspirowanie do europejskości, jego strukturalistyczne, antystrukturalistyczne i poststrukturalistyczne osiągnięcia — nie można traktować tego wszystkiego po prostu (i wyłącznie) jako etapu w autonomicznej ewolucji normalnej dyscypliny wiedzy. To była bez wątpienia ważna faza w rozwoju polskiej wiedzy o literaturze, w jej modernizacji, ale zarazem — jedna z form skrytego oporu wobec ideologicznego i językowego podboju życia umysłowego przez totalitarną maszynerię. Dawało to dyscyplinie pewne nadwyżkowe znaczenie: ukierunkowywało ją i integrowało niejako ponad wielorakością występujących w niej orientacji (od scjentyzmu po dążenia zdecydowanie antyscjentystyczne). Czynnikiem spajającym stawała się tajna misja — udział w zasilaniu j ę z y k a a l t e r n a t y w n e g o, pozwalającego przywoływać wartości zagłuszone, zapomniane czy wyklęte w obrębie uniwersum nowomowy.
Mielibyśmy więc do czynienia z sytuacją poniekąd paradoksalną: dyscyplina, która mogła w miarę pomyślnie prosperować tylko pod warunkiem przebywania w akademickim, rezerwatowym wyosobnieniu,

właśnie z tej swojej akademickości wyprowadziła możliwość służby celom pozaakademickim. We właściwych sobie trybach wypowiedzi potrafiła nieraz efektywnie zastępować dyskursy nieobecne, zakazane lub ograniczane w życiu publicznym; mówiąc o literaturze, mówiła zarazem o czymś więcej, a przynajmniej tak się wydawało, że mówi o czymś więcej — że mniej czy bardziej sekretnie przekazuje jakąś oficjalnie nie racjonowaną wiedzę o losie zbiorowym, o tradycjach narodowych, a nawet o mechanizmach współczesnego życia politycznego. Te ukryte misje zapewniały instytutowej nauce o literaturze nie tylko ponadmetodologiczną integrację, ale też niecodzienny sens — i dla tych, co ją uprawiali, i dla tych, co byli jej odbiorcami, i również dla tych, co ją nadzorowali i cenzurowali.
U schyłku lat 70., wraz z pojawieniem się niezależnych ośrodków życia intelektualnego i przede wszystkim wydawnictw pozacenzuralnych, owe ukryte misje traciły stopniowo uprzednie znaczenie. Zaczęła maleć rola takich instytucjonalnie umiejscowionych środowisk ideotwórczych jak iblowskie, których formy ekspresji i oddziaływania, ograniczone wymogami rezerwatu, poddane wielorakim upośrednieniom wymuszonym przez cenzurę, przestawały być funkcjonalne, nabierały charakteru przeżytkowego — w zestawieniu z możliwościami słowa nieskrępowanego, bezpośrednio nazywającego zjawiska i wartości, radośnie odrzucającego konwencje mowy przenośnej i pokrętności języków ezopowych.
Osłabnięcie czynnika tak istotnie wiążącego przez długie lata prace i dnie społeczności iblowskiej, w sposób naturalny uwolniło siłę odśrodkową, która ustawicznie przecież rodzi pluralizm i policentryzm dążeń. Rozchwiała się wspólnota komunikacyjna, która przedtem nadbudowywała się nad nimi — i oto poszczególne szkoły, specjalności, pracownie, zespoły znalazły się niejako sam na sam ze swymi nieubłaganymi partykularyzmami.

C. Tak wyglądała z grubsza cezura przypadająca na końcowe lata siedemdziesiąte; wraz z nią rozpoczął się okres duchowego dryfowania IBL-u. Można by powiedzieć, że w poprzednich fazach swojej historii Instytut przetestował dwa — skrajnie różniące się — warianty spójności, teraz natomiast przyszło mu wypróbowywać możliwość bytowania poza spójnościami.
Ta nowa wtedy sytuacja wprowadzała niektórych w stan głębokiego

przygnębienia: wydawała się nienaturalna i pozbawiona perspektyw; nikt chyba nie sądził, że może się utrzymywać na dłuższą metę, ale właśnie poczucie jej tymczasowości budziło lęk o przyszłość. Obecnie nie jest już nowa, gdyż zdołaliśmy zżyć się z nią w ciągu lat osiemdziesiątych i później. Nie sposób byłoby nawet utrzymywać, że wprowadziła jakieś dramatyczne zerwanie ciągłości w dziejach IBL-u. Nadal przecież działała inercja wcześniej podjętych prac i zobowiązań, chęć ich kontynuowania, a nawet rozszerzania. Codzienne życie Instytutu toczyło się dalej, jakby nawykowo, utartymi ścieżkami: rodziło doktoraty, habilitacje, bibliografie, przyczynki, monografie, przeglądy badań, konferencje, sympozja i seminaria. Jednakże w tej powszedniej krzątaninie coraz dotkliwiej odczuwało się brak zwierzchniego ładu, który by ją podsycał sensem, brak ram scalających doświadczenia — projektu dyscypliny, który by wielodrożność, wielokierunkowość i wielocelowość usiłowań przyporządkowywał jakiejś środowiskowo uznawanej hierarchii celów i wartości. Dawniejsze drogowskazy utraciły w dużej mierze znaczenie, ale nie widać, by ktoś próbował ustawiać nowe. Usnęła bowiem wola zadawania pytań podstawowych tyczących dziedziny wiedzy wspólnie przez nas uprawianej — jej zasad pierwszych. Powroty do takich fundamentalnych pytań (o naturę przedmiotu dyscypliny, o jej zadania poznawcze i społeczne obligacje) zdają się nieuniknione, gdy następuje zauważalne zużycie dotychczasowego „paradygmatu" poszukiwań. W przeszłości bywały — co dobrze wiemy — ważnym czynnikiem motorycznym w ewolucji literaturoznawstwa; łączyły się zwykle z wchodzeniem do gry nowych pokoleń badaczy...

Okres dryfowania (zgodnie z wymaganiami purystów: znosu) też, jak wszystko, dobiegnie kiedyś kresu i być może okaże się wtedy, że był jedynie etapem przejściowym — poprzedzającym trudną teraz do wyobrażenia nową integrację iblowskiej nauki o literaturze i iblowskiej społeczności. Nie wiemy, co mogłoby ją spowodować. Jakiś ciąg szczęśliwych trafów? przyjazny układ planet? optymizm poznawczy początków nowego tysiąclecia? Wiemy wszakże, co jej samo przez się nie spowoduje.

Nie dojdzie do niej — choć takie nadzieje mogą niektórzy żywić — na drodze udoskonaleń instytucjonalno-organizacyjnych, choćby i najbardziej wyrafinowanych. Nie przybliży jej żadna restrukturyzacja Instytutu, nawet nieprzerwanie prowadzona (restrukturyzacja to

jedno ze słów–wytrychów, które otwierają różne sezamy). Nie wspomoże najusilniejsza komputeryzacja wszystkiego. Nie wywoła najdoskonalsza planistyka, kontrola i sprawozdawczość. Nie wymusi najbardziej postmodernistyczna technika kierowania i zarządzania — w rękach bezgranicznie pracowitych i oddanych sprawie dyrektorów...

Tą niewielką profecją pozwalam sobie zakończyć wywód o potrzebie historii Instytutu Badań Literackich.

listopad 1993

Autobiografia

Richard Rorty

Trocki i dzikie storczyki

Jeśli to prawda, że najlepsza sytuacja intelektualna polega na tym, że jest się zaciekle atakowanym tak z prawa, jak z lewa, to znajduję się w świetnej formie. Konserwatywni rycerze kultury często mnie wymieniają jako jednego z tych irracjonalnych, rozchichotanych, kpiących i siejących spustoszenie relatywistów, których pisma osłabiają tężyznę moralną młodzieży. Neal Kozody, publikujący w biuletynie miesięcznym wydawanym przez komitet pn. O Wolny Świat, organizacji znanej ze swej czujności wobec przejawów osłabienia moralnego, oskarża mnie o „cynizm i nihilizm" i twierdzi, że „nie wystarczy mu [Rorty'emu], że amerykańscy studenci staną się bezmyślni, chciałby on, aby zostali oni do tej bezmyślności zmobilizowani". Teolog Richard Neuhaus, według którego żaden bezbożnik nie może być dobrym obywatelem Stanów, powiada, że „słownik ironisty" zalecany przeze mnie „ani nie stworzy języka publicznego godnego obywateli demokracji, ani też nie zwalczy intelektualnie jej wrogów, ani wreszcie nie przekaże jej racji następnym pokoleniom". Moje krytyczne uwagi o książce Allana Blooma *The Closing of the American Mind*, sprowokowały Harveya Mansfielda — powołanego przez prezydenta Busha w skład Krajowej Rady Humanistyki — do wypowiedzi, iż „wyrzekł się on [Rorty] Ameryki" i że „udało mu się pomniejszyć nawet Deweya". (Niedawno Mansfield określił Deweya jako średniej rangi szkodnika".)

Jego kolega w Radzie, filozof jak ja, John Searle, sądzi, że wysokie normy w amerykańskim szkolnictwie wyższym przywrócone zostaną dopiero wówczas, gdy ludzie odetną się od sądów o prawdzie, wiedzy i obiektywności, które ja staram się im za wszelką cenę narzucić.
Mimo to Sheldon Wolin, występując z pozycji lewicowych, dostrzega wiele wspólnego między mną a Allanem Bloomem. Obaj oni, powiada, są intelektualnymi snobami i troszczą się wyłącznie o próżniacze elity kulturalne, do których sami należą. Nie mamy nic do powiedzenia Murzynom i innym grupom, zepchniętym przez społeczeństwo amerykańskie na margines. Ta opinia Wolina znajduje oddźwięk u Terry'ego Eagletona, czołowego brytyjskiego myśliciela marksistowskiego. Eagleton pisze, że „w społeczeństwie idealnym [Rorty'ego] intelektualiści będą »ironistami« przyjmującymi odpowiednio wyniosłą i beztroską postawę wobec własnych przekonań, podczas gdy masy, dla których taka samoironia może się okazać narzędziem nazbyt wywrotowym, będą nadal oddawać cześć godłom narodowym i brać życie na serio". „Der Spiegel" ogłasza, że próbuję „nadać pozór przyzwoitości regresizmowi yuppich". Jonathan Culler, jeden z głównych uczniów i popularyzatorów Derridy, oświadcza, że moja wersja pragmatyzmu „wydaje się najzupełniej odpowiednia w epoce Reagana". Richard Bernstein pisze, że moje poglądy to „niewiele więcej niż ideologiczna apologia staroświeckiej wersji zimnowojennego liberalizmu przebranego w modny »postmodernistyczny« dyskurs". Ulubionym słówkiem lewicy w stosunku do mnie jest „samozadowolenie", podczas gdy prawicy — „nieodpowiedzialność".
Wrogość lewicy da się częściowo wyjaśnić przez fakt, że większość osób podziwiających tak jak ja Nietzschego, Heideggera i Derridę — większość ludzi, którzy albo sami określają się jako „postmoderniści", albo (jak ja) muszą się z tą etykietką pogodzić — bierze udział w czymś, co Jonathan Yardley nazwał „totalizatorem amerykańskiego nieudacznictwa". Uczestnicy tego przedsięwzięcia ścigają się w wynajdywaniu coraz lepszych, zjadliwszych sposobów na opisanie Stanów Zjednoczonych. Widzą oni w naszym kraju wcielenie wszystkich złych stron bogatego, postoświeceniowego Zachodu. Postrzegają nas, w kategoriach Foucault, jako „społeczeństwo dyscyplinujące", zdominowane przez etos „indywidualizmu liberalnego", etos, który wytwarza rasizm, szowinizm męski, konsumeryzm oraz prezydentów należących do Partii Republikańskiej. Natomiast ja widzę Amerykę

mniej więcej tak, jak widzieli ją Whitman i Dewey — jako kraj, przed którym otwierają się nieograniczone perspektywy demokratyczne. Sądzę, że kraj nasz — mimo wszystkie jego dzisiejsze występki i szkaradzieństwa i mimo skwapliwość, z jaką ciągle wybiera na wysokie urzędy głupców i niegodziwców — stanowi niezły przykład najlepszego społeczeństwa, jakie udało się dotąd wynaleźć.

Wrogość prawicy w znacznym stopniu bierze się stąd, że myśliciele prawicowi nie sądzą, aby wystarczyło społeczeństwa demokratyczne po prostu p r e f e r o w a ć. Trzeba jeszcze uwierzyć, że są one Obiektywnie Dobre, że instytucje owych społeczeństw ugruntowane są na Racjonalnych Zasadach Pierwszych. Zwłaszcza jeśli ktoś uczy filozofii, jak ja to robię, to oczekuje się od niego, że będzie on mówił młodzieży nie tylko, iż społeczeństwo nasze jest najzwyczajniej jednym z lepszych, jakie udało się wymyśleć, ale iż jest ono wcieleniem Prawdy i Rozumu. Odmowę opowiadania podobnych historyjek określa się jako przykład „zdrady kleryków" i traktuje jako rezygnację z odpowiedzialności zawodowej i moralnej. Moje własne poglądy filozoficzne — poglądy, które dzielę z Nietzschem i Deweyem — zabraniają mi mówić coś takiego. Nie dostrzegam większego pożytku w pojęciach takich, jak „wartość obiektywna"i „prawda obiektywna". Sądzę, że tak zwani postmoderniści mają na ogół rację, krytykując tradycyjne dywagacje filozoficzne na temat „rozumu". Moje poglądy filozoficzne tak samo więc oburzają prawicę, jak moje polityczne preferencje — lewicę.

Słyszę niekiedy od krytyków z obu krańców politycznego wachlarza, że tak przewrotne stanowisko nie może być niczym innym jak czystą igraszką. Podejrzewają oni, że gotów jestem mówić cokolwiek, byle tylko zadziwić, i że zabawiam się po prostu, występując przeciwko wszystkim wokół. To boli. Spróbuję zatem powiedzieć coś niecoś o tym, jak doszedłem do moich obecnych pozycji — jak trafiłem do filozofii i jak okazało się później, iż nie nadaje się ona do tego, na czym mi od początku zależało. Może ta garść autobiograficznych uwag pozwoli wyjaśnić, że jeśli nawet mój pogląd na stosunek filozofii do polityki jest osobliwy, to nie przyjąłem go lekkomyślnie.

Kiedy miałem dwanaście lat, najważniejszymi książkami na półkach moich rodziców były dwa oprawione w czerwień tomy — *The Case of Leon Trotsky* i *Not Guilty*. Składały się na nie sprawozdania komisji

Deweya z badań nad procesami moskiewskimi. Nie czytałem ich nigdy z takimi wypiekami, jak działo się to przy książkach w rodzaju *Psychopathia Sexualis* Krafta–Ebbinga, ale myślałem o nich tak, jak inne dzieci myślą o swej rodzinnej Biblii. Książki te promieniowały prawdą odkupienia i blaskiem moralnym. Gdybym był naprawdę d o b r y m chłopakiem, mówiłem sobie, przeczytałbym nie tylko sprawozdanie komisji Deweya, ale i *Historię rewolucji rosyjskiej* Trockiego, książkę, którą zaczynałem wiele razy, ale której nie zdołałem nigdy ukończyć. Rewolucja rosyjska i jej zdrada przez Stalina były bowiem dla mnie w latach czterdziestych tym, czym Wcielenie i jego zdrada przez katolików były dla przemądrzałych małych luteranów cztery wieki wcześniej.

Ojcu memu niemal udało się towarzyszyć Johnowi Deweyowi w drodze do Meksyku, jako przedstawicielowi Puerto Rico w komisji, której tamten przewodniczył. Po rozstaniu się moich rodziców z Komunistyczną Partią Stanów Zjednoczonych w 1932 roku, „Daily Worker" nazwał ich trockistami, a oni etykietkę tę chcąc nie chcąc zaakceptowali. Kiedy Trocki został w 1940 roku zamordowany, jego sekretarz, John Frank, powziął nadzieję, że GPU nie wpadnie na pomysł, żeby szukać go w odległej wiosce nad rzeką Delaware, gdzie wówczas mieszkaliśmy. Przez kilka miesięcy bawił u nas, pod pseudonimem, w Flatbrookville. Przestrzegano mnie, abym nie zdradził jego tożsamości, choć wątpię, czy moich kolegów z podstawówki takie niedyskrecje mogłyby zaciekawić.

Wyrastałem w przekonaniu, że wszyscy przyzwoici ludzie, jeśli nie są trockistami, to są przynajmniej socjalistami. Wiedziałem również, że Stalin kazał zabić nie tylko Trockiego, ale też Kirowa, Ehrlicha, Altera i Carla Trescę (Tresca, zastrzelony na ulicach Nowego Jorku, był przyjacielem naszego domu). Wiedziałem, że biedny lud będzie uciskany dopóty, dopóki kapitalizm nie zostanie obalony. W wieku dwunastu lat, pracując społecznie jako chłopiec na posyłki, roznosiłem brudnopisy informacji prasowych z biura Ligi Obrony Robotników przy Gramercy Park (gdzie pracowali moi rodzice) do domu zaraz za rogiem, gdzie mieszkał Norman Thomas (kandydat Partii Socjalistycznej na prezydenta), a także do biura A. Philipa Randolpha w Bractwie Pracowników Wagonów Sypialnych Pullmana, przy ulicy Sto Dwudziestej Piątej. Jadąc metrem, czytywałem przewożone przez siebie materiały. Mówiły mi one wiele o tym, co złego zrobili właściciele fabryk działa-

czom związkowym, plantatorzy — drobnym dzierżawcom, zaś związek białych maszynistów kolejowych — kolorowym palaczom (biali połakomili się na ich stanowiska, kiedy maszyny parowe zaczęto zastępować silnikami Diesla). Tak więc mając dwanaście lat wiedziałem już, że sens człowieczeństwa polega na zwalczaniu niesprawiedliwości społecznej.

Ale jednocześnie miałem zainteresowania prywatne, dziwaczne, snobistyczne, trudne do wyjawienia. W latach wcześniejszych był to Tybet. Intronizowanemu właśnie Dalajlamie posłałem prezent, z załączonymi gratulacjami dla rówieśnika ośmiolatka, któremu tak się powiodło. Kilka lat później, gdy moi rodzice zaczęli dzielić swój czas między Chelsea Hotel a góry północno-zachodniej części stanu New Jersey, moje zainteresowania zwróciły się ku storczykom. W górach tych występowało około czterdziestu gatunków dzikich storczyków, a ja z biegiem czasu odnalazłem siedemnaście z nich. Dzikie storczyki są rzadkością i dosyć trudno je wykryć. Byłem niesłychanie dumny, że jestem jedyny w okolicy, który wie, gdzie one rosną, jakie nazwy łacińskie noszą i kiedy kwitną. Będąc w Nowym Jorku, udawałem się do Biblioteki Publicznej przy ulicy Czterdziestej Drugiej, by odczytywać na nowo dziewiętnastowieczny tom poświęcony botanice storczyków we wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Nie bardzo wiedziałem dlaczego owe storczyki są takie ważne, że jednak są ważne, byłem przekonany. Miałem pewność, że nasze szlachetne, czyste, niepokalane północnoamerykańskie dzikie storczyki górują moralnie nad wystawianymi w kwiaciarniach, pretensjonalnymi, będącymi krzyżówką, orchideami tropikalnymi. Byłem również przekonany, że jest to fakt o głębokiej wymowie, iż storczyki są ostatnimi i najbardziej skomplikowanymi roślinami, jakie powstały w wyniku ewolucji. Patrząc wstecz, podejrzewam, że kryło się w tym sporo wysublimowanego erotyzmu (storczyki cieszą się przecież sławą kwiatów erotycznych) oraz że moja chęć, by wiedzieć o nich wszystko, miała związek z chęcią zrozumienia rozmaitych trudnych słówek u Krafta-Ebbinga.

Uwierało mnie jednak poczucie, że w tej ezoteryce jest coś wątpliwego — w owym zainteresowaniu dla kwiatów społecznie bezużytecznych. W długich, wolnych chwilach jedynaka, bystrego i zadzierającego nosa obiboka, przeczytałem fragmenty książki Marius the Epicurean, a także urywki prac marksistowskich krytykujących estetyzm Patera. Oba-

wiałem się, że Trocki (do którego *Literatury i rewolucji* zaglądałem) nie pochwaliłby mojego zainteresowania storczykami.
Kiedy miałem piętnaście lat, schroniłem się przed dryblasami, którzy regularnie sprawiali mi lanie na szkolnym boisku (tchórzliwi dryblasi obumrą, zakładałem, gdy obalony zostanie kapitalizm) — wstępując do tzw. kolegium Hutchinsa w Uniwersytecie Chicagowskim. (Instytucja ta została unieśmiertelniona przez A. J. Lieblinga jako „największy od czasów Krucjaty Dziecięcej zbiór neurotycznych małolatów".) Jeśli hołdowałem jakiemuś programowi, była to chęć pogodzenia Trockiego ze storczykami. Pragnąłem znaleźć taki układ odniesienia, który pozwoliłby mi — według porażającego sformułowania, jakie znalazłem u Yeatsa — „uchwycić rzeczywistość i sprawiedliwość w wizji jednorodnej". Przez „rzeczywistość" rozumiałem, z grubsza biorąc, Wordsworthowskie chwile objawienia, podczas których, w okalających Flatbrookville lasach (zwłaszcza zaś w obecności pewnych storczyków o koralowej łodydze i mniejszego obuwika pospolitego), czułem dotknięcie czegoś noumenalnego, o niewysłowionym znaczeniu. Przez „sprawiedliwość" pojmowałem to, o co walczyli Norman Thomas i Trocki — wyzwolenie słabych spod władzy silnych. Pragnąłem znaleźć sposób, by stać się zarówno intelektualnym i duchowym snobem, jak i przyjacielem rodzaju ludzkiego, bezużytecznym samotnikiem i bojownikiem o sprawiedliwość. Miałem chaos w głowie, ale żywiłem ostrożną nadzieję, że w Chicago odkryję, jak dorośli radzą sobie z tą sztuczką, o którą mi chodziło.
Kiedy trafiłem do Chicago (w 1946 roku), przekonałem się, że Hutchins, wspólnie ze swymi przyjaciółmi, Mortimerem Adlerem i Richardem McKeonem (czarnym charakterem z książki Pirsiga *Zen i sztuka oporządzania motocykla*) omamili w Uniwersytecie Chicagowskim wiele osób swymi neoarystotelesowskimi praktykami. Najczęstszym przedmiotem ich kpin stał się pragmatyzm Johna Deweya. Pragmatyzm był filozofią Sidneya Hooka, przyjaciela moich rodziców, jak też nieoficjalną filozofią większości pozostałych nowojorskich intelektualistów, którzy porzucili materializm dialektyczny. Ale dla Hutchinsa i Adlera pragmatyzm był płaski, „relatywistyczny" i wewnętrznie sprzeczny. Jak podkreślali raz po raz, Dewey nie uznaje żadnego absolutu. Twierdzić, za Deweyem, że „jedynym celem moralnym jest sam rozwój", oznacza, że pozostajemy bez żadnych kryteriów owego rozwoju, a zatem bez żadnych środków pozwalających przeciwstawić się

Hitlerowi, gdy łudzi on opinię, jakoby Niemcy pod jego panowaniem „wzrastały". Mówić zaś, że prawdą jest to, co skuteczne, oznacza sprowadzić poszukiwanie prawdy do poszukiwania siły. Jedynie odwołując się do czegoś wiecznego, absolutnego i dobrego — jak Bóg św. Tomasza lub „natura istot ludzkich" opisana przez Arystotelesa — potrafimy dać odpór nazistom i uzasadnić nasz wybór demokracji społecznej przeciw faszyzmowi.

Pogoń za absolutem wspólna była neotomistom i Leo Straussowi, pedagogowi, który przyciągnął do siebie w Chicago najlepszych studentów (łącznie z moim kolegą z ławy uniwersyteckiej, Allanem Bloomem). Chicagowski wydział pełen był niezwykle uczonych uciekinierów z Niemiec hitlerowskich, z nich zaś największym poważaniem cieszył się Strauss. Wszyscy oni godzili się chyba co do tego, że potrzeba czegoś głębszego i o większym ciężarze gatunkowym niż filozofia Deweya — jeśli mielibyśmy wyjaśnić, dlaczego lepiej zginąć niż stać się nazistą. W moich uszach piętnastolatka brzmiało to całkiem dobrze. Absoluty moralne i filozoficzne wykazywały bowiem pewne podobieństwo do moich ukochanych storczyków — noumenalnych, trudnych do znalezienia, znanych nielicznym wybrańcom. Ponadto fakt, że Dewey był postacią heroiczną dla wszystkich osób, wśród których dorastałem, sprawiał, że kpiny z niego stawały się wygodną formą młodzieńczego buntu. Kwestia polegała jedynie na tym, czy kpiny te mają przybrać formę religijną czy filozoficzną oraz jak je połączyć z dążeniem do sprawiedliwości społecznej.

Jak wielu moich kolegów w Chicago, znałem na pamięć wiele wierszy Eliota. Pociągały mnie jego sugestie, że tylko zaangażowani chrześcijanie (być może zaś jedynie anglokatolicy) potrafią przezwyciężyć niezdrowe zaabsorbowanie prywatnymi obsesjami, służąc tym samym swym bliźnim z należytą pokorą. Pełna jednak pychy niezdolność do uwierzenia w to, co recytowałem podczas wyznania wiary, stopniowo doprowadziła mnie do tego, że porzuciłem niezręczne próby przeistoczenia się w istotę religijną. Oparcie znalazłem wówczas w filozofii absolutystycznej.

Przez Platona przebrnąłem w piętnastym roku życia i nabrałem przekonania, że Sokrates miał rację — cnota j e s t wiedzą. Twierdzenie to było muzyką dla moich uszu, gdyż miałem wątpliwości co do mego charakteru moralnego i podejrzewałem, że jedyne moje dary, to dary intelektualne. Poza tym, Sokrates m u s i a ł mieć rację, gdyż tylko

pod tym warunkiem można było uchwycić rzeczywistość i sprawiedliwość w jednolitym widzeniu. I tylko wówczas można stać się kimś tak dobrym, jak najlepsi chrześcijanie (tacy jak Alosza w *Braciach Karamazow*, co do którego nie mogłem, i dalej nie mogę, wyrobić sobie zdania, czy mam mu zazdrościć, czy też mam nim pogardzać) oraz tak uczonym i bystrym jak Strauss i jego studenci. Jako główny kierunek studiów wybrałem więc filozofię. Wyobraziłem sobie, że jeśli stanę się filozofem, mogę znaleźć się na górnym odcinku „podzielonej linii" — w miejscu „poza mniemaniami", gdzie pełny blask słoneczny Prawdy oświetla oczyszczone dusze mądrych i dobrych, na Polach Elizejskich upstrzonych niematerialnymi storczykami. Wydawało mi się oczywiste, że dostać się tam, to cel, do którego dąży w istocie każdy, kto ma jako tako wyposażony umysł. Wydawało mi się ponadto, że platonizm wykazuje wszelkie zalety religii, bez wymogu pokory, jakiej żądało chrześcijaństwo, a do jakiej ja — wedle wyraźnych oznak — byłem niezdolny.

Wszystko to sprawiało, że bardzo mocno pragnąłem stać się swego rodzaju platonikiem, od piętnastego zaś do dwudziestego roku życia robiłem, co tylko mogłem, w tym kierunku. Nie udało się jednak. Nigdy nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy filozof platońskiego pokroju stara się osiągnąć sprawność w nawracaniu każdego napotkanego na własne wierzenia (coś, w czym celował Iwan Karamazow), czy też dąży do swoistego, nie dającego się przekazać, osobistego błogostanu (coś, co jak się zdaje, posiadł jego brat Alosza). Cel pierwszy to panowanie perswazyjne nad innymi, np. umiejętność przekonania tchórzliwych dryblasów, że nie powinni kogoś maltretować, albo kapitalistów, że mają zrzec się swej władzy na korzyść kooperującej ze sobą wspólnoty równościowej. Cel drugi to taki stan ducha, gdy wszystkie wątpliwości cichną, ale umyka też zapał polemiczny. Oba te cele wydawały mi się godne pożądania, lecz nie wiedziałem, jak je ze sobą zestroić.
W tym samym czasie, gdy nękały mnie wspomniane napięcia w obrębie platonizmu — oraz we wszelkich innych odmianach tego, co Dewey nazwał „poszukiwaniem pewności" — dolegał mi też dobrze znany problem: jak znaleźć uzasadnienie dla jakiegokolwiek podlegającego debacie stanowiska, na jakikolwiek ważny temat — nie wpadając w błędne koło rozumowania. Im więcej czytałem filozofów, tym wyraźniej mogłem dostrzec, że każdy z nich potrafi sprowadzić swe poglądy

do zasad pierwszych, nie do pogodzenia z zasadami oponentów, i że żaden z nich nie dotarł do owego baśniowego miejsca „poza mniemaniami". Wyglądało, że nie istnieje żadna neutralna pozycja, z której owe alternatywne zasady pierwsze można by ocenić. Jeśli jednak nie ma takiej pozycji, wówczas cała idea „pewności racjonalnej" oraz cała sokratejsko-platońska idea zastępowania namiętności rozumem, traciły sens.

W rezultacie przeszedłem do porządku nad argumentacją błędnego koła, decydując, że sprawdzianem prawdy filozoficznej jest raczej ogólna koherencja niż wywodliwość z niepodważalnych zasad pierwszych. Niewiele to jednak pomogło. Koherencja bowiem polega na unikaniu sprzeczności, rada zaś św. Tomasza — „jeśli napotkasz sprzeczność, dokonaj rozróżnień" — czyniła z tego rzecz dosyć łatwą. Na ile mogłem dostrzec, talent filozoficzny polegać miał głównie na takim mnożeniu rozróżnień, jakiego trzeba, aby wydostać się z pułapki dialektycznej. Ogólnie biorąc, chodziło o to, aby — jeśli już w nią wpadliśmy — opisać najbliższy obszar intelektualny na nowo i w taki sposób, by kategorie użyte przez naszego oponenta wydały się nie na temat lub nieuzasadnione, czy też jałowe. Okazało się, że mam dryg do tego. Zacząłem jednak wątpić, czy rozwijanie podobnych umiejętności uczyni mnie mądrym lub cnotliwym.

Od czasu pierwszych rozczarowań (których szczyt przypadł na okres, gdy przenosiłem się z Chicago do Yale, by tam zrobić doktorat) spędziłem czterdzieści lat szukając spójnego i przekonującego sposobu sformułowania mojej troski — do czego może służyć filozofia, jeśli w ogóle może ona służyć. Punktem wyjścia stało się odkrycie *Fenomenologii ducha* Hegla, książki, która w moim rozumieniu mówi, co następuje. Jeśli filozofia polega po prostu na tym, że każdy filozof opisuje na własny sposób swego poprzednika, to przebiegłość Rozumu pozwala spożytkować nawet ten rodzaj współzawodnictwa. Spożytkować tak, by przędła się tkanina pojęciowa społeczeństwa bardziej wolnego, lepszego, sprawiedliwszego. Choćby filozofia nie była niczym więcej niż, jak określił to Hegel, „swoją własną epoką ujętą w myślach" (przeł. A. Landman), nie jest to mimo wszystko mało, można bowiem dokonać rzeczy, której chciał Marks — zmienić świat. Jeśli nawet nie istnieje nic takiego jak „zrozumienie świata" w sensie platońskim — zrozumienie z pozycji poza czasem i historią — to może jednak będzie jakiś pożytek społeczny z moich talentów i ze studiowania filozofii.

Po przeczytaniu Hegla sądziłem przez pewien czas, że dwoma największymi osiągnięciami gatunku biologicznego, do którego należę, są *Fenomenologia ducha* i *W poszukiwaniu straconego czasu* (książka, która zajęła miejsce dzikich storczyków z chwilą, gdy porzuciłem Flatbrookville dla Chicago). Kunszt, z jakim Proust splata intelektualny i towarzyski snobizm z głogami wokół Combray, z bezinteresowną miłością babciną, ze storczykowym opętaniem Swanna przez Odette, a Charlusa przez Jupiena, oraz ze wszystkim, cokolwiek autor napotka, kunszt w oddawaniu sprawiedliwości każdemu, bez poczucia, że trzeba powiązać to ze sobą za pomocą wiary religijnej lub teorii filozoficznej — wydawał mi się równie zaskakujący, jak zdolność Hegla do pogrążania się kolejno w empiryzmie, tragedii greckiej, stoicyzmie, chrześcijaństwie i fizyce newtonowskiej oraz do wyłaniania się za każdym razem z wolą rzeczy nowych.
Właśnie to radosne zaangażowanie w niezbywalną czasowość, wspólne obu autorom, jawiło mi się jako coś tak cudownego. Zdawało się, że obaj potrafią wpleść w opowieść wszystko, na co natrafią, nie pytając, czy opowieść ta będzie miała jakikolwiek morał i nie pytając, jak wyglądałaby ona z perspektywy wieczności.

Mniej więcej dwadzieścia lat po tym, jak zdecydowałem, że Heglowska wola wyrzeczenia się aspiracji do wieczności i pozostania po prostu dziecięciem swego czasu jest właściwą odpowiedzią na rozczarowanie Platonem, odkryłem, że wracam do Deweya. Dewey przedstawiał mi się teraz jako filozof, który wyciągnął lekcję z tego, co Hegel miał do powiedzenia o sposobach unikania rzeczy wiecznych i pewnych, i który uodpornił się jednocześnie przeciwko panteizmowi, traktując poważnie Darwina. Ponowne odkrycie Deweya zbiegło się z moim pierwszym spotkaniem z Derridą (dzięki Jonathanowi Aracowi, koledze z Princeton). Derrida skierował do Heideggera, i uderzyło mnie podobieństwo postawy krytycznej wobec kartezjanizmu u Deweya, Wittgensteina i Heideggera. Nagle wszystko zaczęło łączyć się ze sobą. Byłem pewien, że dostrzegam, jak powiązać krytyczny stosunek do tradycji kartezjańskiej z *quasi*-heglowskim historyzmem Michela Foucault, Iana Hackinga i Alasdaira MacIntyre'a. Pomyślałem, że mógłbym to ułożyć w *quasi*-heideggerowską opowieść o napięciach występujących w platonizmie.
Mała ta epifania dała w rezultacie książkę *Philosophy and the Mirror of*

Nature. Chociaż książka nie spodobała się większości moich kolegów, profesorów filozofii, cieszyła się ona na tyle dużym powodzeniem wśród nie-filozofów, że mogła dodać mi pewności siebie, której potrzebowałem. Ale *Philosophy and the Mirror of Nature* w niewielkim tylko stopniu potrafiła zaspokoić moje dawne ambicje. Tematyka, którą poruszałem — problem relacji między umysłem a ciałem, kontrowersje w filozofii języka wokół prawdy i znaczenia, Kuhnowska filozofia nauki — była dosyć oddalona zarówno od Trockiego, jak i od storczyków. Powróciłem do dobrych stosunków z Deweyem; wysłowiłem mój historystyczny antyplatonizm; rozstrzygnąłem, co sądzę o kierunku i wartości bieżących prądów w filozofii analitycznej. Przeprowadziłem porządek wśród większości filozofów, których dotąd przeczytałem. Ale nie odpowiedziałem na żadne z pytań, które sprawiły, że w ogóle zająłem się filozofami. Nie zbliżyłem się ani na krok do wizji jednorodnej, w poszukiwaniu której powędrowałem przed trzydziestu laty do szkół.

Starając się dociec, gdzie tkwi błąd, zacząłem stopniowo nabierać przekonania, że cała owa idea uchwycenia rzeczywistości i sprawiedliwości w jednej wizji była pomyłką — że właśnie pogoń za taką wizją wywiodła Platona na manowce. Konkretnie, doszedłem do przekonania, że wyłącznie religia — wyłącznie bezdyskusyjna wiara w jakąś namiastkę ojca, w kogoś, kto w przeciwieństwie do prawdziwego ojca ucieleśnia na równi miłość, moc i sprawiedliwość — może zastosować chwyt, o który chodziło Platonowi. Skoro jednak nie mogłem sobie wyobrazić siebie jako istoty religijnej, w gruncie rzeczy zaś stawałem się coraz bardziej i bardziej świecki, zdecydowałem, że nadzieja pokładana w jednorodnej wizji, jaką można zyskać zostając filozofem, to samoułuda bezbożników. Postanowiłem więc napisać książkę o tym, jak mogłoby wyglądać życie intelektualne, gdyby udało się nam porzucić platońskie próby uchwycenia rzeczywistości i sprawiedliwości w jednolitej wizji.

Książka ta, *Contingency, Irony, and Solidarity*, stara się dowieść, że nie musimy spajać w jedno Trockiego i storczyki. Należy raczej zwalczać pokusę łączenia ze sobą odpowiedzialności moralnej wobec innych z osobistym stosunkiem do wszelkich dziwnych rzeczy albo ludzi, których pokochaliśmy z całego serca, z całej duszy i całym umysłem (lub, jak kto woli, rzeczy i ludzi, na których punkcie jesteśmy opętani). Niekiedy zresztą wszystko to się zbiega, jak w przypadku niektórych

szczęśliwych chrześcijan, nie oddzielających miłości Boga od miłości bliźniego, lub rewolucjonistów, niepomnych na nic poza sprawiedliwością społeczną. Ale rzeczy te nie muszą się łączyć i nie należy zbyt usilnie się o to starać. Sądzę, na przykład, że Jean-Paul Sartre ma rację, gdy oskarża Kanta o samoułudę w dążeniu do pewności, choć nie ma on racji, gdy demaskuje Prousta jako zbędnego burżuazyjnego pasożyta, człowieka, którego życie i twórczość nie mają żadnego znaczenia z perspektywy jedynej sprawy, która się liczy, walki o obalenie kapitalizmu.

Dla walki tej, istotnie, życie i dzieło Prousta nie ma żadnego znaczenia. Ale niemądry to powód, aby gardzić Proustem. Zawiera się w tym przewrotność nie mniejsza niż w pogardzie Savonaroli dla dzieł sztuki, nazywanymi przez niego „marnością". Jest to jednostronna pogoń za sercem czystym — chęć pożądania jednej tylko rzeczy — ale pogoń dekadencka. Zamiast pogodzić się z faktem własnej skończoności, człowiek chce wtedy spojrzeć na siebie jako na ucieleśnienie czegoś większego (Ruchu, Rozumu, Dobra, Świętości). A przecież należy przyjąć do wiadomości, że najbardziej obchodzące nas sprawy mogą niewiele znaczyć dla innych. Twój odpowiednik moich storczyków może wydawać się ludziom dziwaczny, chorobliwy. Ale to nie powód, abyś się go wyrzekał i nim pomiatał, oraz usiłował porzucić twoje Wordsworthowskie chwile objawienia, twoją kochankę, twoją rodzinę, twoje zwierzątko domowe, twoje ulubione linijki poezji, czy twoje dziwaczne wierzenia religijne. Uniwersalność nie jest niczym świętym i nie sprawi, iż rzeczy wielokrotne staną się od razu lepsze niż pojedyncze. Coś, co do czego każdy się zgodzi (fakty uniwersalne), nie góruje automatycznie nad tym, co takiej zgody nie uzyska (fakty jednostkowe).

Twoje zobowiązania wobec innych ludzi (nie maltretować ich, wspomagać w obalaniu tyranów, nakarmić, gdy głodni) nie implikują, że to, co masz wspólnego z innymi, jest najważniejsze. Jeżeliś świadom pewnych obowiązków moralnych, to jak dowodziłem w *Contingency*, podzielasz z ludźmi jedynie zdolność współodczuwania bólu, nie zaś — „racjonalność", „naturę ludzką", „Boże ojcostwo" czy „znajomość Prawa Moralnego". Nie ma żadnych szczególnych powodów, by oczekiwać, że twoja wrażliwość na cudzy ból i twoje umiłowanie różnych osobliwych rzeczy dadzą się ująć w sumarycznej relacji o tym, jak wszystkie fakty składają się w jedną wielką całość. Krótko mówiąc,

mało jest podstaw do nadziei, że osiągniemy wizję jednorodną, której szukałem wybierając się do kolegium.

Tyle, jeśli chodzi o moje obecne poglądy. Jak wspomniałem, większość ludzi uważa je za odpychające. *Contingency* doczekała się garści pozytywnych omówień, ale dla zdecydowanej większości recenzentów książka była lekkomyślna, mętna i nieodpowiedzialna. Główny wątek uwag krytycznych, jakie wyszły zarówno z lewa, jak z prawa, przypomina krytykę skierowaną przeciwko Deweyowi jeszcze w latach trzydziestych i czterdziestych przez tomistów, straussistów i marksistów. Dewey sądził, jak ja dzisiaj, że u podłoża naszego poczucia zobowiązania moralnego wobec cierpiących nie ma niczego większego, trwalszego i bardziej spolegliwego niż pewne przypadkowe zjawisko historyczne — stopniowe rozszerzanie się przekonania, iż ból innych ludzi liczy się bez względu na to, czy należą oni, czy nie należą do naszej rodziny, plemienia, rasy, religii, narodu i czy wykazują bliski nam poziom inteligencji. Prawdziwości tej idei, zdaniem Deweya, nie można udowodnić za pomocą nauki, religii czy filozofii — przynajmniej jeśli przyjmiemy, że „udowodnić prawdziwość" znaczy „uczynić oczywistym dla każdego, bez względu na jego formację". Może się ona stać oczywista jedynie dla tych, których nie jest jeszcze za późno przysposobić kulturowo do naszej partykularnej, rozkwitłej późno, historycznie przypadkowej formy życia.

W Deweyowskiej tezie zawarty jest obraz istot ludzkich jako dzieci swego czasu i miejsca, nie ograniczonych znacząco w swej plastyczności przez żadne współczynniki metafizyczne czy biologiczne. Odczuwanie zobowiązań moralnych, to raczej kwestia uwarunkowań niż wglądu. Teza ta mówi ponadto, że pojęcie wglądu (w każdej dziedzinie — i w fizyce, i w etyce) jako rzut oka t a m, daleko od ludzkich potrzeb i pragnień, pozostanie zawsze niekoherentne. Jak ujął to William James, „wężowy ślad człowieka pozostaje na wszystkim". Mówiąc konkretniej, nasze sumienie w tym samym stopniu, co nasz smak estetyczny, jest wytworem środowiska kulturalnego, w którym dorastamy. My, przyzwoici, humanitarni liberałowie (do tej wspólnoty moralnej należę nie tylko ja, ale należą też moi recenzenci) mamy po prostu więcej szczęścia niż tchórzliwi dryblasi, z którymi toczymy wojnę.

Poglądy te określa się często negatywnym mianem „relatywizmu kul-

turalnego". Nie są one jednak relatywistyczne, jeśli miałoby to oznaczać, że każde stanowisko moralne jest równie dobre, jak inne. N a s z e poglądy moralne, mocno w to wierzę, są znacznie lepsze niż jakiekolwiek poglądy konkurencyjne, choć istnieje mnóstwo ludzi, których nie zdołamy nigdy na nie nawrócić. Co innego głosić, fałszywie, że nie mamy na czym się oprzeć, wybierając między sobą a nazistami, a co innego stwierdzać, słusznie, że nie ma neutralnego wspólnego gruntu, do którego poważny filozof nazistowski i ja moglibyśmy się odwołać, aby za pomocą argumentów usunąć dzielące nas różnice. Obu nas zawsze uderzy błędne rozumowanie partnera w każdej kluczowej kwestii.

Według Sokratesa i Platona, gdybyśmy starali się wystarczająco usilnie, odkrylibyśmy poglądy, także poglądy moralne, które k a ż d y intuicyjnie uzna za wiarygodne. Ich implikacje, jasno sformułowane, uczyniłyby nas zarówno cnotliwymi, jak mądrymi. Dla myślicieli w rodzaju Allana Blooma (z obozu straussowskiego) i Terry'ego Eagletona (z obozu marksistowskiego) podobne poglądy po prostu m u s z ą istnieć — niewzruszony fundament dla odpowiedzi na pytanie, „jaka alternatywa moralna lub polityczna jest o b i e k t y w n i e słuszna?" Natomiast według takich jak ja deweyowskich pragmatystów, historia i antropologia dostatecznie jasno wykazują, że nie ma żadnych niewzruszonych fundamentów i że poszukiwanie obiektywności, to jedynie kwestia możliwie dużej porcji intersubiektywnych uzgodnień.

Od czasu kiedy uczęszczałem do kolegium, a prawdę mówiąc, to od czasu, gdy do seminarium uczęszczał Hegel, niewiele się zmieniło w debatach filozoficznych nad obiektywnością — czy jest ona czymś więcej niż intersubiektywizmem. Dzisiaj my, filozofowie, mówimy o „języku moralności" zamiast o „przeżyciu moralnym" oraz raczej o „kontekstualnych teoriach referencji" niż o „stosunku podmiotu do przedmiotu". Ale to tylko pianka słowna. Powód mego odwrócenia się od poglądów antydeweyowskich, jakie wchłonąłem w Chicago, był z grubsza biorąc taki sam, jak ten, który kazał odejść Deweyowi od chrześcijaństwa ewangelickiego i od neoheglowskiego panteizmu, wyznawanych przez niego w młodości. Z podobnych też powodów Hegel odwrócił się od Kanta i uznał, że Bóg i Prawo Moralne — jeśli mają stać się wiarygodne — muszą zostać uczasowione i uhistorycznione. Nie sądzę, aby miał obecnie przenikliwsze spojrzenie na naszą potrzebę „absolutów" niż wówczas, w dwudziestej wiośnie życia, mimo

wszystkie książki, jakie przeczytałem w ciągu minionych czterdziestu lat. Jedyne, co dały mi lata lektur i sporów, to ujęcie w słowach mego rozczarowania Platonem — mego przekonania, że filozofia nie przychodzi z pomocą w naszych kontaktach z nazistami oraz innego rodzaju dryblasami — ujęcie teraz bardziej szczegółowe i skierowane do rozmaitych odbiorców.

Obecnie toczą się dwie wojny o kształt kultury w Stanach Zjednoczonych. Pierwszą z nich opisał dokładnie mój kolega, James Davison Hunter, we wszechstronnej i bogatej w informacje książce *Culture Wars: The Struggle to Define America*. Jest to doniosła wojna między, jak ich nazywa Hunter, „postępowcami" a „ortodoksami". Rozstrzygnie ona o tym, czy kraj nasz będzie kontynuował kierunek wyznaczony przez pierwszych dziesięć poprawek do Konstytucji oraz poprawki z okresu Rekonstrukcji, kolegia, założone dzięki dotacjom federalnym, prawo wyborcze kobiet, Nowy Ład, precedensowy wyrok w sprawie Brown przeciw Radzie Szkolnej, rozbudowę kolegiów lokalnych, ustawodawstwo z zakresu praw obywatelskich za kadencji Lyndona Johnsona, ruch feministyczny i ruch w obronie praw homoseksualistów. Kontynuacja tego kierunku oznaczałaby, że Ameryka dalej jest w stanie dawać przykład większej tolerancji i równości. Może jednak da się to osiągnąć tylko wówczas, jeśli przeciętny dochód realny na głowę ludności ciągle będzie wzrastał. Może więc rok 1973 był początkiem końca — końca zarówno rosnących oczekiwań gospodarczych, jak i zgody politycznej, zapoczątkowanych przez Nowy Ład. Przyszłość polityki amerykańskiej polegałaby po prostu na serii coraz to jaskrawszych i coraz to bardziej udanych afer, w rodzaju sprawy Willie'go Hortona*. Prawdopodobnym scenariuszem stałaby się książka Sinclaira Lewisa *It Can't Happen Here*. Inaczej niż Hunter, nie odczuwam najmniejszej potrzeby zachowania bezstronności i umiaru w stosunku do obu stron prowadzonej w kulturze wojny. W „ortodoksach" (ludziach, co sądzą, że przeganiając z wojska gejów promują tradycyjne wartości rodzinne) dostrzegam tych samych przyzwoitych, uczciwych i niebezpiecznych ludzi, którzy przymykają oczy na niewygodne rzeczy, a w 1933 roku głosowali na Hitlera. Z mego punktu widzenia, to

* Sprawa Hortona, czarnoskórego recydywisty została użyta przez Busha przeciwko Dukakisowi w telewizyjnej kampanii wyborczej. W środowiskach liberalnych stała się symbolem wykorzystywania przesądów dla doraźnych celów politycznych. [Przyp. tłum.]

„postępowcy" nadają kształt takiej Ameryce, jaka mnie wyłącznie obchodzi.

Inny rodzaj wojenki toczy się w periodykach w rodzaju „Critical Inquiry" i „Salmagundi", pismach drogich w prenumeracie i o wąskim obiegu. Dochodzi do niej między tymi, którzy uznają współczesne społeczeństwo liberalne za nieuleczalnie chore (nazwać ich można „postmodernistami"), a typowymi profesorami o orientacji zbliżonej do lewego skrzydła Partii Demokraktycznej, takimi jak ja. Zdaniem tych ostatnich, technologia i instytucje demokratyczne, działając wspólnie, mogą, jeśli dopisze szczęście, zwiększyć w społeczeństwie równość i zmniejszyć ilość cierpień. Wojenka ta nie jest zbyt doniosła. Wbrew konserwatywnym felietonistom, którzy udają, że patrzą z przerażeniem na rozległy spisek (wśród postmodernistów i pragmatystów) mający na celu upolitycznienie humanistyki i deprawację młodzieży — wojenka ta to tylko drobna polemika w obozie, jak ich nazwał Hunter, „postępowców".

Ludzie opowiadający się w owej dyspucie po stronie postmodernistów podzielają pogląd Noama Chomsky'ego na Stany Zjednoczone jako kraj rządzony przez zepsute elity, pragnące się wzbogacić kosztem zubożałego Trzeciego Świata. Z tej perspektywy, groźba tkwi nie tyle w tym, że kraj nasz stoczy się w faszyzm, ile że był on zawsze na pół faszystowski. Ludzie ci w typowy dla siebie sposób myślą, że nic się nie zmieni, dopóki nie pozbędziemy się „humanizmu", „indywidualizmu liberalnego" i „technologizmu". Natomiast ludzie mojego pokroju nie widzą niczego złego w owych „izmach", ani też w dziedzictwie politycznym i moralnym Oświecenia — we wspólnym mianowniku, do którego można sprowadzić Milla i Marksa, Trockiego i Whitmana, Williama Jamesa i Václava Havla. My, deweyowcy, przyznając, że Ameryka może stoczyć się w objęcia faszyzmu, przejawiamy jednak najczęściej sentymentalny patriotyzm w stosunku do naszego kraju, dumni jesteśmy z jego przeszłości i z ostrożną nadzieją patrzymy w przyszłość.

W świetle dziejów znacjonalizowanych przedsiębiorstw i centralnego planowania w środkowej i wschodniej Europie, większość ludzi znajdujących się po mojej stronie zdecydowała się porzucić socjalizm. Stwierdzamy chętnie, że najlepszą rzeczą, jakiej można oczekiwać, to kapitalizm państwa opiekuńczego. Większość z nas, wychowanych na Trockim, zmuszona jest przyznać, że Lenin i Trocki przynieśli więcej złego niż dobrego, i że Kiereński nie zasłużył na wszystkie te kopniaki,

jakie dostawał przez siedemdziesiąt lat. Ale poczuwamy się ciągle do wierności wobec wszystkiego, co było dobre w ruchu socjalistycznym. Natomiast ludzie po drugiej stronie okopów dalej podkreślają, że nic się nie zmieni, póki nie nastąpi jakiś rodzaj totalnej rewolucji. Postmoderniści uważający się za postmarksistów nadal pragną zachować tę czystość serca, jaką obawiał się stracić Lenin słuchając za dużo Beethovena.

Ja sam traktowany jestem podejrzliwie zarówno przez stronę „ortodoksyjną" (w owej doniosłej wojnie), jak i przez stronę „postmodernistyczną" (w owej nieistotnej wojence), ponieważ sądzę, że „postmoderniści" mają rację w filozofii, lecz są niemądrzy w polityce, oraz że „ortodoksi" błądzą w filozofii i są niebezpieczni w polityce. W przeciwieństwie do obu tych grup, nie myślę, że o wartości poglądów danego filozofa dotyczących prawdy, obiektywności i owej całościowej wizji można wiele powiedzieć śledząc jego zapatrywania polityczne, lub wykrywając ich brak. Nie sądzę zatem, aby za pragmatyczną koncepcją prawdy przemawiało to, że Dewey był gorliwym socjaldemokratą, ani też przeciwko Heideggerowskiej krytyce platońskiego pojęcia obiektywności fakt, że myśliciel ten był nazistą, czy przeciw poglądom Derridy na znaczenie językowe, że jego najbardziej wpływowy sprzymierzeniec amerykański, Paul de Man, napisał w młodości garść antysemickich artykułów. Pomysł, iż poglądy filozoficzne można wartościować odwołując się do ich użyteczności politycznej, wydaje mi się odmianą kiepskiej idei platońsko-straussowskiej, wedle której sprawiedliwość zapanuje dopiero wówczas, gdy filozofowie staną się królami, lub królowie filozofami.

Zarówno ortodoksi, jak i postmoderniści, ciągle domagają się ścisłych powiązań między poglądami politycznymi a spojrzeniem na szersze sprawy teoretyczne (teologiczne, metafizyczne, epistemologiczne, metafilozoficzne).

Pewni postmoderniści, biorący początkowo mój entuzjazm dla Derridy za wybór polityczny po ich stronie — gdy odkryli, że w polityce jestem dosyć blisko Huberta Humphreya — zdecydowali, że musiałem się sprzedać. Ortodoksi natomiast skłonni byli sądzić, że ludzie tacy jak postmoderniści, lub mojego pokroju, nie wierzący w Boga, ani w żaden wygodny Jego substytut, muszą sądzić, iż wszystko jest dopuszczalne, a każdy może robić co mu się podoba. Gdy głosiliśmy

jakieś poglądy moralne czy polityczne, oskarżano nas o niekonsekwencję lub złą wiarę.

Uważam, że ta jednomyślna prawie postawa moich krytyków świadczy, iż większość osób — nawet znaczna część wyzwolonych na pozór postmodernistów — ciągle łaknie czegoś, czego i ja łaknąłem, gdy miałem piętnaście lat, a mianowicie sposobu, by w jednolitej wizji uchwycić rzeczywistość i sprawiedliwość. Mówiąc dokładniej, pragną oni połączyć swoje poczucie odpowiedzialności moralnej i politycznej z wglądem w ostateczne determinanty naszego losu. Chcą dostrzec punkt, gdzie miłość, moc i sprawiedliwość zbiegają się w jedno — w naturze rzeczy lub w duszy ludzkiej czy w strukturze języka, albo g d z i e k o l w i e k b ą d ź. Chcieliby gwarancji, że ich przenikliwość intelektualna oraz szczególne chwile ekstazy, które czasem rodzi ta przenikliwość, są ważne w odniesieniu do ich przekonań moralnych. Nadal sądzą, że cnota i wiedza łączą się jakoś ze sobą — że racja w sprawach filozoficznych jest ważka jako oparcie dla słusznych postępków. Ja ze swej strony sądzę, że zdarza się to nieczęsto i przypadkowo.

Nie zamierzam jednak dowodzić, że filozofia jest społecznie bezużyteczna. Gdyby nie Platon, chrześcijanom trudniej byłoby sprzedać swą myśl, iż wszystko, czego chce od nas Bóg, to miłość bliźniego. Gdyby nie Kant, wiek XIX niełatwo by pogodził etykę chrześcijańską z narracją Darwina o pochodzeniu człowieka. Gdyby nie Darwin, więcej wysiłku musieliby włożyć Whitman i Dewey, by odwieść Amerykanów od przekonania, że są wybranym ludem Bożym, i pomóc im, by stanęli na własnych nogach. Gdyby nie Dewey i Sydney Hook, amerykańska lewica lat trzydziestych byłaby tak zastraszona przez marksistów, jak stało się to we Francji i Ameryce Łacińskiej. Idee w rzeczy samej mają konsekwencje.

Ale fakt, że idee mają konsekwencje, nie oznacza, iż my, specjaliści od idei, zajmujemy pozycję kluczową. Nie jesteśmy po to, aby dostarczać zasad, podstaw, diagnoz teoretycznych lub synoptycznych wizji. Kiedy mnie pytają (a zdarza się to, niestety, często), jaka jest według mnie „misja" lub jakie „zadanie" współczesnej filozofii — zapominam języka w gębie. W najlepszym razie udaje mi się jedynie wyjąkać, że my, profesorowie filozofii, pozostajemy w zażyłych stosunkach z pewną tradycją intelektualną, podobnie jak chemicy są za pan brat z procesami, jakie zachodzą podczas mieszania różnych substancji. Na podstawie naszej wiedzy o wynikach poprzednich eksperymentów możemy służyć poradą — powiedzieć, co się stanie, gdy ktoś spróbuje połączyć ze sobą lub

oddzielić od siebie określone idee. Dzięki temu możemy komuś pomóc, by myślą ogarnął on swoją epokę. Ale nie do nas należy się zwracać, jeśli ktoś pragnie się upewnić, że to, co kocha z całego serca, stanowi osnowę struktury wszechświata, lub że jego poczucie odpowiedzialności moralnej raczej jest „racjonalne i obiektywne" niż stanowi „jedynie" wynik wychowania.

Ciągle jeszcze istnieją, jak do określił C. S. Peirce, „filozoficzne garkuchnie na każdym rogu", które gotowe są utwierdzić nas w podobnych przekonaniach. Ale trzeba za to zapłacić pewną cenę. Cena ta polega na odwróceniu się od historii intelektualnej i od tego, co Milan Kundera nazwał „mądrością powieści", „fascynującą wyobraźniową przestrzenią, gdzie nikt nie jest właścicielem prawdy i gdzie każdy ma prawo do zrozumienia" (przeł. M. Bieńczyk). Ryzykujemy wówczas utratę poczucia skończoności oraz utratę tolerancji, która wynika z uprzytomnienia sobie, ile już było wizji synoptycznych i jak mało w dokonywaniu wyboru między nimi pomagają argumenty. Mimo że dość wcześnie rozczarował mnie platonizm, rad jestem, że tyle lat spędziłem na czytaniu książek filozoficznych. Nauczyłem się bowiem czegoś, co nadal wydaje mi się bardzo ważne: nie ufać snobizmowi intelektualnemu, który kiedyś skłonił mnie do tych lektur. Gdybym nie przeczytał wszystkich tych książek, być może nigdy bym nie zaprzestał szukania tego, co Derrida nazwał „pełną obecnością, poza zasięgiem gry" — jaśniejącej, samouzasadnionej i samowystarczalnej wizji synoptycznej.

Obecnie mam niemal pewność, że szukanie takiej obecności i takiej wizji, to pomysł kiepski. Kłopot polega na tym, że może nam się udać, a powodzenie może sprawić, że wyobrazimy sobie, iż jest coś więcej, na czym warto polegać, niż tolerancja i przyzwoitość innych istot ludzkich. Wspólnota demokratyczna z marzeń Deweya, to wspólnota, w której nikt takich wyobrażeń nie ma. Każdy z jej uczestników sądzi, że naprawdę liczy się nie tyle wiedza o rzeczach pozaludzkich, co ludzka solidarność. Realnie istniejące przybliżenia do takiej w pełni demokratycznej, w pełni świeckiej wspólnoty, wydają mi się największą zdobyczą naszego rodzaju. W porównaniu z nimi nawet dzieła Hegla i Prousta stają się czymś niekoniecznym, storczykowym naddatkiem.

Przełożył Zdzisław Łapiński

Przekład artykułu *Trotsky and the Wild Orchids*, „Common Knowledge", Vol. 1, No. 3 (Winter 1992).

Archiwalia

Korespondencja Zofii Kossak i Stanisława Cata Mackiewicza

W aktach Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP przechowywanych w archiwum Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego w Londynie (sygn. A 48 K. C. /3) znajduje się pochodząca z 1955 r. korespondencja Stanisława Cata Mackiewicza, wówczas premiera Rządu RP na Uchodźstwie, i Zofii Kossak, dotycząca wejścia autorki „Krzyżowców" w skład kapituły orderu Polonia Restituta. Order Polonia Restituta (Odrodzenia Polski) ustanowiono w 1921 roku i nadawano za wybitne zasługi obywatelskie. Ostatnia przedwojenna nominacja członków kapituły Orderu nastąpiła w dniu 5 września 1936 r. Odznaczenie o tej samej nazwie przyznawano również w PRL. Prezentowana korespondencja pochodzi z okresu przygotowań do restytucji Orderu na emigracji, co ostatecznie nastąpiło w kilka tygodni później (Zarządzenie Prezydenta RP na Uchodźstwie z 19 kwietnia 1955 r.). W archiwum znajdują się oryginały listów Z. Kossak i odpisy listów S. Mackiewicza. Niedługo potem autorzy listów powrócili na stałe do Polski (Cat w 1956, Z. Kossak w 1957 roku).

23 marca 1955 r.

JW Pani
Zofia Kossak–Szatkowska
Trossel Farm Cottage
Petherwin nr. Launceston
Devonshire

Wielce Szanowna i Droga Pani,

Musimy odnowić na obczyźnie kapitułę Orderu Polonia Restituta. Staram się, aby w skład jej weszli ludzie najwybitniejsi i możliwie bezpartyjni. Wobec tego zapytuję Panią, czy zgodziłaby się Pani na wejście w skład tej kapituły.
O możliwie szybką odpowiedź uprzejmie proszę.
Zechce Pani przyjąć jednocześnie wyrazy czci należnej od starego wielbiciela Jej wspaniałego talentu i człowieka, który, jak się zdaje, [w] bardzo wielu sprawach ma zupełnie podobne do Pani sentymenty.

(Stanisław Mackiewicz)

Trossel Cottage, 25 II 55

Panie Premierze,

Postawioną mi przez Pana propozycję wejścia w skład kapituły orderu Polonia Restituta uważam za bardzo zaszczytną i chętnie wyraziłabym nań swoją zgodę. Obawiam się jednak, że zajęcia na farmie zatrzymujące mnie daleko od Londynu, gdzie bywać mogę tylko bardzo rzadko, uniemożliwią mi branie udziału w pracach kapituły. Nie chciałabym zaś należeć w charakterze wyłącznie tytularnego członka. Proszę mi zatem wybaczyć, Panie Premierze, że wstrzymam się z definitywną odpowiedzią na list Pana do chwili, w której będę wiedzieć, jakie są obowiązki i zajęcia członka kapituły i czy dadzą się one pogodzić z moją pracą.

wyrazy głębokiego szacunku łączę
Zofia Kossak–Szatkowska

25 III 55

Drogi Panie Stanisławie,

Korzystam z okazji, by do listu oficjalnego dorzucić parę słów prywatnie. Oboje z moim mężem jesteśmy szczerymi zwolennikami Pana linii politycznej i szereg jego posunięć przyjmujemy z pełnym uznaniem. Stwierdzamy, iż Rząd obecny jest pierwszym rządem na emigracji, który w sposób właściwy i słuszny określił swoje zadania względem Kraju (służba Krajowi) oraz względem zagranicy. Szkoda, że przyszedł tak późno, gdy tyle możliwości zostało już zmarnowanych.

W związku z kapitułą Polonii Rest. trudno mi zataić, że w czasie okupacji niemieckiej należałam do założycieli „Ligi antyorderowej". Liga miała zacząć działać po wojnie i tępić orderomanię z jednej strony, przesadne szafowanie orderami z drugiej. Niestety, rzeczywistość zlikwidowała ją przed narodzeniem, statut oparty na haśle: „Polsce od nas należy się wszystko, nam od Polski nic" nie wyszedł nigdy poza nocne Polaków rozmowy, a z założycieli bodaj, że ja jedna zostałam przy życiu. Jeżeli jednak nie palę się ze wstydu rozpatrując przychylnie Pana propozycje, to dlatego, że innym terenem był kraj, a innym jest emigracja. Być może, iż na emigracji ordery zdołają odegrać pozytywną rolę.

Czy można nie tylko prywatnie, ale poufnie, zapytać, kto w projektowanej kapitule będzie reprezentował sfery katolickie? Czyja będzie większość? Katolików, czy teozofów i tzw. masonów? Chętnie dyskutuję z teozofami i masonami, jeśli są inteligentni, ale, Pan rozumie...

Na zakończenie dodam, że ja również jestem przekonana, że w wielu sprawach i nasze sentymenty, i poglądy są identyczne. Szczerze żałuję, że oddalenie i obustronny brak czasu wykluczają możliwość dłuższej pogawędki na ten temat.

Wyrazy przyjaźni i szacunku łączę
Zofia Szatkowska

30 marca 1955

list ściśle prywatny

Szanowna i Droga Pani,

Odpowiadam na list prywatny z 25 bm.

Do kapituły proponujemy: Prof. T. Brzeskiego, Ks. Jana Brandysa, płk. Jerzego Bajana, p. Pawła Jankowskiego, min. Stanisława Lubodzieckiego, i ew. albo Gen. Dembińskiego albo Dr. J. Szygowskiego z Chicago, poza Panią oczywiście.[1] O ile wiem, w tym gronie nikt nie jest masonem ani teozofem. Natomiast to są przeważnie nabożni katolicy. P. Jankowski jest wilnianinem, p. Szygowski lwowianinem. Min. Lubodziecki ma przodków starozakonnych, ale to już jest wada, z której nikogo uleczyć nie można. Poza tym jest najpracowitszym i najlojalniejszym członkiem mego rządu oraz prawnikiem o prawdziwej wiedzy.

Czy Pani rzeczywiście znała inteligentnego teozofa? Ja nie. Znam właściwie jednego, wybitnego teozofa, ale to jest niepospolity dureń, jeżeli Panią ten wyraz nie razi.[2] Nigdy nie zapomnę tych kulfonów

---

[1] Tadeusz Brzeski (1884–1958). Ekonomista, wykładowca Uniwersytetu Poznańskiego i Uniwersytetu Warszawskiego, w. l. 1931–1936 wiceprzewodniczący Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. W czasie wojny więziony w ZSRR, po wojnie w Wlk. Brytanii. Rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO).

ks. Jan Brandys (1886–1970). Naczelny kapelan I Powstania śląskiego, brał udział w III Powstaniu śląskim. Podczas wojny we Francji, później w Wlk. Brytanii. Po wojnie w Londynie, pracował w duszpasterstwie wojskowym. Dziekan Generalny Wojska Polskiego.

Jerzy Świrski (1882–1959), wiceadmirał. W 1939 r. szef Kierownictwa Marynarki Wojennej; we wrześniu ewakuuje się do Francji, później w Wlk. Brytanii. Podczas wojny szef Kierownictwa Marynarki Wojennej.

Jerzy Bajan (1901–1967). Lotnik, zwycięzca międzynarodowych zawodów lotniczych. Brał udział w wojnie polsko-sowieckiej, kampanii wrześniowej, następnie na Zachodzie.

Paweł Jankowski (1904–1975). Przed 1939 r. pracował w Urzędzie Wojewódzkim w Wilnie. Po wojnie długoletni szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP na Uchodźstwie.

Stanisław Libkind Lubodziecki (1879–1975). Prawnik, przed wojną prokurator Sądu Najwyższego i I z-ca prokuratora generalnego. Minister sprawiedliwości w Rządzie RP na Uchodźstwie.

Stefan Dembiński (1887–1972). Generał, uczestnik obrony Lwowa, wojny polsko-sowieckiej, kampanii wrześniowej. Po wojnie w Wlk. Brytanii, szef Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP na Uchodźstwie.

Julisz Szygowski, dyplomata, dr praw. Przed wojną w służbie dyplomatycznej w USA. W l. 1944–45 konsul generalny RP w Chicago. Po wojnie delegat Skarbu Narodowego na USA.

[2] Być może chodzi o gen. Michała Karaszewicza Tokarzewskiego (1893–1964).

o Pani książce, wskazujących, że dobre wychowanie walczy czasami z realizmem życiowym.
Mam nadzieję, że po powyższych wyjaśnieniach zechce się Pani zgodzić na moją prośbę i uświetnić urzędniczo-wojskowy skład kapituły swoim wielkim literackim nazwiskiem.
Nie mamy zamiaru w ogóle odznaczać kogoś orderami, poza wypadkami wyjątkowymi, kiedy cudzoziemcy się o takie ordery dopytują, jak np. dano ordery członkom Komisji Katyńskiej Kongresu amerykańskiego. Jako premier nie wystąpiłem dotychczas z żadnym wnioskiem orderowym, udekorowałem tylko trzech obywateli amerykańskich, którym te ordery przyznane były przez rząd poprzedni. Cieszę się, że Pani ma podobne anty-orderowe nastawienie jak ja. Kapituła będzie zwoływana bardzo rzadko, co najwyżej raz na rok, albo wcale. Chodzi jednak o to, aby była, gdyż uprawnienia poprzedniej kapituły dawno już wobec prawa wygasły, członkowie jej powymierali i dla ciągłości naczelnych władz Państwa trzeba, aby i ta instytucja istniała. Jedno posiedzenie, które Panią czeka to jest posiedzenie zwołane dla wyboru Kanclerza Orderu.
W ostateczności i w tym wypadku głos Pani może oddać listownie. Kapituła rozpatruje wnioski Rządu i orzeka o kandydatach z punktu widzenia ich wartości moralnej. Ponieważ tych wniosków, przynajmniej za mego urzędowania nie będzie wcale, więc kapituła niewiele będzie miała do roboty, a raczej nic nie będzie miała do roboty, o ile nie zajdzie jakiś wypadek odznaczenia kogoś po śmierci.
List ten jest absolutnie prywatny, ale mam nadzieję, że spowoduje oficjalną Pani odpowiedź.
Korzystam z tej okazji, aby ucałować Pani ręce i przesłać wyrazy szacunku jej małżonkowi.

(Stanisław Mackiewicz)

Trossel Cottage, 31 III 55

Panie Premierze,

Zgadzam się na wyrażoną przez Pana Premiera, w liście z dn. 23 b.m. propozycję wejścia w skład kapituły orderu

Polonia Restituta, i wyrażam niniejszym podziękowanie za zaszczytne wyróżnienie.

wyrazy szacunku łączę
Zofia Kossak–Szatkowska

31 III 55

Kochany Premierze,

Parę uwag też absolutnie prywatnych: inteligentnego teozofa rzeczywiście nie spotkałam, a o tym, o którym Pan myśli, mam wyobrażenie to samo. Myślę, że logicznego (czyli inteligentnego) umysłu, pseudoreligijne mętniactwo nie może się czepić. Mniejsza z tym.
Jedna jaskółka nie czyni wiosny, a jedna baba, do tego stara, nie używi urzędniczo-wojskowego zespołu. Potrzebne byłyby przynajmniej dwie babie. Jest nazwisko, które się samo ciśnie i na pewno Panu też przychodziło do głowy. Adela Łagodzińska, z Chicago. Czy Pan nie pomieścił jej na swej liście kapituły z powodu amerykańskiego poddaństwa? To jest, owszem, poważna przeszkoda, ale czy nieodparta? Mało znam Polek tak oddanych sprawie polskiej jak Łagodzińska, mało kto tyle dla Polski uczynił, co ona. Kobieta jak złoto. Należałoby się jej to wyróżnienie.[3]
Pozbawieni dopływu z kraju, odcinając się własnowolnie od starej emigracji, skazani tylko na obracanie się w maleńkim kółku — niewiele zdziałamy. Tu trzeba śmiałych posunięć, niekoniecznie uwarunkowanych precedensem. Czasy są bez precedensu.
Przepraszam za śmiałość z jaką wysuwam swoje sugestie.
Najlepsze wyrazy i pozdrowienia łączę. Mój mąż posyła zapewnienia pewnego uznania.

Zofia Szatkowska

oprac. Jacek Kozieł

---

[3] Adela Łagodzińska, działaczka Polonii w USA. W l. 1947–71 prezeska Związku Polek w Ameryce, wiceprezeska Kongresu Polonii Amerykańskiej, od 1971 r. Honorowa Prezeska Związku Polek.

Z życia niewiniątek

22 grudnia zeszłego roku zmarł — bardziej dyskretnie niż żył — André B., zwany „Java", jeden z bohaterów *Dziennika złodzieja* Geneta.
Był to człowiek, jak to się mówi, „uroczy". Już w wieku lat czternastu umiał opróżniać torebki starszym paniom. W osiemnastym zaciągnął się do SS i walczył na froncie wschodnim. Po wojnie wydoskonalił — w celach zarobkowych — sztukę okradania starych homoseksualistów w toaletach publicznych i znalazł wreszcie zawodowe spełnienie w latach sześćdziesiątych, opiekując się działalnością sześciu „dziewcząt" w hotelu na Pigalle.
Przez sześć lat, od 1948 do 1954 roku, był jednym z (nielicznych) stałych przyjaciół Geneta i otarł się wtedy o towarzystwo Satre'a, Cocteau, Picassa i Giacomettiego. Wieczorami Genet czytywał mu po kilka stron *Dziennika złodzieja*, który właśnie skończył. Java nic nie rozumiał i zasypiał słuchając. Genet wpadał w wściekłość: nie chcieli — nie mogli? — czytać go ludzie, dla których pisał! Mówił, że Java fascynuje go swą „głupotą" i „wdzięczną uprzejmością".
W 1989 roku został zaproszony na sympozjum w Parmie i wszyscy, którzy słuchali jego wypowiedzi, nie mogli zapomnieć rysu najbardziej charakterystycznego u tego zdumiewającego łobuza: jego niewinności. SS-mani? „To dlatego, że mieli takie piękne mundury." Kradzieże? „Przecież to dla zabawy." Dziewczyny, z których żył? — „One mnie uwielbiały."
Przed wrotami nieba — czy piekła — stanął w grudniu petent nader osobliwy.

Albert Dichy [„Le Monde des Livres" 18. 2. 1994]

Od redakcji:
Wypowiedź *Z życia niewiniątek* A. Dichy'ego, wynotował — specjalnie dla naszej redakcji — ze swej lektury prozy francuskiej Jan Błoński.

Listy do redakcji

Szanowni Państwo!

Nie sądziłam, żeby w „Tekstach Drugich" mógł się ukazać artykuł typu *Wodza powstańców...* J. Rostropowicz–Clark. Nie chodzi mi, bynajmniej, o sugerowaną przez autorkę rewelacyjność zawartych tam informacji. Przecież drążeniem genealogii Baczyńskiego zajął się dużo wcześniej Józef Lewandowski, który opublikował wyniki swoich poszukiwań w 22 numerze „Aneksu" z 1979 roku. W roku 1990 Wiesław Budzyński zamieścił w „Tygodniku Powszechnym" (nr 31) „przyczynki do biografii K. K. Baczyńsiego" pod tytułem *Cień „złego pochodzenia"*. P. J. Rostropowicz mogła więc sięgnąć do tamtych materiałów, a nie kompromitować się odwoływaniem do tekstu żywo przypominającego przedwojenne publikacje z kręgu narodowo-radykalnego. Identyczność stylu falangistów i p. Natana Grossa jest paradoksalna, ale intencja tak ponura w obu wypadkach, że śmiechu nie budzi: tamtym chodziło o zdemaskowanie i skompromitowanie ludzi o żydowskich rodowodach. Panu Natanowi Grossowi zależy na udowodnieniu, że znany polski poeta był Polakiem tylko z wyboru, a tak naprawdę wybitność zawdzięczał stuprocentowej żydowskości. Słownictwo owej biograficznej notatki pióra p. Grossa ma charakter prymitywnie propagandowy, a sposób kojarzenia w niej następujących po sobie zdań razi brakiem logiki.

Jak można tego typu materiał potraktować poważnie i umieścić w punkcie wyjścia do dalszych rozważań? Co prawda, te rozważania są tak naiwne, a ich tendencja tak oczywista, że wszystko tu współgra, łącznie

z rażącym błędem fleksyjnym „w cudzysłowiu" i nonszalancką oceną koncepcji prof. Wyki, nazwanej przez p. J. R.–C. „śliczną bzdurką". Ale nie to jest najważniejsze. Bardziej kompromituje autorkę artykułu całkowita niewiedza o sytuacji i atmosferze okupowanej Warszawy. Według p. J. Rostropowicz grozę mogły wtedy budzić tylko sprawy getta. Gdyby p. J. R.–C. przeczytała „1859 dni Warszawy" W. Bartoszewskiego, dowiedziałaby się o straszliwej egzekucji w Wawrze już w grudniu 1939 r., o masowych egzekucjach w Palmirach, o łapankach Polaków na ulicach Warszawy, o rozpoczęciu wywózek do Oświęcimia transportami Polaków, a nie Żydów; o transporcie kilkuset kobiet do Ravensbrück, o ciągłych aresztowaniach ludzi z kręgów polskiej inteligencji — o wszystkim więc, co miało miejsce jeszcze przed końcem roku 1941, czyli w okresie, kiedy to, według p. Rostropowicz, terror nie dał się odczuć, bo Niemcy nie dokonywali egzekucji na ulicach Warszawy!
Przyjęcie takiego absurdalnego założenia umożliwiło cały dalszy wywód: ofiarami byli tylko Żydzi, więc Baczyński przeżywający boleśnie martyrologię okupacyjną musiał być Żydem.
Jak wiadomo, obecnie zapanowała moda na przypisywanie Polakom żyjącym w czasach drugiej wojny nieludzkiej obojętności na los Żydów. Ponieważ jako kilkunastoletnia dziewczyna przeżyłam całą okupację w Warszawie i pamiętam bardzo dobrze ogromne współczucie wszystkich ludzi, których znałam, dla Żydów ginących za murami getta, odbieram takie oszczerstwa jako wyjątkową niesprawiedliwość.
Artykuł p. Rostropowicz nie rozumiejącej niczego ze spraw okupacji trafił na odpowiednią koniunkturę. Tylko dlaczego pismo o takim poziomie jak „Teksty Drugie" ułatwia publikowanie niedobrych artykułów? Niedobrych w rozumieniu wyżej przedstawionym i niedobrych w sensie emanowania chorobliwym podnieceniem z powodu tajemnic cudzych życiorysów. I wreszcie niedobrych ze względu na brak smaku literackiego: ten pretensjonalny tytuł parafrazujący „Śmierć pułkownika" Mickiewicza nie przystaje do osobowości Krzysztofa Baczyńskiego, który aspiracji wodzowskich nie przejawiał. Banalna puenta uformowana jest w stylu literatury popularnej.

Z wyrazami szacunku
Krystyna Żebrowska
Warszawa

Treść

Ryszard Nycz — Sławiński: ironia i maieutyka 1

Portrety

Włodzimierz Bolecki — PPP (Pierwszy Polski Poststrukturalista) .. 5
Edward Balcerzan — Sześć początków 19
Erazm Kuźma — Metafory Janusza Sławińskiego 27
Wojciech Głowala — „Być sobie jednym" — i być autorytetem .. 37
Stefan Szymutko — Ciało profesora Sławińskiego 43
Jerzy Madeyski — Narracje teoretycznoliterackie Janusza Sławińskiego 53

Szkice

Jan Błoński — Jedna, dwie czy jedna w drugiej 61
Stanisław Barańczak — Z frontu walki o gdybizm 71
Zdzisław Łapiński — O pewnym filozofie, który chciał zostać (i został) literatem 84

Roztrząsania i rozbiory

Piotr Michałowski — Gatunki skrócone „oda–woda" i *Sonet zawichostski* 93
Anna Łebkowska — Nowe oblicze krytyki tematycznej? 100
Zbigniew Kloch — Kilka uwag o *Studiach i rozprawach* oraz Pani Profesor 112
Andrzej Karcz — Literatura a ideologia. Debata w Ameryce 117
Bogusław Żyłko — O poetyce inaczej 128

Opinie

Janusz Sławiński — Jakiej historii IBL-u nam potrzeba? 137

Autobiografia

Richard Rorty Trocki i dzikie storczyki (przełożył Zdzisław Łapiński) 155

Archiwalia

Korespondencja Zofii Kossak i Stanisława Cata Mackiewicza (opracowanie Jacek Kozieł) 174

Albert Dichy Z życia niewiniątek 180

Listy do redakcji 181

Warunki prenumeraty na rok 1994:
Roczna prenumerata krajowa: **150 000 zł** (6 numerów)
Roczna prenumerata zagraniczna:
- kraje komunistyczne i postkomunistyczne: **300 000 zł** (pocztą zwykłą)
- inne kraje świata: **36 USD** (pocztą lotniczą).

Cena pojedynczego egzemplarza - **6 USD**.
Wpłaty prosimy kierować na konto: Instytut Badań Literackich PAN, „Teksty Drugie", PBK XIII O/Warszawa, nr 370044-3489, z podaniem dokładnego adresu nadawcy.
Istnieje także możliwość opłacenia prenumeraty dolarowej czekiem, który prosimy kierować na adres Redakcji.

Bieżące numery do nabycia w księgarniach OR PAN

Warszawa	Pałac Kultury i Nauki
Lublin	ul. Marii Curie-Skłodowskiej 5
Poznań	ul. Mielżyńskiego 27/29
Katowice	ul. Bankowa 11
Kraków	ul. Św. Marka 22

oraz w księgarniach:

Warszawa	Główna Księgarnia Naukowa im. Bolesława Prusa, Krakowskie Przedmieście 7
	„Liber" Księgarnia Uniwersytecka, Krakowskie Przedmieście 24
	Księgarnia „Odeon", ul.Hoża 19
Białystok	Księgarnia „Akcent", ul. Rynek Kościuszki 17
Bydgoszcz	Księgarnia „Bestseller", ul. Jezuicka 8/10
Katowice	Księgarnia Wolnego Słowa, ul. 3 Maja 31
	Księgarnia „Libella", ul. Francuska 12
Kraków	Księgarnia „Znak", ul. Sławkowska 1
	Antykwariat „Bibliofil", ul. Szpitalna 19
	Księgarnia Akademicka, ul. Gołębia 18
Łódź	Łódzka Księgarnia Niezależna, ul. Piotrowska 102
Opole	Księgarnia Akademicka, ul. Matejki 12
Poznań	Księgarnia „Bestseller", ul. Wrocławska 16
Rzeszów	Księgarnia Akademicka „Libra", ul. Towarnickiego 3
Szczecin	Księgarnia „Scriptum", ul. Mazurska 26
Wrocław	Księgarnia Ossolineum, Rynek 6
	Księgarnia Arhat, ul. Szczytnicka 50/52
	Księgarnia Towarzystwa Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, pl. Nankiera 15

Dystrybucję czasopisma **„Teksty Drugie"** prowadzi Dom Księgarski Stowarzyszenia Wolnego Słowa, ul. Nowolipie 9/11, Warszawa, tel. 635 96 95. Bieżące numery można też kupować w Wydawnictwie IBL, Pałac Staszica, Nowy Świat 72, pok. 129.

„Teksty Drugie" są kontynuacją dwumiesięcznika **„Teksty"** wydawanego w latach 1972 -1981 i zawieszonego w stanie wojennym.

Wydanie numeru na zlecenie Instytutu Badań Literackich PAN - Wydawnictwo Przedświt, Warszawa, Al. Ujazdowskie 16/49, tel. 621-67-64.
Druk: TEBO ul. Kompanii „Kordian" AK 28, Warszawa, tel. 667-79-21

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Bogdan Baran
Moderne gry i zabawy
Zygmunt Bauman
Ponowoczesność, czyli o niemożliwości awangardy
Tomasz Burek
Widok z drugiego brzegu stulecia
Maria Delaperrière
Arkana modernizmu
Jan Kott
Awangarda i postmodernizm
Stefan Morawski
O moderniźmie
Edward Możejko
Modernizm literacki
Anna Nasiłowska
Rozmowa z Michałem Głowińskim
Mieczysław Porębski
Moderność, moderna, postmodernizm

ISSN 0867-063